

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 7

1948



WL. ANDERS — Cztery lata po bitwie pod Monte Cassino *
J. CZAPSKI — „Za słowo” * T. TERLECKI — Emigracja i
Kraj * THIERRY MAULNIER — Studium o użyteczności tru-
pów * Z. JORDAN — Społeczna funkcja inteligencji * L. KO-
RZON — Ukraińscy neoklasycy-parnasiści * R. MORTIMER —
Arthur Koestler ♦ NA ŚMIERĆ JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO ♦
J. LECHOŃ — Nike spod Monte Cassino * K. WIERZYŃSKI
— Litania na Monte Cassino ♦ J. LERSKI — Powrót emisariusza.
♦ ŚCIEŻKI ♦ NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI ♦
KSIĄŻKI ♦ POLEMIKI ♦ BIBLIOGRAFIA.

SPIS RZECZY

Władysław Anders:	<i>Cztery lata po bitwie pod Monte Cassino</i>	3
Jan Lechoń:	<i>Nike spod Monte Cassino</i>	5
Kazimierz Wierzyński:	<i>Litania na Monte Cassino</i>	6
Józef Czapski:	<i>„Za słowo”</i>	9
Tymon Terlecki:	<i>Emigracja i Kraj</i>	13
Therry Maulnier:	<i>Studium o użyteczności trupów</i> ..	25
Zbigniew Jordan:	<i>Spoleczna funkcja inteligencji</i> ..	31
Leonid Korzoń:	<i>Ukraińscy neoklasycy-parnasiści</i> ..	39
Raymond Mortimer:	<i>Arthur Koestler</i>	56
Józef Łobodowski:	<i>Literatura hiszpańska w XX-tym wieku (dok.)</i>	66
Święty Jan od Krzyża:	<i>Kaniyczka duchowa</i>	76



Jerzy Lerski:	<i>Powrót emisariusza</i>	78
---------------	---------------------------------	----

ŚCIEŻKI

Józef Czapski:	<i>Z powodu wystawy, której nie widziałem</i>	108
----------------	---	-----



	<i>W rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego</i>	115
--	---	-----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Władysław Pobóg-Malinowski:	<i>Na rumuńskim rozdrożu</i>	116
-----------------------------	------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Wiktor Weintraub:	<i>Poezja i nie-poezja w literaturze polskiej XVIII-go wieku</i>	134
Wojciech Wasjutyński:	<i>Muza w cieniu oręza</i>	143

POLEMIKI

Aleksander Janta:	<i>Czy imperializm?</i>	147
-------------------	-------------------------------	-----

BIBLIOGRAFIA

Aleksander Melen:	<i>Polonica szwajcarskie 1939-1947 (c. d.)</i>	151
-------------------	--	-----

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 7

1948

INSTYTUT



LITERACKI

Cztery lata po bitwie pod Monte Cassino

Pisząc dziś, w cztery lata po bitwie pod Monte Cassino, o tamtych dniach brzemiennych w tak wielkie wydarzenia, opromienionych chwałą, ale wciąż jeszcze nie przesłoniętych mgłą odległych wspomnień — przywodzę na myśl i przeżywam ponownie wszystkie argumenty, wątpliwości, podnieły i hamulce, które stanowiły współczynniki mojej ówczesnej decyzji. Przyjmując decyzję, iż wojska polskie przybyłe do Włoch mają walczyć na odcinku Monte Cassino, wiedziałem dobrze, że walka ta nie będzie łatwa. Pamiętałem, że o tę pozycję kluczową złożoną z niedostępnych górskich masywów, toczyły się już za ciężte boje. Znałem dobrze dzieje poprzednich natarć dokonywanych przez wojska 6 innych narodów. Byłem dokładnie poinformowany o tym, że 2 Korpus będzie musiał zmierzyć się z najlepszymi oddziałami armii niemieckiej, złożonymi przeważnie z młodych, świetnie wyszkolonych i tryskających zdrowiem spadochroniarzy, podczas gdy przeciętna wieku w naszych szeregach była niestety, znacznie wyższa od normalnej, a nasi żołnierze mieli poza sobą więzienia, łagry, obozy jenieckie i... malarię. Wszakże jeszcze tak niedawno Goebbels w swej propagandzie głosił ironicznie, że oto przybyła na pomoc aliantom do Włoch «armia malaryków generała Andersa». Wszakże jeszcze tak niedawno przedstawiciele naszej własnej służby zdrowia wyrażali obawy o sprawność bojową wielu tysięcy żołnierzy 2 Korpusu.

Wszystko to brałem pod uwagę. Ale sądziłem, że jeśli się ma polać krew polska, to niech się to stanie na odcinku o którym mówi cały świat. Na odcinku, którego nazwa stała się symbolem, — na odcinku, otwierającym drogę do Rzymu, stolicy chrześcijaństwa.

Jako wojskowy, który miał już po za sobą niejedną kampanię, uświadamiałem sobie również, że nigdy nie wiadomo, czy operacje pozornie łatwiejsze, nie pociągają za sobą w praktyce takich samych, a nieraz nawet większych ofiar, niż operacje, powszechnie uznane za szczególnie trudne. Rzeczywistość przyznała mi pod tym względem słuszość. Aczkolwiek bowiem nasze ofiary w bitwie pod Monte Cassino były ciężkie i bolesne, to jednak straty, które poniósł sąsiadujący z nami 13 Korpus

PRINTED IN FRANCE

brytyjski w dolinie Liry, były znacznie cięższe. A właśnie odcinek 13 Korpusu był tym, który ewentualnie mogliśmy zająć zamiast odcinka bezpośrednio pod Monte Cassino.

Jednym z współczynników mojej decyzji była również wroga propaganda, szerzona ze Wschodu. Głosiła ona, iż Polacy uszli z Rosji, bo nie śpieszą się do porachunku z Hitlerem. Propaganda tego rodzaju robiła nam niemałą szkodę w opinii Zachodu, a nawet usiłowała zatruć słabsze umysły w Kraju. Tymczasem zbrodnie niemieckie w Polsce przebiegały wszelką miarę, a niezłomne pragnienie odwetu w naszych szeregach było żywiołowe. Dotychczasowe losy wojny sprawiały, że większe zwarte oddziały wojska polskiego nie mogły jeszcze wziąć odwetu na Niemcach, choć polskie siły zbrojne na obczyźnie miały już za sobą Francję, Narwik i Tobruk, a także «Bitwę o Anglię». Bitwa o Monte Cassino miała pod tym względem dokonać zwrotu. I dokonała.

Gdy w dniu 18 maja kazałem na ruinach zdobytego przez nas Klasztoru wywiesić sztandar polski a obok niego brytyjski, świat cały skierował swój wzrok ku polu naszej bitwy i naszego zwycięstwa. Było to zwycięstwo wspaniałe i ofiarny wkład naszego Narodu do wspólnego wysiłku sprzymierzonych. Myśmy ze swojej strony uczynili wszystko co do nas należało, a w chwili triumfu okupionego życiem naszych najlepszych kolegów, daliśmy symboliczny wyraz naszej solidarności z aliantami. Uważaliśmy się za część zespołu narodów walczących o wolność, zespołu — w którym nie wolno jednym zapominać o drugich.

Było to na dziesięć miesięcy przed Jaltą... Po doświadczeniach, których los nam potem nie poskąpił i mimo tych doświadczeń, uważam, że nasza postawa była słuszna, tak jak słuszną jest trwająca do dziś dnia nieprzejednana postawa naszego Narodu w walce o całość państwa i prawdziwą niepodległość. Wierzę, że nadejdzie dzień, — może jest on bliższy niż się wielu ludziom wydaje — gdy moralność, uczciwość, ofiarność w zmaganiu się z wrogiem i wytrwanie w przyjaźni odzyskają swój walor. Wtedy świat nie będzie mógł przejść do porządku nad polską decyzją walki, podjętą w najtrudniejszych warunkach, nad polską uczciwością w wykonaniu obowiązków sojuszniczych, nad tragicznym bohaterstwem polskiego żołnierza w ponurym okresie Teheranu, Jalty i tzw. zakończenia wojny.

Zwycięstwo pod Monte Cassino opromieniło sławą nasze sztandary. Dodało nam siły do dalszej walki. Zagrzało naszych najbliższych towarzyszy broni: żołnierzy i Dywizji Pancerniej i Brygady Spadochronowej, do bohaterskich wysiłków, uwiecznionych wkrótce wspaniałymi zwycięstwami we Francji, Belgii i Holandii. Podniosło ducha Rodaków w Kraju.

Bitwa pod Monte Cassino stała się tym, czym była dla nas w chwili jej podjęcia — bitwą o Polskę.

W czwartą rocznicę bitwy o Monte Cassino ponura rzeczywistość powojennej Europy jeszcze trwa. Trwają jeszcze lata naszych zawodów i rozczarowań. Musimy jeszcze ciągle patrzeć na nasz Kraj pozbawiony wolności. Nie możemy prowadzić dalej naszej pracy żołnierskiej. Ale dużo się już zmieniło na lepsze. Posłuchajmy tylko, co cały świat mówi dzisiaj o stosunkach na wschodzie Europy i porównajmy z tym, co mówiono przed trzema, czy dwoma laty. Porównajmy również obecne poczucie niebezpieczeństwa grożącego wszystkim narodom ze złudnym wrażeniem pokoju rzekomo utrwalonego, tego pokoju, za który zapłacono wolnością kilkunastu narodów, a przede wszystkim wolnością narodu polskiego. Jakże daleko świat jest dzisiaj od zwodniczych nastrojów Jalty i Poczdamu.

W rocznicę bitwy pod Monte Cassino powtarzam raz jeszcze to, co od lat mówią i myślą Polacy: nie będzie trwałego pokoju na świecie, póki Polska nie odzyska prawdziwej wolności, póki Rzeczpospolita nie będzie znowu cała i niepodległa. Nie można budować bezpieczeństwa i dobrobytu jednych narodów na krzywdzie i pogwałceniu innych. Europa jest jednością. Świat cywilizacji chrześcijańskiej jest niepodzielny.

Spoglądając na naszą niedawną przeszłość, wpatrując się oczyma duszy w cmentarze polskich żołnierzy, rozsięte niesłonecznie po całym świecie, wyleżające wzrok w kierunku Lwowa i Wilna, w kierunku naszych Ziemi Wschodnich, z których usiłuje się dziś uczynić cmentarzysko polskości — umacniamy się wzajemnie w wierze, nigdy nie zachwianej, żarliwszej dziś niż kiedykolwiek, że «Ta, co nie zginęła, powstanie z naszej krwi».

Władysław ANDERS.

Nike spod Monte Cassino

*Nike Grunwaldu, rośla krakowska dziewczyna
wyszła nocą na pole pod skłębione chmury,
Za zbroję szmelcowaną modre chabry wpina
I, podniósłszy przyłbicę, wzniosła się do góry.
A za nią, lekką stopę odbiwszy od ziemi,
Płynie Nike spod Wiednia skrzydły husarskimi.
Pasy stukcie jak wstęgi wkoło niej się płotą
A ona dmie przeciągle w długą surmę złotą.*

*I kiedy przelatują nad laurów szpalery
Nagle szum w wawrzynowej podniósł się gęstwiny:
Srebrny orzeł wyfrunął i wysoko płynie
Na wzniesionym ramieniu Nike Samo-Sierry
Pod niebem rozgwieżdżonym to świecą to giną
Aż wreszcie nad Italią swe skrzydła rozchwiały
I syplą teraz kwiaty ze wszystkich pól chwały
Na groby i na Nike spod Monte Cassino.*

Jan LECHOŃ.

Litania na Monte Cassino

*Pocóżcie przyszli
Naruszać ich sen,
Nad którym kłęcz
I twarz w dłoni chowa
Dolorosa mogiła,
Aniołowie ciągnący
Żałobny tren,
Opowieść bolesną
Od Lwowa
I Wilna?*

*— Krzywdą naszą
Jest taka jak ich,
Co się kładli na skały
Pod ogień i otół:
Wygnańśmy z domu,
Gdzie czarny wichr
Przewrócił świecę
I podał mszałę
Zabitych deskami
kościółów.*

*Umilkli, i pochyłili się
Ukłonili, i zamysłili się
Pielgrzymujący aniołowie.*

*I pochyliły się nisko
Skrzydła ich srebrne,
Ręce złożone,
Oczy doniebne
I modlą się razem
Pod twoją obronę
Panie, co nosisz
Z tarniny koronę
Na umęczonej głowie.*

*I każdy wziął w rękę,
Jak dawniej w kościele,
Wstęgę z nutami
I skrzypce i smyczek
I rozpoczęli
Święci, śpiewacy
Arie niebieską
Z polskich kantyczek.*

*I popłynęły modlitwy,
Płnnicze błagania,
Jak latem u nas
Pachnąca lipami
W niedzielę
Szemrze*

*I szumią po łąkach
I z pól wiało pszennych
I w ziemię zapadło
Głęboko, aż w sen ich,
I szczęście się stało
I stała się groza
I przyszła matka,
Ich Dolorosa,
I kości w poglebiu
Ruszyły się śpiące,
Jedna i druga
I sto i tysiące,
I gniew szedł za gniewem
I wojsko za wojskiem
I nagle się wszystko
Objęło tym śpiewem
I zbiegło się w górę
Wysoką, urwistą
I ogniem spłonęło
I dokonało się
W śmierci i święcie
Straszliwe dzieło,
Zakłęcie.*

*Więc umilkli. I pochylali się
 Nad poległymi. I zasłuchali się
 Pielgrzymujący aniołowie:
 Nie wołajcie nam już o krzywdzie,
 Nie mówcie o naszym dziele,
 Zaspiewajcie nam zgrzebną litanję,
 Jak pod lipami, w chłopskim kościele.
 O nowogrodzkich kapliczkach,
 O leśnych jeziorach litewskich
 Poszukajcie nuty w kantyczkach
 Poszukajcie w śpiewnikach niebieskich.
 Jak pachnie podolskie konopie
 I w sadzie powidło jesienne,
 Jak Dniestr poprzez jary się kopie,
 Winnice jak grzeją się sennie
 I latem jak kwitnie tam len.*

*Poszukajcie tej nuty w kantyczkach,
 Bo bez niej pod ciężką chwałą
 Żalobny skamieniał nam tren
 I serce nam skamieniało
 A szczęścia przecież tu mało,
 Bo bez niej dla nas jest tylko
 Noc bardzo czarna,
 Południca cmentarna,
 Drapieżny,
 Wilczy
 Sen.*

Kazimierz WIERZYŃSKI.

"Za słowo"

*«Czy ten ptak gniazdo kala co je kala
 Czy ten co mówi o tym nie pozwala».*
 Norwid.

Kiedy myślę o Związku Sowieckim, przychodzi mi na myśl opowiadanie kolegi poety, który ponad rok przesiedział w północnym łagrze sowieckim. Byli tam skazani żołnierze polscy, kapłani rosyjscy, komuniści irańscy i hiszpańscy, chłopcy ukraińscy i wielka masa szarych obywateli sowieckich. Co rano o świcie szli w okresie okrutnych mrozów zagłodzeni do lasu, by rąbać drzewo. Szli gęsiego, ścieżyną w śniegu udeptaną. Prowadzący ich krasnoarmiejec przed wyruszeniem kolumny odwracał się do długiego węża więźniów i wygłaszał głosem donośnym sakramentalne słowo:

— Krok na prawo, krok na lewo, kula w łeb, a teraz śpiewajcie!

I wtedy wąż więźniów musiał śpiewać zawsze tę samą pieśń, którą tysiące razy sam słyszałem w chrypiącym radio obozowym:

*«Ja drugiej takiej strony nie znam
 Gdzie tak wolno dyszeć człowiek».*

Przypomina mi się jeszcze zapadła wioska w sowieckiej Mor-dowie, gdzie w chałach nie było mężczyzn, tylko same kobiety i dzieci. Na zapytanie, gdzie mężowie, ojcowie, odpowiadano, że ich «zabrano», a gdy się kto pytał «za co», matki czy żony odpowiadały po cichu:

— «Za słowo».

Opuszczając Rosję Sowiecką, wyniosłem poczucie nieoddychalnej, dławiącej atmosfery nie dlatego, że tam zmarli z głodu lub zostali zamordowani ludzie bardzo mi bliscy, że wyginęły tam setki tysięcy rodaków, ale że to był kraj *milczenia*. Że nie tylko jest tam krzywda człowieka, wyzysk i zło (ileż razy i tutaj na Zachodzie wstydzić się musimy zła i krzywdy, z którymi się stykamy, lub które sami popełniamy), ale że tam nie można było nawet krzyknąć, zaprotestować, na zbrodnie palcem wskazać, że tam nie wolno było nikomu wychodzić poza optymistyczny frazes «Światło legczy żyć!», «Ja drugiej takiej strony nie

znaju...» itd., każde słowo stawiające pod znakiem zapytania prawa i moralność Związku lub jakiejkolwiek rozporządzenie wyższej władzy, jest tym «słowem», za którym idzie taka czy inna likwidacja człowieka.

Wspomnienia te wróciły do mnie po przeczytaniu w ostatnim numerze «Kultury» — «Pożegnania» Bobkowskiego. Nowelka ta wywołała gwałtowne komentarze i nawet zgorszenie niektórych czytelników. Autor noweli prawie nie poruszając drugiej strony medalu, to znaczy warunków bytowania krajów w zasięgu sowieckim, wykazuje ustami bohatera, którego nazywa «Ghandim», w formie wnikliwej i literacko świetnej nędzę Zachodu, łatwizny i fałszywość, kryjące się za dumną fasadą «cywilizacji Zachodu», «cywilizacji chrześcijańskiej».

Gdyby artykuł o tych akcentach krytycznych nie o Zachodzie, ale np. o Związku Sowieckim autor chciał wydać w jednym z krajów szczęśliwego Związku Sowieckiego, to już przed jej wydrukowaniem powędrowałby jako «złoty faszysta» bardzo daleko... «za słowo». «Kultura», umieszczając tę nowelę z tak gwałtowną krytyką Zachodu, a więc i emigracji, która w Zachód ten wrasta — dała świadectwo, że rozumie konieczność myśli krytycznej, skierowanej także przeciwko sobie.

Siłą pisarza z prawdziwego zdarzenia są jego «anteny»; o ileż bezpieczniej i rentowniej pisać o sprawach nie ulegających dyskusji, przekonywać przekonanych. Ale «anteny» nie dają pisarzowi spokoju, każą pisać o sprawach groźnych, których inni jeszcze nie widzą lub widzieć nie chcą.

Błok słyszał szum walących się światów, Zeromski widział tłum skomunizowanych robotników zdobywających Belweder, symbol naszej tylko co zdobytej wolności. «Krew ścinała mi się w żyłach, gdy pisałem te strony „Przedwiośnia” — wyznawał potem wielki pisarz, — ale chciałem wstrząsnąć sumieniem Polaków». Jakież Związki Ziemianek żądały wówczas, by za karę odebrano wszystkie omiery, by napiętnowano tego Zeromskiego... bolszewika.

Czy autor «Pożegnania» chciał także «wstrząsnąć sumieniem» już nie Polaków tylko? Stawia on na nowo zagadnienie Zachodu. Czym jest Zachód, czy aby to nie już «grób pobielany»? Nie ma prawie artykułu politycznego, w którym by się nie szermowało pojęciami cywilizacji zachodniej, kultury chrześcijańskiej. Tak że te pojęcia stały się dla wielu startymi monetami, przy każdej sposobności się je wyklada i już nikt nawet nie wie, co są one warte. A przecież ludzie narażali i narażają życie swych bliskich, giną i giną, by nie być oderwani od Zachodu. I takich ludzi jest dziś na świecie nie tylko tysiące, ale na pewno miliony. Ilu z nich aresztują na granicy władze «ludowej demokracji», ilu ginie od kul, a ilu wegetuje od lat w obozach w Niemczech, czekając na wizy byle gdzie, byle w świat, byle dalej od «Wschodu».

Poprzez swe anteny, autor opowieści «Pożegnania» wyczuł,

że trzeba znów spojrzeć na nowo na ten świat zachodni i nie bać się wskazać palcem na jego ciemne strony.

Bohater nowelki, po paru tygodniach spędzonych w Paryżu, mówi przyjacielowi:

«Od pewnego czasu zacząłem się budzić rano z jakąś zupełną nieludzką ochotą krzyku. Nie wiem czy znasz to uczucie, ale to jest potworne. Zaczyna się dzień normalny... tak miałbyś ochotę ryknąć że to co robi się dzisiaj, to jest przesyccone kłamstwem, szablonem, strachem i obłudą...»

Ten «Ghandi» z nowelki Bobkowskiego nie jest wcale jedy- nym, który ma ochotę na Zachodzie krzyczeć o nieprawości; zbyt jej dużo na każdym skrawku kuli ziemskiej, nieprawości, obojętności na zło i krzywdę ludzką. Kto z nas ma prawo zatkać usta krzyczącemu, jakimi ogólnikami wolno go uspakajać?

Może właśnie wyrazem godności Zachodu jest także i ta nowela, to bezwzględne spojrzenie na swoją rzeczywistość. Rachunek sumienia, bez którego nie może być nadziei ani łaski oczyszczenia. Korzenie chrześcijańskie?

Świetny pisarz angielski Graham Green chyba najtrafniej wskazał, na czym polega istota cywilizacji chrześcijańskiej. Dla niego tkwi ona w poczuciu winy. Wcale nie doskonałości swych form. Bo doskonałej cywilizacji jeszcze nie było nigdy, i wszędzie, gdzie był człowiek, było zło i krzywda ludzka. Ale w cywilizacjach chrześcijańskich człowiek dźwigał w sobie poczucie winy za zło dokonane, za zło na świecie.

Green cytuje kronikę z ciemnych lat tyranii XII wieku w Anglii. Są tam tortury te same co dzisiaj i męki i wyzysk ten sam co dzisiaj. «Ziemia już nie dawała ziarna, można było równie dobrze orać ocean, bo ziemia zgubiła dzięki złym czynom i mówiono otwarcie, że Chrystus i święci śpią», píše ówczesny kronikarz.

Green dodaje, że jeżeli święci śpią, to przecież najgorsi tyranie nie wyrzekli się ich i dzięki temu najgorsi tyranie mieli złe sumienie, furtkę ku skrusze, wstyd za zły uczynek, to złe sumienie, z którego uleczyły człowieka państwa totalistyczne.

Jeżeli czytać «Pożegnania» Bobkowskiego nie na tle łatwych, propagandowych i pokrzepiających wypisów dla młodzieży, ale na tle dzisiejszej literatury Zachodu, chociażby tegoż Greena, wnosi ta nowela do naszej literatury akcent tyłu dzisiejszym pisarzom Zachodu bliski, bolesnej krytyki nas samych i zmusza nas do zastanowienia, dlaczego wbrew wszystkiemu jesteśmy z Zachodem.

Skończył się przed paru dniami tydzień pisarzy katolickich, m. inn. wystąpił nieznanymi szerszemu ogółowi utalentowany pisarz katolicki (autor książki o Kafce Rochefort¹⁾). Jego odczyt wypowiedziany przed tłumem zebranych katolików, wśród któ-

¹⁾ «Kafka ou l'Irréductible Espoir».

rych byli najwięksi pisarze i dostojnicy kościoła, był krzykiem na alarm wcale nie bledszym od krzyku «Ghandiego».

Czy mamy prawo nazywać się katolikami, chrześcijanami — wołał Rochefort, — czy mamy prawo mówić o cywilizacji zachodniej, kiedy ludzie, co w ten Zachód wierzyli i tu do nas przez dziesięć granic się przedarli, tracąc wszystkich bliskich w walce o prawo, by mogli modlić się do swojego Boga, by mogli wierzyć nadal w ideały Zachodu, ideały wolności i godności człowieka, jeżeli ci ludzie otrzymują od nas kamień zamiast chleba, a setki tysięcy tych nieszczęsnych gniją w rękach obojętnych międzynarodowych biurokracji, odwiedzane od czasu do czasu przez komisje, które macają bicepsy, wybierając jako rodzinę do różnych krajów tylko najmłodszych, najzdrowszych, a nawet najprzystojniejszych.

Kultura chrześcijańska! Ależ co z tą kulturą ma wspólnego ta wygodna obojętność na nędzę i te targi niewolników i ta biurokracja, te miesiące dyskusji i walk o takie czy inne personalia komisji, urzędujących w obliczu ginących, opuszczonych od Boga i ludzi!

Rochefort zasypał słuchaczy przykładami wołającymi o pomoc do nieba. Ten jego był ostrzejszy, gwałtowniejszy, niż ten «Ghandiego» z «Pożegnania».

Godności tego Zachodu bronią ludzie, dla których słowo Zachód i słowo Chrześcijaństwo nie są pustymi słowami, którzy chcą o oblicze tego Zachodu walczyć, zmusić ten Zachód i nas wszystkich z nim do postawy bardziej ofiarnej i bardziej aktywnej, bo tylko taka postawa nas obroni przed długą nocą, w której musielibyśmy wszyscy śpiewać:

*«Ja drugoj takiej strony nie znaju,
gdzie tak wolno dyszet człowiek».*

Józef CZAPSKI.

Emigracja i Kraj

*«Jest w Polsce jedna droga znana od stuleci,
którą wolność wraca z wszystkich wygnañ. Miłość».*
Kazimierz Wierzyński.

I

Świadomie odwracam już uświęcone zwyczajem — i eurytmią — następstwo tych dwu wyrazów. Robię to nie dlatego, jakobym uważał, że zmieniło się coś w proporcji, w stosunku zależności i służebności. Robię to z tej przyczyny, że pragnę złamać nabożny konwenans, czysto formalną kulturowość odnoszenia się emigracji do Kraju. I jeszcze i przede wszystkim dlatego, iż dokopanie się do jasnej samowiedzy jest dla emigracji ważniejsze niż cokolwiek innego. Tylko emigracja w pełni świadoma siebie może zająć właściwą postawę wobec Kraju i może spełnić przypadające jej zadanie. Jest ona tylko do pewnej, bardzo niedalekiej granicy, sprawą odruchu czy porywu, wyzwaniem i brawurą. W samym ośrodku jest emigracja sprawą pełnej świadomości i pełnej odpowiedzialności. Stanowi przedsięwzięcie racjonalne.

Można już na to spojrzeć z pewnego dystansu: od chwili powstania emigracji 1945 r. dzielą nas dwa lata. Ten dystans, choć niewielki, jest pożyteczny. Pozwala już na wstępne bilansowanie. Umożliwia formułowanie żądań. Słowem: sprowadza rzecz na grunt rzeczywistości praktycznej.

Dotąd, zwłaszcza na początku, myśleliśmy o emigracji podobieństwami, widzieliśmy przede wszystkim zjawisko powtarzalności. Emigracja 1945 r. tworzyła nowe ogniwo w łańcuchu pięciu czy sześciu emigracji poprzednich: uczestników konfederacji dzikowskiej do Królewca, Barszczan do Benderu, powstańców kościuszkowskich i uchodźców późniejszych, z których formowały się na obcej ziemi Legiony Dąbrowskiego, emigracji polistopadowej, emigracji postyczniowej i późniejszych, mniejszych liczebnie, wśród których najbliższa nam jest emigracja londyńska z przełomu XIX i XX w.

Włączając ją do szeregu, myśleliśmy o emigracji naszego czasu gotowymi wzorcami, przyjmowaliśmy działanie pewnych automatyzmów. W rzeczywistości sprawa wygląda odmiennie.

Twierdzenie, że historia się powtarza jest prawdziwe z poprawką, iż nigdy nie powtarza się całkowicie. Za każdym razem to samo jest — inaczej.

Oczywiście byłoby źle, gdybyśmy nie czuli w sobie dziedzictwa emigracji poprzednich. Ale byłoby jeszcze gorzej, gdybyśmy w tym punkcie zatrzymali rozwój samowiedzy. Doszliśmy do granicy, od której należy szukać przede wszystkim różnic a nie podobieństw, odrębności naszego losu i zadania od losów i zadań emigracji poprzednich. Sądzę, że dopiero w świetle takiego dociekania jasno wystąpi stosunek do Kraju, obnażą się utajone wstydlivości, rozwiążą się węzły pojęciowe i uczuciowe.

2

W tym przewodzie należy zacząć od początku, bo też początek emigracji 1945 r. jest niepodobny do niczego w przeszłości. Wszystkie emigracje wychodziły z Kraju — postanowienie naszej emigracji zapadło poza Krajem. Wyszliśmy wprowadzić na obczyznę w r. 1939, ale postanowiliśmy do niego nie wracać, poczulismy się emigrantami dopiero w sześć lat później.

Może ktoś powiedzieć, że jest to rozróżnienie czysto scholastyczne. Ma ono jednak pokrycie w psychologii zbiorowej. Masa walcząca poza Krajem nie czuła się emigracją, broniła się instynktownie przeciw tej świadomości. Gdy w r. 1942 ogłosiłem w «Wiadomościach Polskich» szkic publicystyczny pod tytułem: «Rzuty do socjologii emigracji», samo postawienie sprawy wzbudziło sprzeciw. Najwyraźniej masa żołnierska, choć ze stanowiska ścisłości socjologicznej była już emigracją — nie zarobkową, nie polityczną, ale «wojenną» — w postawie duchowej, w dojrzałości i gotowości nią na pewno nie była.

Taki punkt startowy wikła nie w politycznej istocie, ale w obrazie psychologicznym wzajemny stosunek emigracji i Kraju. Jesteśmy emigracją niejako spoza Kraju — staliśmy się nią, kiedy społeczeństwo po latach rozłąki oczekiwało naszego powrotu, kiedy w oszołomieniu klęską, w obliczu daremności wieloletnich wysiłków i wielomilionowych ofiar przeżywało ciężki kryzys, jeden chyba z najcięższych w naszej historii. Podtrzymywać walkę, angażować w nią ludzi i energie znaczyło wtedy iść przeciw woli Kraju.

Z tym brakiem bezpośredniego mandatu sprzegły się po naszej stronie inne jeszcze okoliczności. Przede wszystkim sytuacja chwilowego uprzywilejowania, materialnego zabezpieczenia, jakie dawała walka w ramach sprzymierzonych sił zbrojnych. To, co by się mogło wydawać ułatwieniem, stało się — obciążeniem. Pozbawiło nas tej szczególnej, gotowej na wszystko determinacji, jaka towarzyszy każdemu ruszeniu w świat obcy, jaka towarzyszy rzuceniu się ze stałego, znajomego brzegu na rwącą wodę.

Te okoliczności sprawiły, że emigracja 1945 r. odczuwa wobec Kraju jakby kompleks upośledzenia. Mając poczucie całkowitej słuszności swoich rozstrzygnięć, jest jednocześnie wewnętrznie spełniona, onieśmielona, niepewna siebie. Taki stan rzeczy wydaje się na dłuższy dystans niebezpieczny.

W tym przekroju nasza emigracja jest jak najbardziej niepodobna do wychodźstwa po r. 1831. Czuło się ono narodem i prawie było — całym narodem. Przez lat co najmniej dziesięć Kraj nie przejawiał bardziej istotnej inicjatywy politycznej i kulturalnej. Taki układ sytuacyjny nie może się powtórzyć, a gdyby był możliwy — nie powinien by się powtórzyć. Ale też ostatnia emigracja nie dorosłaby do wysokości swoich przeznaczeń, gdyby nie dożyła na wierzch swego kompleksu, gdyby go nie rozwiązała i nie ustawiła się we właściwym położeniu wobec Kraju.

3

Jest to tym ważniejsze, jest to zabieg tym bardziej nagły, że w naszym losie zawiera się coś, co albo nie zaznaczało się w ogóle w losie innych emigracji albo zaznaczało się w stopniu nieporównanie mniejszym. Niektóre z nich, jak emigracja polistopadowa prawie niepodzielnie panowały nad opinią w Kraju, miały dla niej znaczenie prawodawcze. Nawet później, pod koniec stulecia, gdy przygasił nimb emigracji, z niej przecież szły pobudzenia dla głównych ruchów politycznych, żeby tylko wspomnieć «Ligę Polską» i tzw. program paryski PPS.

Jakby z panicznego strachu przed podobnym obrotem rzeczy, nowy zaborca rozpętał przeciw emigracji 1945 r. akcję zniesławiania, oczerniania, dyskredytowania na olbrzymią skalę. Trzeba odważnie stwierdzić, że ta gra, najbardziej nikczemna z nikczemnych, przyniosła skutek większy, niż oczekiwaliśmy tego i pragnęli.

Tłumaczy się to wielu względami. Tym, że ostatnie wychodźstwo polityczne nie jest bezpośrednią w czasie delegacją narodu. Tym, że został przeciw niemu wykorzystany cały tragiczny splot okoliczności, został rzucony na szalę cały ciężar win nie-naszych. Wreszcie i przede wszystkim tym, że do roboty wprężnięto aparat propagandowy, który łączy w sobie agresywność kominternowskiego stempla z szatańską przemysłowością nieświątej pamięci dr Goebbelsa.

Cyniczne kalumniatorstwo zdołało nadać dość rozległy obieg dwu twierdzeniom: że emigracja nigdy nie ma słuszności i że emigracja nigdy nie zgadza się z Krajem. Oba te twierdzenia są oczywiście aprioryczne, powzięte z góry i jak najdalsze od prawdy.

Rzeczywistość raz jeden już im zaprzeczyła. Emigracja miała słuszność, głosząc od r. 1945 zarówno niecelowość oporu zbrojnego, jak i niepodobieństwo tzw. opozycji legalnej w na wskroś

przecież nielegalnym układzie politycznym. Jeśli miała jakiś sens «opozycja Kaliszana», przewodzona przez braci Niemojowskich w Królestwie Kongresowym rządzonym konstytucyjnie, to oczywiście nie miała ona żadnego sensu w zależności sowieckiej, rządzonej przez nastanych komunistów.

Emigracja dała tutaj świadectwo istotnego realizmu, który nie jest pospolitą kapitulacją i całkowitym zarzuceniem imponderabilów moralnych. Rozpoznała lepiej rzeczywistość. W tym rozpoznaniu wyprzedziła Kraj.

Wynika z tego zasadnicza konsekwencja: gdybyśmy teraz wychodzili z Kraju albo dopiero w tej chwili postanowili związać się poza Krajem w emigrację polityczną, mielibyśmy błogosławieństwo, jakiego udziela matka synowi, uchodzącemu przed zagrożeniem, ten mandat bezpośredni, jaki daje synowi ojciec, składając mu spełnienie zadań, których sam nie może spełnić.

To pierwsze potwierdzenie emigracji przez Kraj usuwa przyczynę kompleksu. Ułatwia ono przewyciężenie także ubocznych handicapów startu. Zabezpieczenie materialne zamieniamy na zabezpieczenie moralne, stały żołądek na stałą swobodę — ta świadomość powinna skutecznie dopełnić samoleczenia.

4

Cała ta pierworodna zawilgość, która może być dzisiaj usunięta, pozwala postawić zagadnienie zasadniczego stosunku emigracji do Kraju.

Należy się z tym pogodzić, że nie może on być prosty, ale na razie jest — prymitywny. Ciągłe popełniamy błędy perspektyw, ciągle młotamy się w sprzecznościach. Każdy drobny oddech idący z Kraju: list często pisany pod naciskiem nieznanych okoliczności, każdy przyjeżdżający znajomy, nawet przygana w inspirowanym piśmie mają absolutną ważność. Wszystko jest takie bez względu na swój ciężar gatunkowy albo — nic. Nawet wielkie procesy, przemiany sięgające gruntu, samego podglebia egzystencji zbiorowej.

Trzeba tu jakieś busoli. Bo pierwsza postawa prowadzi do skrzywienia własnej linii przez impulsy niepoddawane krytycznej ocenie. Druga jest uczepieniem się linii wichrowatej, która nigdy i nigdzie nie spotka się z linią Kraju. Pierwsza postawa wpędza w historyczną, paraliżującą nastrojowość, druga grozi zamknięciem się w skorupie odosobnienia.

Sytuacja jest niebywale trudna. Nie podobna sobie wyobrazić możliwości najlepszej: aby emigracja była mandatariuszem Kraju w dosłownym, literalnym znaczeniu tego słowa. Nie ma tam dziś ośrodka niezależnej opinii, ani aparatu ogarniającego i poruszającego tę opinię — takiego, jaki działał w czasie wojny. A nawet gdyby taki ośrodek, taki aparat istniał, jego głos, jego wola, byłyby, jak są teraz, zniekształcane przez mechanizm głąszący, przez diaboliczny pryzmat, ustawiony między Krajem

i emigracją. W tym pryzmacie gra na powierzchni zakrywa przed naszymi oczyma procesy głębinowe, stupajki szarogesiące się w Polsce z łaski obcych bagników przesłaniają nam społeczeństwo. Społeczeństwu ten sam pryzmat wykrzywia obraz emigracji, która jest krwią jego krwi i kością jego kości.

Dlatego musimy przyjąć prawdę nad wszelkie słowo dotkliwą, że Kraj w sensie żywej, stojącej się, przemiennej atmosfery duchowej jest pojęciem właściwie nieuchwytnym, wieloznacznym, prawie niepoznawalnym, trudnym do uchwycenia w precyzyjny zarys. Jak długo emigracji sądzone jest być sobą, będzie ona skazana na wiedzę ułamkową, na orientację niepełną, na niebezpieczeństwo przeoczenia jednych i przecenienia innych szczegółów, przeoczenia ważnych, przecenienia nieistotnych.

W świetle tego stwierdzenia emigracja polityczna staje się w wysokiej mierze sprawą intuicji i sprawą wizji — tych instrumentów, którymi częściej od człowieka czynu posługuje się człowiek sztuki i człowiek nauki. Powiedziawszy to, można by już nie powtarzać, że emigracja jest postawą wyznawczą, że opiera się na wierze, na podporządkowaniu sobie wartościom wyższym, że jest służbą w czymś imieniu i dla czyjegoś dobra. Jest tym albo — nieczym.

Z takiego pojmowania emigracji wynikają zupełnie praktyczne nakazy. Intuicją i wizją musi ona ominąć ten piekielny pryzmat, który odgradza nas od Kraju. Nie ulegając sugestii pozorów, pół-prawd i prawd podszytych kłamstwem musi być świadoma, że działają one na ludzi poddanych ich ciągłemu uciskowi. Człowiek przystosowuje się do zwiększonego ciśnienia atmosferycznego, do przesylenia powietrza wilgocią, nawet do obecności takich czy innych mikroorganizmów w bezpośrednim otoczeniu. Przystosowuje się, to znaczy: zmienia się.

Wobec tego procesu można zająć dwa stanowiska: potwierdzić lub zaprzeczyć. Potwierdzenie naruszałoby sens, samą podstawę, samą rację bytu emigracji. Zaprzeczenie w całej rozciągłości zderzałoby się z jej znaczeniem głębszym, trwalszym, z tym mianowicie, że emigracja jest przecież żywą, choć mechanicznie odłączoną częścią narodu, zdążającą do tego, aby się z nim zespelić.

Występuje tu ekwilibrystyczna trudność, moralna obojętność stanowiska emigracji. Musi ona całą mocą przeczyć wszystkiemu, co obce, narzucone, służące cudzej rachubie. Musi jednocześnie dojrzeć i przyjąć to, co łączy głębokie, niestarte rysy na obrazie społecznym, co pokrywa się z naszą własną dynamiką rozwojową, co inaczej, lepiej, właściwiej, ale przecież by się stało, gdyby wypadki potoczyły się inną koleją.

Od innej strony, niż dotąd mówiono, narzuca to możliwość — i konieczność — podziału ról między Kraj i emigrację. Kraj znajduje się w położeniu przymusowym, jest właściwie poza wyborem. My dokonaliśmy wyboru, bo mogliśmy go dokonać.

ale też stoimy wobec wszystkich złożonych następstw tej decyzji. Kraj jest skazany na doraźność, na przetrwanie, na głuchą odpór, bo stanowi mimowolny przedmiot wiwisekcji. Wychoźstwo polityczne ma swobodę i obowiązek twórczego teoretyzowania, porządkowania elementów, tworzenia konstrukcji ideowej, tworzenia przeciwciała. Jest to po prostu obowiązek wolności, jeśli nie ma ona być tylko — przywilejem.

Tę postawę bardzo trudną, ale bodaj jedynie możliwą warto zilustrować na zagadnieniu społecznym i kulturalnym.

5

Emigracja naszego czasu w niedostatecznym stopniu ogarnia wagę pierwszego zagadnienia. W niedostatecznym także stopniu pojmuję ona, że w polskim ustroju społecznym poza sztafażem kłamstwa, pozorów, propagandy dokonują się zmiany głębokie, które nie dadzą się odwrócić. Inną rzeczą jest w tym, co się w Polsce dzieje, motyw i natchnienie, inną — wpływ na kształt życia zbiorowego. Osadzić w świadomości to rozróżnienie jest nieledwie równie ważne, jak odróżniać naród i jego obecnych rządów z obecnej poręki.

Na przekór temu, co powiedziano na początku, narzucają się tu uderzające podobieństwa z przeszłością. Emigrację poprzedziła, od emigracji listopadowej zaczynając, odważnie stawiała sprawę społeczną. Już pierwszy manifest Polskiego Towarzystwa Demokratycznego z r. 1832 uczynił z niej ośrodek koncepcji programowej, podejmując z naciskiem kościuszkowskie lunctim walki o niepodległość i wolki o wyzwolenie społeczne.

Nie ma na pewno żadnej przesady w stwierdzeniu, że było to postawienie sprawy — epokowe, rozstrzygające o losie Polski. Zaważyło ono, mimo że zniesienie pańszczyzny w Galicji i uwłaszczenie chłopów w Królestwie podjęły obce, zaborcze rządy, oczywiście nie z natchnień idealistycznych, ale w imię zaborczego, obcego interesu. Pozycja raz zajęta w świecie idei, jako pozycja polska, nie dała się już zawłaszczyć.

Zaczyn emigranckiego Towarzystwa Demokratycznego działał przez dziesiątki lat, przez całe pokolenia. Jeszcze Wyslouch, główny teoretyk i właściwy twórca ruchu ludowego, należący do generacji naszych ojców, był w prostej linii dziedzicem ideologii Towarzystwa Demokratycznego, gdy w r. 1886 pisał w *Włowskim Przeglądzie Społecznym*: «...sprawa polska stała się sprawą kilkunastu milionów ludzi, z którą prędzej czy później państwa i ludy sąsiednie liczyć się będą musiały...».

Podobieństwo z sytuacją dzisiejszą wydaje się zupełne, różnica występuje tylko w jaskrawości motywu zaborczego. «Postępowość» dzisiejszych przywódców rewolucjonistów i reformatorów jest bardziej ostentacyjna i głębiej zakłamaną, niż dziewiętnastowiecznych zaborców. I siła napędowa imperializ-

mu rosyjskiego, pomnożona o mistykę komunistyczną jest dziś większa jeszcze, niż była sto lat temu.

Ale też — tu zaczynają się zasadnicze różnice — tej sile napędowej stawia opór nie jedna górna warstwa, ale cały naród we wszystkich przekrojach społecznych. Opór sięga samego dna. Jakże dalecy jesteśmy od pesymistycznej relacji czwórnego demokracji, Seweryna Goszczyńskiego z r. 1838: «...nie ma podobieństwa, ażeby przed powstaniem można wlać w lud niejakie pojęcie całej ważności przyszłego powstania i usposobić go na lud, godny Rzeczypospolitej». Dziś to «niepodobieństwo» jest rzeczywistością — nie poradzą na to wielkopańskie i drobniomieszczańskie grymasy.

W tym stanie rzeczy emigracja 1945 r. nie może dopuścić, aby ktoś inny zawłaszczył jej dziedzictwo historyczne, dalsze i bliższe i całkiem bezpośrednie: Polski Podziemnej. Jeśli miała by się stać białą emigracją, byłoby lepiej w ogóle nie podejmować jej ryzyka.

Niebezpieczeństwo nie jest bynajmniej urojone. Przez sto lat emigrację polską obrzucano zarzutem rewolucyjności, piętnowano w mieszczańskie Europe jako bandy podpalaczy świata. Nas wypycha się siłą, ale w imię tej samej przewrotnej logiki — do obozu reakcji społecznej. Robi się to na użytek zewnętrzny i wewnętrzny. Płatny skryba pisze: «...Wielka Emigracja wróciła do Kraju... na czele Polski Odrodzonej stanęli duchowi spadkobiercy Wielkiej Emigracji, za granicą zostali jej tradycyjni przeciwnicy. Role się odwróciły. Nie tyle role właściwie, co miejsca».

Stawka w tej grze — grze nie tylko na słowa — jest olbrzymia. Idzie o odwrócenie sensu historycznych słów Wysloucha, idzie o to, aby «sprawa polska przestała być sprawą milionów ludzi». Jeśli by się to dokonało, nie można by już mówić o narodzie polskim w nowoczesnym pojęciu. A do narodu szlacheckiego z końca XVIII w., do narodu inteligenckiego z połowy XIX w. oczywiście nie ma powrotu.

Cała ta sprawa nie jest sprawą «licytowania się» na hasła, jak to się niektórym wydaje. Można to ująć ściśle i prosto w formule: nikt rozsądny nie oddaje dobrowolnie broni, nie schodzi z pozycji. A właśnie w tym rzecz, aby nie oddać broni, która wbrew wszystkiemu urobiła z «czerni» 1846 r., z nieświądomiej mierzwy społecznej — świadomy siebie i swoich przeznaczeń naród polski.

6

Nie mniejsza odpowiedzialność ciąży na emigracji w zakresie kultury. Tutaj, przeciwnie niż w zagadnieniu społecznym, rzucają się w oczy przede wszystkim różnice z przeszłością, nie podobieństwa.

Wystawiwszy fasadę pozornej państwowości, wywiesiwszy

na niej sztandar pozorowanej postępowości, dzisiejszy zaborca schwycił się jeszcze jednego, zupełnie niebываłego sposobu: uświęcił pozorą narodowość. Jest to więcej niż różnica. Jest to postawienie sprawy na głowie.

Po rozbiorach przeżyliśmy jeden z największych, może największy, kryzys świadomości zbiorowej, bo śmierć państwa skojarzyła się w niej i utożsamiała ze śmiercią narodu. Wtedy obalenie formy zagroziło treści, substancji, jaźni narodowej. Teraz forma ma treść, substancję, jaźń zastąpić. Bo pozorna państwowość osłania dziś — odnawianie narodu.

Ta metoda, której makiawelizm sięga granic niemal metafizycznych — dąży do tego, aby zerwać ciągłość naszej kultury duchowej, aby ją pozbawić istoty odrębności za cenę egzaltacji, nawet egzageracji pozorów, symbolów, znaków zewnętrznych. Pozbawiona własnego miąższu, wytrawiona od wewnątrz, sprowadzona do obowiązującego schematu treści, bezdźwięczna i bezbarwna, ma ona niepostrzeżenie wsiąknąć, jak woda w piasek, zagubić się, jak strumień w nurcie rzeki. Ma stać się nie kulturą polską, ale polsko-sowiecką, albo jeszcze ściślej: kulturą sowiecką, wysławiającą się językiem polskim, tak samo powolnie, jak się wystawia językiem uzbeckim czy turkmeńskim.

Jest to zabieg rozłożony na etapy, przeprowadzany z pedanterią doświadczenia naukowego. Byłoby naiwnością przypuszczać, że jakiś artykuł przemycony do prasy krajowej za cenę upokarzającego stania w kolejce, że poddanie się cenzurze prewencyjnej za granicą, jak to zrobiło jedno z emigracyjnych pism literackich («Horyzonty») — rozwiązuje lub choćby napoczyna sprawę.

Przed żadną emigracją nie stała ona w takiej grozie, przed żadną nie urastała do takich wymiarów. Wychodźstwo po r. 1831 przez lata, w każdym razie co najmniej przez pełne dziesięciolecie było jedynym wytwórcą walorów kulturalnych. To co się działo wtedy w Galicji posiadało — poza jednym Fredrą, a i Fredro właśnie zamilkł — znaczenie lokalne. Poznańskie ożywiło się przed r. 1846 właśnie przez związek z emigracją dzięki idącemu od niej pobudzeniom. Wszystkie inne emigracje tak czy inaczej, w większym lub mniejszym stopniu wpływały na rzeczywistość kulturalną Kraju. Niektóre z nich były po prostu pomyślane jako jego czasowe ekspozytury do wykonania prac, których nie można było dokonać pod zaborem.

Dla nas sytuacja wygląda całkowicie odmiennie. Cały zasób materialnych możliwości działania kulturalnego znajduje się w Kraju. Jest totalistycznie skupiony w jednej dyspozycji. Przemówienie p. Bieruta na otwarciu radiostacji wrocławskiej nie pozostawia już ani cienia wątpliwości, że ma ona służyć tworzeniu kultury, robionej na rozkaz i pod kontrolą, planowanej, otwarcie, nie dyskretnie inspirowanej, dozorowanej brutalnie, jak w obozie pracy niewolniczej, obliczonej na najszerszy zasięg.

Emigracji politycznej nie stać na równoważne przeciwdziałanie. Nie pozwalają na to zasoby materialne, ani zasoby ludzkie. Ale leży w granicach jej możliwości, więcej: jest jednym z pierwszych jej obowiązków — wytworzyć ośrodek przeciwdziałania, ostoję psychicznego oporu, akumulator skoncentrowanej woli, wektor całą siłą ciągnący w stronę przeciwną.

Sprawa, o której mówię, nie da się przetłumaczyć na kategorię ściśle wymierne, nie da się wyrazić w cyfrach nakładów. Siega ona — może tylko pozornie — instancji mistycznych.

Musimy rozpaczliwie i heroicznie uwierzyć, że w świecie duchowym liczy się przede wszystkim potencjał duchowy. Że waży on samym faktem istnienia. Że działa on nawet wtedy, jeśli nie robi mu się hucznej reklamy, jeśli nie czyni się zeń powolnego narzędzia, jeśli pisarze są tylko pisarzami, a nie ambasadorami, urzędnikami, kółkami wielkiej biurokratycznej maszyny.

Trzeba rozpaczliwie i heroicznie uwierzyć, że potencjał duchowy emigracji będzie działał bez tych wulgarnych uposażeń, a może właśnie — dzięki temu brakowi. Jeśli jest cień nadziei, rzecz leży nie w przystosowaniu się, ale w natężeniu odrębności, inności, w odrzuceniu wszelkich skrupowań, wszelkich kompromisów, nawet tzw. «szlachetnych». Kultura emigracyjna może zaważyć w śmiertelnej rozgrywce o treść kultury polskiej, a zatem o samą polskość, nie przez to, że przykroi się do szablonu, pójdzie pod strychulec, ale przez to, że będzie sobą, będzie kontrastowo inna, niewoląca swoją atrakcyjnością, nasycająca sztucznie wywołany niedosyt organizmu zbiorowego.

Potencjał duchowy emigracji będzie działał tym istotniej, tym pewniej, im emigracja, żywa, czująca komórka narodu, będzie czuła intensywniej, im bardziej częstotliwe drgania będzie wysyłała w ciemny eter, w noc rozposartą nad naszym krajem i nabrzmiałą napięciem walki.

Jestem gotów wziąć na siebie zarzut, że mówię o tej sprawie w sposób mało «realny». Ostatecznie było w tym coś z mistycznej wiary, z wiary rozpaczliwej i heroicznej, gdy po rozbiorach podejmowano trud ratowania samej nagiej świadomości, iż naród żyje, gdy na tę straszliwą wątpliwość, od której umarł Reytan, od której Książnin postradał zmysły — odpowiedź dała prosta pioseneczka legionistów Dąbrowskiego urodzona pod włoskim, emigranckim niebem, zaczynająca się od słów: «Jeszcze Polska nie umarła...».

Poza tym pierwszym przeznaczeniem potencjał kulturalny emigracji ma dwa inne zastosowania. Jeśli kogoś drażni mistyka, nie zadawała «napowietrzności» walki, na dwu odcinkach staje się ona czymś dotykającym i bliskim ziemi. Te odinki to: obrona przynależności do wspólnoty europejskiej i wiązanie narastającej diaspory polskiej.

7

Pierwsza sprawa dotyka bardzo uczulonego, urazowego ośrodka naszych odczuwań. Na przekór skłonności do automatycznego kojarzenia nas z Wielką Emigracją, w istocie bliżsi jesteśmy emigracji po r. 1863. Mamy podobny, jak ona uraz kłeski, podobnie jak u niej pogłębiony przez zawód uczuć moralnych, zawód wiary w słowo, prawość, solidarność narodów tej samej kultury. Przeżywamy odruchy zbliżone do tych, które u zapaleńców styczniowych budził kontrast ich egzaltacji z zimnym racjonalizmem Zachodu, ich ogłocenia z niewzruszonym w spokoju wyrachowaniem *laissez-faire'yzmu*.

Ale też i w tym miejscu wszelkie podobieństwo ustaje. Zachód jest dziś zagrożony przez ten sam kataklizm, który uderzył w naszą ojczyznę. Jest światem w ruchu, na jego widnokręgach zwiastują się nowe i nieuchronne możliwości. Jest na koniec światem, który, chcąc nie chcąc, musi podjąć obronę europejskiej, zachodniej, chrześcijańskiej koncepcji życia. A ta koncepcja życia była i jest nasza, musi być, jeśli jako naród mamy pozostać w rodzinie narodów europejskich, uczestniczyć, dalej we wspólnocie, scementowanej także krwią polską, rozszerzonej także polskim wysiłkiem cywilizacyjnym.

Świadomość takiego układu rzeczy stanowi drogę prowadzącą do rozwiązania «kompleksu zachodniego». Jest to niezbędne dla zdrowia emigracji, dla ścisłości jej ocen i celowości działań.

Musi ona czym prędzej dojrzeć, że ostatni obrót historii wmontował sprawę polską w najszerszy kontekst światowy, uczynił z niej funkcję wielokrotnie uwikłaną. Nie można dziś walczyć o Polskę bez myśli o regionie wschodnim Europy, o Europie jako całości, o świecie, który będzie jednością związaną w imię jednej zasady, albo — i to jest prawdopodobne — nie będzie go wcale.

Emigracja lat 1831-63 myślała uparcie, i trochę naiwnie, że odbudowa Polski leży w interesie Europy. Dla nas odbudowa Polski, przebudowa Europy, nowa budowa świata jest ciągiem związanym — leży w interesie całej kultury chrześcijańskiej. Tylko w obrębie tej kultury, tylko w nowym, uniwersalnym porządku ustanowionym pod jej znakiem jest miejsce na naszą polską odrębność i naszą europejskość.

Kraj nie może dokonać przerzucenia tej prawdy w świat zachodni. Podlega propagandzie antyzachodniej równie zajadłej, jak oszczercza propaganda przeciw emigracji. Nie ma możliwości przeprowadzenia spokojnej samoanalizy. Trudniej mu wypłatać się z «urazu zachodniego». Trudniej mu wybrać.

To wszystko naturalną kolejną rzeczą spada na emigrację, pozostałą na Zachodzie. W wyższym stopniu, niżby mogła przypuszczać, ma ona tu szlaki utarte przez emigracje poprzednie. Wszystkie one myślały i czuły kategoriami uniwersalistycznymi.

mi. «Kto mówi o interesach jednego narodu — pisał Mickiewicz — jest nieprzyjacielem wolności». «Chcieć poprawiać stan narodu jakiego niezależnie od stanu Europy całej, jest to działać wbrew interesom tegoż narodu...». («O projekcie *dziennika francuskiego*»). Wtórował mu antagonistą Słowacki, przejmując aktualnym pytaniem: «Któż pomoże ludziom niepotrzebnym? Którzy oświadczają wyraźnie, iż chcą dom swój odebrać, aby w nim używali dostatku i wywczasów...» («Do emigracji o potrzebie idei»).

8

Jeszcze bardziej konkretnie, dotykalnie przedstawia się sprawa czynności kulturalnej w naszym powszednim życiu emigranckim. Wiąza się z nią nie tylko wielkie rozstrzygnięcia, ale — codzienne istnienie.

Maksymalnie natężony potencjał kulturalny może stworzyć siłę, która byłaby zdolna związać diasporę polską i przeciwdziałać niedogodnościom walki w rozproszeniu po całym globie ziemskim. Tylko ta siła może uchronić niesione przez wiatr niedoli ziarna polskie przed tym, aby nie zapadły na głucho w cudzych łóżyskach, nie zatraciły się w odległych od siebie strumieniach obcości.

Jest to bodaj największa odpowiedzialność emigracji wobec Kraju — odpowiedzialność za samą siebie. Każdy człowiek nieobjęty wspólnotą wiary i walki, nieuchwycony więzią niewidzialną, niewłączony w rytm wspólny osłabia nie tylko siłę emigracji. Może być także dla Kraju — stratą niepowrotną.

Właśnie ta sprawa, pozornie czysto wewnętrzna, czysto gospodarska sprawa emigracji wydaje się jedną z tych, które najbardziej dobitnie określają jej stosunek do ojczyzny. Każdy bardziej świadomy jest odpowiedzialny za mniej świadomego. Cała warstwa kulturotwórcza, cała tzw. inteligencja jest odpowiedzialna za ludzi czarnej pracy, których żywiołowa wola protestu, lęk przed czekającą niewolą, nadzieja przyczynienia się do zmiany zbiorowego losu zatrzymały poza Krajem.

Ta masa spełniła swoje wstępne zadanie: podwyższyła wagę i wymowę sprzeciwu, rozszerzyła jego zasięg na wszystkie kręgi społeczne. Ona sprawiła, że emigracja naszego czasu jest pierwszą w naszej historii emigracją nie elitarną, ale demokratyczną ze swego składu. Stanowi wierny rysopis i prawdziwe przedstawicielstwo narodu.

Jakkolwiek to jest trudne, niech wolna kultura emigracyjna uczyni z tego jedno ze swoich przykazań, że ani jeden emigrant polityczny nie powinien odstać od emigracji, że każdy poprzez świadomą wspólnotę emigracyjną powinien pozostać w żywotnym, nierozzerwalnym sprzęgu z Krajem.

9

Wszystko, co tutaj powiedziano, wskazuje, że emigracja 1945 r., ostatnia z szeregu emigracji polskich, jest przedsięwzięciem o wiele bardziej złożonym, niżby się to mogło wydawać pierwszemu uniesieniu. Jest może najcięższa, najbardziej ryzykowna ze wszystkich emigracji poprzednich.

Pierwszy, dwuletni etap jej życia daleko odbiega od toru pragnień i spodziewań, rachub i wieszczów. Ale już ten okres dowiódł ponad wszelkie powątpiewanie, że stanowi ona konieczność nieuniknioną. Ale jeśli tak jest, nie ma trzeciego wyboru: można się od niej uchylić albo trzeba ją dźwignąć — całą. Nie wolno o nią zagrać pół stawki. Nie wolno tym bardziej, że dla średniego i młodszego pokolenia emigracja jest grą o wszystko, jest całym życiem i całą śmiercią.

Nie ma dla emigracji pełniejszej łączności, wspólnoty, jedności z Krajem nad tę jedną: być sobą, być właśnie emigracją ze wszystkim, co się w tym słowie zawiera z ryzyka, z konsekwencji, z uporu, z wierności sobie, z wyznawstwa.

Wtedy i tylko wtedy, zawity, złożony, trudny stosunek emigracji do Kraju może się stać stosunkiem prostym i jednoznacznym, stosunkiem, w którym emigracja i Kraj stanowią jedno, dopiero razem są — Polską.

Tymon TERLECKI.

Świat terroru —

Studium o użyteczności trupów

Widomej przyczyny zarówno «Wielkiej Trwogi» społecznej XIX wieku, jak i psychozy wyniszczenia, która cechuje nasze stulecie, szukać należy, jak się wydaje, w krwawych ekscesach Wielkiej Rewolucji, która odruchy gniewu ludu wyniosła w r. 1793 na wyżyny systemu rządzenia, tworząc instytucję Terroru Państwowego. Obserwując społeczeństwo francuskie XVIII wieku — niewątpliwie dalekie od doskonałości, ale łagodnego charakteru i pokojowych nastrojów — trudno naprawdę dostrzec przejawy ucisku tak wielkiego, lub sprzeczności interesów, namietności i wierzeń tak gwałtowne, by mogły być doprowadzić do równie krwawego wyładowania. Pierwsza burza nowoczesnego Terroru rozpetła się na niebie tak pogodnym, jakiego nie знаła Europa od upadku Cesarstwa Rzymskiego. Wojna Stuletnia, Wojna Dwu Róż, walki Papiestwa z Cesarstwem, wyprawy krzyżowe, najazdy mongolskie, wojny o zjednoczenie Francji, wojny włoskie, wojny religijne i Wojna Trzydziestoletnia wyzwały przedtem stałe, w ciągu każdego stulecia aż do połowy XVII wieku, potężne siły niszczycielskie, pustoszące prowincje, dziesiątkujące narody, palące miasta, gwałcące dziewczęta i ciągnące za sobą nieuchronny korowód zarazy i głodu. Dopiero około roku 1750 nastąpił pierwszy dłuższy okres względnego spokoju i równowagi, okres, kiedy stosunki wewnętrzne Francji i stosunki międzynarodowe były mniej więcej uporządkowane. I właśnie z końcem tego okresu, na tle pogodnego pejzażu Francji rysują się z wyrazistością kontury starogreckiej klechdy cienie głów zatkniętych na piki, sankiulotów, Trybunału Rewolucyjnego i gilotyny. Niebezpieczne dla bytu narodowego połączenie wielkiego zagrożenia zewnętrznego z wewnętrzną walką skłóconych frakcji tłumaczy niewątpliwie do pewnego stopnia to zjawisko, jasnym jest jednak, że tłumaczenie to nie wystarcza, bo podobne sytuacje istniały już nie raz w poprzednich wiekach. W tłumaczeniu tym brak widocznie składników zasadniczych.

Czy nie należałoby zatem za jedną z przyczyn rozpetania Terroru uważać właśnie ową względną spokojność, ów mieszczański dostatek poprzedzającej go epoki? Czy nie było tu cza-

sem nagromadzenia sił niszczycielskich przez naładowanie nimi ukrytych i nieświadomych instynktów społecznych w ciągu tego długiego, spokojnego okresu? Prawdziwych przyczyn działania sił społecznych, podobnie zresztą jak przyczyn postępowania jednostki, nie należy szukać w faktach, które działają to *uzasadniając*, lub *usprawiedliwiając*. Usadnienie, czy usprawiedliwienie jakiegos akty nie jest równoznaczne z jego wytłumaczeniem. Terrorysty mogą uzasadniać Terror terrorystycznymi zamiarami, o jakie oskarżają swych przeciwników, spiskami lub zdradą, o które ich podejrzewają, mogą go usprawiedliwiać koniecznością obrony Rewolucji — najwyższej zdobyczy i najwyższego dobra — przed spiskiem, który jej zagraża. Tłumaczenie takie jest oczywiście z gruntu fałszywe, choć nie jest, jakby się na pozór wydawało, ani politycznym wybiegiem, ani objawem machiawelizmu, ani zwyczajnym fałszerstwem. Jest to raczej subtelna mieszanina fałszu i prawdy, jest to subtylacja motywów jawnych, racjonalnych i słusznych, na miejsce motywów istotnych, ukrytych i nie nadających się do ujawnienia. Z podobnym zjawiskiem psychicznym spotykamy się na przykład u ojca, który stara się ukrytą przyjemność, jaką odczuwa, wymierzając cielesną karę synowi, uzasadnić koniecznością wychowania. Gdyby więc nawet Terror okazał się polityczną koniecznością, to znaczy gdyby nawet ta konieczność go całkowicie uzasadniała, to jeszcze nie należałoby uzasadnienia tego, jakkolwiek całkowicie słusznego, utożsamiać z wytłumaczeniem Terroru.

Wydaje się zatem, że podłoża psychologicznego Terroru szukać należy w bardzo ukrytych tajniach człowieka jako istoty społecznej, w tajniach, w których znajdują się także załączki wojen, przyczyny bowiem polityczne, czy gospodarcze wojen gromadzą tylko i grupują drżące siły klęskowe, ale ich nie budzą. Gdybyśmy chcieli określać wojny wedle ich przyczyn gospodarczych, to popełnilibyśmy zasadniczy błąd, biorąc przypadek lub okazję za czynnik decydujący. Byłoby to tak, jak gdybyśmy zjawisko piorunu chcieli tłumaczyć zbliżeniem się chmury do dzwonnicy, a nie elektrycznością. Akty terroru, tak jak wypowiedzenie wojny, dają nieświadomym instynktom zbrodnicy tłum podobną możliwość wyładowania się, jak makabryczna sztuka Grand Guignol'u lub publiczna egzekucja skazańca, z tą oczywiście różnicą, że wojna czy Terror dają tłumowi zadowolenie o wiele pełniejsze i prawdziwsze, bo wyładowanie jest rzeczywiste, a nie tylko symboliczne. Toteż można przyjąć, że Terror wybuchnął w czasie Rewolucji r. 1789 nie *po* mimo tego, że okres poprzedni był spokojny, ale właśnie *dlatego*, że był spokojny. Ludzie zaczęli się nudzić.

Nie ma Terroru bez swoistej tragicznej reżyserii, bez swoistego romantyzmu śmierci. Bojownicy nacjonalistyczni w wojnie domowej hiszpańskiej nazywali się *Kochankami Śmierci*. Na sztandarze Rewolucji francuskiej wypisane było hasło: Wolność, Równość i Braterstwo, albo śmierć. Kiedy w Konwencji dys-

kutowano nad artykułem konstytucji, zabraniającym rządowi republiki podpisywania pokoju z nieprzyjacielem, który okupuje część terytorium państwowego, jeden z deputowanych zapytał: *Czy zawarliście pakt ze zwycięstwem?* Odpowiedź brzmiała: *Zawarliśmy go ze śmiercią*. Dumna, wspinała odpowiedź, godna antycznej tragedii, odpowiedź, której retoryka nawet wyraża głęboką prawdę. Nie ma Terroru bez tragicznego uroku śmierci.

Potężny i niszczący wylew psychozy śmierci, druzgocący łamy, zbudowane przez normalne życie społeczne, jest więc jednym z czynników psychologicznych, z których składa się Terror. Jest i inny czynnik, nie mniej ważny: nieczyste sumienie intelektu, właściwe każdemu fanatyzmowi. Terror — to zniszczenie oponenta. Zabijając go, przerywam dialog, usuwam możliwość zachwiania mych własnych przekonań na skutek porównania ich z przekonaniami przeciwnika. Tępię przekonania przeciwnie, bo zagrażają one wewnątrz mnie samego moim własnym przekonaniom. Tępię je, bo jest to dla mnie ostatnia możliwość zduszenia ich, bo wzmacniam w ten sposób słabe możliwości obrony, czy ataku własnego rozumowania. *Ultima ratio*. Nie ma człowieka, który by w trakcie dyskusji, kiedy widzi, że nie może przekonać przeciwnika, nie odczuwał chęci fizycznego uderzenia go, zduszenia jego indywidualnej wolności rozumowania, podłgania go sobie, uformowania go na obraz i podobieństwo własne. Terror rodzi się z podobnego odruchu w skali społecznej. Trzeba zmusić tamtego do milczenia. Jest to najwyższa forma heglowskiej walki sumień.

Jeżeli do tych dwu składników Terroru dodamy strach, który znajduje się u podłoża każdego gniewu i który dąży do fizycznego zniszczenia wszystkiego co zagraża, jeżeli dodamy upokorzenie, jakie się odczuwało czy odczuwa z powodu tego strachu, jeżeli dodamy samo upokorzenie *tout court* — jakże przyjemnie jest widzieć na szafocie, czy w obozie koncentracyjnym, na najniższym szczeblu upodlenia człowieka, tego, który był potężniejszy czy bogatszy niż ja, który z wyżyn swej pozycji społecznej spoglądał na mnie z nieprzebaczną pogardą, który mnie kazał obić swym lokajem, lub opryskał błotem swej limuzyny — jeżeli dodamy i te czynniki, to otrzymamy całość elementów psychologicznych, które składają się na Terror. Zauważmy zresztą nawiasowo, że Terror wyżywa się najchętniej na mniejszościach przedtem uprzywilejowanych — na arystokratkach, czy Żydach — po pierwsze dlatego, że były uprzywilejowane i stały się źródłem upokorzeń, a powtóre dlatego, że są mniejszościami, a więc słabsze niż tłum. W stanie umysłów zrodzonym z Terroru, zbiorowość godzi się z nim łatwo, w Terrorze bowiem urok zbiorowego monu współdziała z szeregiem kompleksów niższości.

To jednak nie wyczerpuje zagadnienia. Stwierdziliśmy, dlaczego tłum może w sposób czynny stać się współnikiem aktów rewolucyjnego Terroru. Trzeba się jeszcze zastanowić, dlaczego

Terror, ze stanu gwałtów odruchowych, ze stanu bezładnych aktów okrucieństwa zbiorowego, przechodzi w stan niejako administracyjny, przybiera formy legalne i prawne, przeradza się w system rządzenia. Boć przyjmuje się, i nie bez racji, że ani pociąg do mordu — z wyjątkiem nielicznych wypadków neronizmu — ani kompleksy niższości nie są istotnymi motywami postępowania polityków i mężów stanu. Jeżeli więc w okresie Rewolucji urasta Terror do godności systemu, to staje się to widocznie dlatego, że jest użyteczny.

Terror wynika ze skojarzenia dwóch rzeczy: pełnego nagromadzonego napięcia, sadystyczno-mazochistycznego wyczekiwania tłumy, który odczuwa ukrytą radość w poddawaniu innych Terrorowi i w znoszeniu Terroru, z pewnymi ułatwieniami polityki rządowej. Siły, które podsycają Terror, nie rodzą się z Rewolucji. Przeciwnie, to one właśnie rodzą Rewolucję, one ją ciągną naprzód i popychają. Program rewolucyjny, program przemian społecznych, nowego rozdziału własności czy dochodu społecznego nie posiada dość siły, by, dzięki własnej tylko dynamice, dojść do stanu całkowitej realizacji. Wygląda to tak, jak by naprawdę dla docięgnięcia go do celu, trzeba go było przyczepić do lokomotywy Terroru.

Nie wystarczy powiedzieć, że dla przywódców ruchu rewolucyjnego wygłup nie jest pozbyć się raz na zawsze pewnych grup społecznych, pokrzywdzonych lub wywłaszczonych przez Rewolucję, grup, które prawie na pewno wytworzą bierną lub czynną opozycję, by przeszkadzać rządowi rewolucyjnemu w jego działalności. Nie wystarczy nawet powiedzieć, że konieczne jest stale i ciągle czyszczenie prądu rewolucyjnego, klarowanie masy, który wytrysnął ze społeczeństwa wtłoczonego pod prasę, usuwanie elementów niespokojnych, zepsutych, zdemoralizowanych, likwidacja umysłów niespokojnych, polityków niezręcznych, ludzi ambitnych, intrygantów, zdrajców, czy po prostu «letnich». Armia walcząca na froncie jest także społecznością w stanie wysiłku, egzaltacji, w którym energia napięta być musi do granic wytrzymałości, w którym stawka gry jest życie lub śmierć, a przecież poddawanie jej terrorowi nie jest bynajmniej konieczne. Dzieje się tak, być może, właśnie dlatego, że armia walcząca ma na zewnątrz siebie, naprzeciw, wroga, którego trzeba zniszczyć i że nie potrzeba szukać wewnątrz niej uciechy dla sił niszczycielskich, skoncentrowanych do najwyższego stopnia. Skoro Rewolucja, podobnie jak wojna, zrywa tamy powstrzymujące wylew nagromadzonych napięć, skoro wyzwala drżenie w człowieku instynkty, to ważne jest, by te wyzwolone instynkty popłynęły kanałami Rewolucji, a nie rozlewały się samopas, a tym bardziej nie kierowały się przeciw niej.

Istnieje w Rewolucji pewna «estetyka srogości». Popatrzenie, powiada rewolucyjny rząd do swych adeptów, jakim silny, nieublagany. Popatrzenie, jak zabijam bez wahania, bez słabości, tyle ile trzeba, tak długo jak trzeba, a nawet trochę na wyrost.

Jest u ludzi takich jak Robespierre czy Saint Just pewne upodobanie, upodobanie aktora do roli nieubłaganego ofiarnika. *Potrzeba nam rewolucji twardej i krwawej*, wołało komunistyczne pismo w okresie między wojnami. Gilotyna, plutony egzekucyjne, stanowią na równi ze sztandarami, muzyką i hymnami nieodłączny rekwizyt propagandy. Niespodziewane ogłoszenie programu masowych egzekucji, ukazanie «twarzy bestii» (w oryginale: *faceia féroce* — przyp. tłum.) zadecydowały niewątpliwie o powodzeniu propagandy narodowo-socjalistycznej, tak jak dziś utrdują prestiż marksizmu.

Terror daje Rewolucji większą siłę zerwania z przeszłością. *No man's land* zasłany trupami jest najlepszą przegrodą pomiędzy społeczeństwem minionym, a społeczeństwem nowym. Żelazna kurtyna odgradza od przeszłości. Tu chodzi właśnie o zerwanie mostów, o stworzenie czegoś, czego naprawić nie można. Głowy raz ściętej, jak chce tego sama jej definicja, przykleić na powrót nie można. I to jest istotny sens egzekucji Ludwika XVI; ten właśnie motyw kazał skazującym go na śmierć stwierdzić, że Ludwik powinien zginąć, choćby był niewinny. Nie daje tłumowi równie pełnego, dziwnego i upajającego przeświadczenia, że *zmienił oblicze świata*, aniżeli właśnie Terror. Jest on nie tylko bronią w służbie Rewolucji, jest także jej symbolem. Jest maszyną do stwarzania rzeczy nieodwracalnych.

W tej roli symbolicznej Terroru mieści się również pewna użyteczność praktyczna. Każde społeczeństwo, podobnie jak każdy człowiek, czuje się winne i jest rzeczywiście winne. Chce przez to powiedzieć, że to nie mniejszość tylko jest winna, winna niekompetencji, winna zepsucia, winna słabości, winna tyranii. Wina obarcza sumienie wszystkich klas społecznych, bo obarcza sumienie każdego członka społeczeństwa. Każda klasa i każdy człowiek mają jednak możliwość uniewinnienia się, przerzucenia winy na inne klasy, na innych ludzi, na instytucje, na sam układ społeczny. Podobnie człowiek, który znajduje się w ciężkim położeniu, może zawsze biadać na niesprawiedliwość społeczną, albo na nieuczciwość konkurenta, który go zrujnował, choć najczęściej jest ofiarą własnej nieudolności.

Rewolucja objawia się nie tylko jako środek naprawy niesprawiedliwości, jako dawczyni dobrobytu dla tych, którzy go nie mają, ale także jako wielka rozgrzeszycielka. Wyraża ona wolę usunięcia z ciała społecznego elementów zbrodniczych i zepsutych, a przywrócenia mu zdrowia moralnego i dziewictwa. Jest więc środkiem, za pomocą którego społeczność ludzka przerzuca swoje zbiorowe poczucie winy na mniejszość, która staje się winy tej przechowawcą i symbolem i która winna przepaść, by razem z nią przepaść grzechy wszystkich. Rewolucja potrzebuje zbrodniarzy, bo potrzebuje ofiar, a potrzebuje ofiar, bo prócz funkcji rozdawczyni bogactw i reformatorki urządzeń społecznych pełni także funkcje kapłanki. Arystokraci w czasie Rewolucji r. 1789, burżuazja w rewolucjach marksistowskich, Żydzi w rewolucji narodowo-socjalistycznej giną nie dlatego,

że są naprawdę winni, ale dlatego, że potrzeba winnych, bo społeczeństwo nie może znaleźć się w stanie rewolucyjnego dziewictwa, dopóki nie wypędzi z siebie zalążka zepsucia, ducha zła i że nie ma na to innego sposobu, jak wcielić ducha zła w mniejszość przeznaczoną na ofiarę i zniszczyć go w jej ciele. *Oto winni! Niech zginą, a będziemy wszyscy niewinni!* Nie można wytłumaczyć w sposób zadowalający zjawiska Terroru, nie schodząc w głębie mało jeszcze znane religijności społecznej, nie badając Rewolucji jako zjawiska religijnego, to znaczy pociągającego ofiarę z ludzi jako część zasadniczą rytuału, jako znamię funkcji sakralnej. Banalność tradycyjnych usprawiedliwień Terroru płynie z przyrównania krwawej genezy społeczeństw rewolucyjnych do biologicznego porodu: *Przemoc jest rodzi-cielką społeczeństw*. To rewolucyjne usprawiedliwienie Terroru przypomina reakcyjne uzasadnienie wojen, formułowane niejednokrotnie, na przykład, w filozofii militarysty niemieckiego. Wartość obydwu tych uzasadnień jest taka sama. Nie jest to wartość racjonalna, bo nie mamy żadnych naukowych danych, które by pozwalały rozdzierać towarzyszące przemianom społecznym przyrównywać do bólów porodowych. Usprawiedliwienie tego rodzaju posiada natomiast wartość poetycką. — Istotnie, Terror jest poezją Rewolucji, tak jak jest jej obrzędem liturgicznym, ofiarą i tajemnicą.

Wynikałoby z tego, co pisałem wyżej, że zakres działania Terroru rozszerza się w społeczeństwach nowoczesnych, w miarę jak rośnie u nich poczucie winy zbiorowej, a pogłębia się nierównowaga społeczna i ogólne rozprężenie umysłów. Terror jest jednym z najpotężniejszych egzorcyzmów, jakie posiada człowiek, by odczuć ulgę w męce dźwigania ciężaru swego przeznaczenia i swej bezradności wobec niego. Terror nie wynika z potrzeb czysto politycznych, a raczej wynika z jednej tylko takiej potrzeby: zmobilizowania dla rewolucji sił morderczych, drzemających w każdej społeczności ludzkiej i zaspokojenia wywołanych instynktów religijnych aktem ofiary. Jest też może Terror środkiem bezpieczeństwa, stosowanym przez przywódców Rewolucji, wobec niebezpiecznych mocy, rozpętanych przez jej wybuch. Nie można wywołać Rewolucji, nie wyzwalając równocześnie utajonych sił niszczyielskich, a siły te można wyzwoić tylko pod warunkiem, że się je zadowoli wskazaniem zwierzyny. «U kresu polowania ochłapy czekają na sforę». (W *originalu*: Il y a une curée au bout de la chasse. *Przyp. tłum.*). Terror daje gwarancję spokoju, a przynajmniej wydaje się ją dawać na lata, które po nim przyjdą. Jest może aktem rozswagi politycznej dać wyzwolonej przez zerwanie więzów społecznych potrzebie mordu i zniszczenia możność zaspokojenia, aż do przesytu, aż do osłabienia. Ludzie przesyleni Terrorem są dla przywódców politycznych tym, czym dla żony jest mąż zbliżowany nadużyciami młodości: rządzić nimi łatwo.

Z upoważnienia autora tłum. Tadeusz HEINRICH.

Společna funkcja inteligencji

Powstanie współczesnej tzw. «wolnej» inteligencji, łączy się ściśle z historią XIX w. Nie znaczy to jednak, iż w okresie tym zjawiała się ona po raz pierwszy jako odrębna grupa społeczna. Inteligencja nie jest zasadniczo związana bardziej z XIX w. niż z Odrodzeniem lub Średniowieczem i w tym sensie jest zjawiskiem «odwiecznym». Stanowi ona faktycznie stały element składowy każdej społeczności. Natomiast jej funkcja, pochodzenie i sposób rekrutacji, względne położenie w stosunku do innych grup, ulegają stałym zmianom. W XIX w. zmiany te przybrały takie rozmiary, iż słuszną jest rzeczą mówić o nowym typie inteligencji.

DWA TYPY INTELIGENCJI.

Inteligencja przeszłości — Bramini w Indiach, kasta kapłanów w Egipcie, sofisci w starożytnej Grecji, administratorzy i prawnicy Imperium Rzymskiego, duchowieństwo i zakony Średniowiecza, humaniści Renesansu, dworzanie pałaców królewskich u progu czasów nowożytnych — była niemal bez wyjątku zamkniętą kastą, związaną ściśle z jakąś zorganizowaną częstkową zbiorowością lub instytucją, kultem Boga lub bogów, służbą cesarzowi, warstwie lub klasie społecznej. Jest to okoliczność o wielkim znaczeniu. Z jednej strony grupy te dzieliły los każdej kasty, odciętej przywilejami, przepisami rytualno-obyczajowymi, stylem życia, od społeczności, której część stanowiły. W odniesieniu do członków kasty oznaczało to sztywny dogmatyzm w sposobie myślenia i życia, który izolował ich jeszcze skuteczniej od innych grup i który ich myśleniu nadawał cechy obojętnej lub wrogiej dla życia spekulatywnej abstrakcyjności.

Taką postawę określamy często jako scholastyczną i nazwa ta trafnie charakteryzuje typ inteligencji, o którym mowa. Inteligencja typu scholastycznego nie jest źródłem zmian i przeobrażeń społecznych i funkcja jej nie na tej roli polega. Jest ona siłą stabilizującą i zachowawczą, utrwalającą stan posiadania zbiorowości, której jest wyrazicielką.

Scholastyczny typ inteligencji zaniknął na długo przed nastaniem XIX w. Lecz dopiero w tym ostatnim okresie występuje

nowy typ inteligencji jako wyraźnie zarysowujące się zjawisko społeczne. Mam na myśli wolną inteligencję, której pojawienie się, szybki wzrost i społeczno-kulturalna doniosłość jest jedną z uderzających cech XIX w.

Ten nowy typ inteligencji zyskał nazwę wolnej zapewne z tej przyczyny, iż w przeciwieństwie do inteligencji typu scholastycznego, jej zasadnicza społeczna i kulturalna lojalność nie daje się jednoznacznie zlokalizować. Społeczne położenie inteligencji typu scholastycznego było wyznaczone przez jej stosunek do jakiejś instytucji lub zorganizowanej części zbiorowości. W wypadku inteligencji wolnej, żadnego takiego związku dla całej grupy wskazać nie umiemy. Jest ona wolna, ponieważ nie wiąże jej kastowe przepisy, zakazy, rytuał i obyczaje. Jej aspiracje nie są w zasadzie ekonomicznie zdeterminowane. Wolna inteligencja ma możliwość swobodnego wyboru funkcji społecznej oraz może decydować swobodnie o przynależności do jakiejś większej zbiorowości, której *raison d'être* przyjmuje jako własne.

Wolność od kastowych ograniczeń nie wystarcza jednak dla pełnej charakterystyki współczesnej inteligencji. Jej cechy istotne są związane najsilniej z rozszerzeniem społecznej podstawy jej rekrutacji, wzrostem ilościowym i postępującym różnicowaniem się jej funkcji. W okolicznościach stworzonych rozwojem technicznym, rozbudową politycznych, społecznych i gospodarczych funkcji państwa, upowszechnieniem wykształcenia (t. zn. jego względnym uniezależnieniem od stopnia osobistej zamożności), inteligencja rozrosła się liczbowo z niezwykłą szybkością. Z niewielkiej grupy spełniającej jedną, określoną funkcję, nowoczesna inteligencja stała się grupą masową, wewnątrznie wysoce zróżnicowaną, spełniającą różnorodne zadania. Obok inteligencji zawodowej i inteligencji urzędniczej z jej coraz bardziej wpływową podgrupą ekspertów i techników, mamy inteligencję spełniającą funkcje intelektualne, artystyczne, religijne, polityczne, społeczno-organizacyjne.

Wielorakość funkcji sprawia, iż współczesna inteligencja nie posiada jasno zarysowanych konturów, jest w pewnym sensie wszędzie i nigdzie. Z socjologicznego punktu widzenia trudność problemu inteligencji jeszcze wzrasta na skutek szerokości jej podstawy rekrutacji, obejmującej progresywnie wszystkie warstwy i klasy społeczne. Inteligencja nie posiada bowiem klasowego oblicza w ścisłym tego słowa znaczeniu, ani co do swej genezy, ani przez zajmowanie określonego miejsca w procesie produkcji. Sprowadzenie inteligencji do wspólnego mianownika w kategoriach klas lub warstw społecznych jest teoretyczną niemożliwością. W jej obrębie przecinają się i krzyżują wszelkie możliwe interesy klasowe, wzory obyczajowe i aspiracje kulturalne. Przez skupienie w sobie tych wszystkich zainteresowań, jakie stanowią ośnowę życia społecznego i jakie w przeciwnym razie istniałyby jedynie w rozproszeniu, inteligencja przybliża

się do stanu, który Montaigne nazywał «la forme entière de l'humaine condition». Ta okoliczność jest już wystarczającą podstawą do uznania w wolnej inteligencji rezerwuaru społecznego dynamizmu i samorodnego fermentu, źródła społecznego niepokoju i niestalości.

Socjologicznie inteligencja nie jest ani klasą, ani warstwą społeczną i w związku z tym nie możemy stosować do niej aparatury pojęciowej, właściwej socjologii klasy lub warstwy. Inteligencję rozpatrywać możemy jedynie w kategoriach grupy społecznej, której więzią jest wspólnota wykształcenia. Nie jest to czysto formalna więź grupowa, użyteczna dla celów klasyfikacyjnych lub opisowych. Wspólność wykształcenia znosi bowiem skutecznie inne różnice dzielące członków inteligencji, różnice wypływające z faktu urodzenia, wychowania, przynależności klasowej lub narodowej, posiadania majątku lub przywileju.

Ten pozornie ubogi wniosek posiada, jak się zdaje, doniosłe konsekwencje, w których świetle będzie rzeczą możliwą sprecyzować społeczną funkcję inteligencji. W tym jednak celu potrzebne są jeszcze pewne dodatkowe elementy z innej dziedziny zjawisk.

WIELOŚĆ ŚWIATOPOGLĄDÓW I JEJ PRZYCZYNY.

U podstawy funkcji społecznej, wyznaczonej inteligencji typu scholastycznego kryło się przekonanie, iż istnieje tylko jeden, uniwersalny obraz świata, niezależny od społecznej sytuacji i różnic w zakresie i rodzaju doświadczeń życiowych wyznającego go człowieka. Formułowanie tego obrazu świata było wyłącznym przywilejem kastowo zorganizowanej inteligencji, której sposób myślenia, pogląd o Bogu, przeznaczeniu człowieka, znaczeniu i celu życia, były traktowane jako jedyny możliwy sposób myślenia i jako jedyne możliwe poglądy. Wszelkie różnice, wyrastające z odmiennych sytuacji życiowych, traktowane były bądź jako błędy myślowe, bądź jako herezje. Uniwersalność danego obrazu świata mogła być utrzymana pod warunkiem wykluczenia tych sposobów myślenia, których rozwinięcie doprowadziłoby do odmiennych konkluzji. Światopogląd średniowiecza, dzieło teologów i teologicznie zorientowanych filozofów, wykluczał relatywizm, ponieważ poznanie Boga jest absolutne; materializm i sensualizm, ponieważ dusza nie jest materialna i nie daje się poznać zmysłami; poglądy mechanistyczne, ponieważ Bóg jest wszechmocny a człowiek wolny. Nie istniała świadomość, że takie ograniczenie intelektualnej perspektywy jest ściśle związane z szczególnym zakresem doświadczeń i że w oderwaniu od nich sens i logika tego światopoglądu traci swą ważność i powszechność.

Człowiek Odrodzenia przerwał magiczny krąg możliwych doświadczeń zakreślony przez średniowiecze i od tej chwili bu-

dzi się przekonanie, iż istnieje wiele różnych i równouprawnionych światopoglądów, których genezy nie można upatrywać w błędach myślenia. Charakterystycznym przykładem jest Pascal, który dzieląc przeświadczenie średniowiecza, iż świat «nie ma samoistnego znaczenia wobec Boga ani życie doczesne wobec wiecznego», nie zakłada, iż opiera się ono na wspólnym wszystkim ludziom doświadczeniu. Cechą czasów nowożytnych jest powstanie okoliczności sprzyjających eksploatacji każdego punktu widzenia, każdej intelektualnej możliwości, każdej podstawy moralnej i związanej z nią formy przeżywania lub doświadczenia świata. Jednocześnie budzi się świadomość, że «w podstawowych zagadnieniach życia i przeznaczenia», jak sformułował to modny dzisiaj myśliciel duński, «neutralność jest niemożliwa, ponieważ i ona jest pewnym stanowiskiem». Każdy musi podjąć ryzyko zakładu Pascala, opowiedzieć się w swym sumieniu i życiu za pewną odpowiedzią na te odwieczne zapytania. Łącznie prowadzi to do powstania wielu, różnorodnych, niesprawdzalnych do siebie i często niezgodnych z sobą światopoglądów.

Fakt ten stawia nas wobec nowych zagadnień. Po pierwsze nieuchronnie nasuwa się pytanie, czy istnieją kryteria pozwalające nam rozstrzygnąć kwestię prawdziwości i fałszywości światopoglądów. Lecz problem ten, chociaż przyciągnął on wcześniej i przede wszystkim główny wysiłek krytyczny, dał początek sporom i dyskusjom, które musiały pozostać jałowe i spekulatywne dopóki nie zostało sformułowane drugie kapitalne zagadnienie. Daje się ono sformułować następująco: w jaki sposób za pomocą rodzajowo tych samych procesów myślowych, rozwijających się w związku z zasadniczo tymi samymi doświadczeniami, mających za przedmiot wspólny świat rzeczy i ludzi, można dojść do fundamentalnie różnych światopoglądów?

Odpowiedzi na to pytanie szukano najpierw w dziedzinie psychologii, próbując w indywidualnych różnicach osobowości myślącego znaleźć wyjaśnienie wielości i różnorodności światopoglądów. Ta droga nie jest całkowicie błędną ulicą. Lecz psychologiczna typologia osobowości, obracać się musi w pewnego rodzaju abstrakcyjnej próżni, dopóki rozpatruje człowieka w oderwaniu od społeczności, grupy lub klasy, do której przynależy. Konkretny, myślący i działający człowiek, w przeciwieństwie do osoby badanej w laboratorium, nie może być traktowany w odosobnieniu od swego społecznego otoczenia, z którym łączą go różnorodne związki współzależności. Uznanie tego faktu prowadzi do uznania socjologicznej teorii osobowości za logicznie wcześniejszą od teorii psychologicznej. Marx był pierwszym myślicielem, który na fakt ten zwrócił uwagę i dał mu teoretyczne opracowanie w swej teorii materialistycznej interpretacji historii. Stanowiła ona przewrót w naszym sposobie myślenia i otworzyła nowe perspektywy dla społecznego i kulturalnego działania.

Z socjologicznego punktu widzenia, materialistyczna koncepcja dziejów mówi, iż istnieje korelacja między klasami społecznymi i zasadniczymi typami światopoglądów. Każda klasa posiada specyficzną dla siebie perspektywę świata, której częścią jest myślowa, wartościowanie, motyw, argumentacja, są w znacznym stopniu zdeterminowane przez miejsce, jakie klasa ta zajmuje w procesie produkcji. Łatwiej może będzie to dostrzec na konkretnych przykładach. Istnienie i dobrobyt pewnych klas są uzależnione od stałego wzrostu industrializacji, technicznego postępu i rozwoju racjonalnych metod produkcji. Ta podstawowa, egzystencjalna zależność sprawia, iż klasy te będą nie tylko działały praktycznie w kierunku przyspieszenia i rozrostu tych procesów, lecz także wyznawać będą światopogląd, dający wyraz tej tendencji w terminach pojęć, idei, wartości moralnych i estetycznych. Będzie to światopogląd anty-irrationalistyczny, podkreślający nadrzędność rozumu, przywiązujący wartości moralne i estetyczne do racjonalności, konstruktywizmu, kontroli, planowania. Klasa drobnych przedsiębiorców, rzemieślników, kupców, rentierów jest zainteresowana w zupełnie odmiennych procesach rozwojowych. Koncentracja przemysłu i produkcja masowa, akumulacja kapitału, rozbudowa systemu «department stores», zagrażają ich najbardziej żywotnym interesom. Znajduje to wyraz nie tylko w działalności politycznej, lecz i w sformulowaniach światopoglądowych, przeciwstawiających postępowi technicznemu — postępowi moralny, konstruktywizmowi — irracjonalną spontaniczność, organizacji — indywidualną twórczość. Przykłady zależności między konkretną rzeczywistością społeczno-ekonomiczną danej klasy a jej światopoglądem można by pomnożyć i w obrębie każdej poszczególnej zależności opis jej wzbogacić dalszymi szczegółami. Dotychczasowe ilustracje wystarczają jednak dla okazania znaczenia w jakim światopoglądy mogą być rozpatrywane jako perspektywy świata właściwe klasom stosownie do ich miejsca w procesie produkcji.

Ujawnienie faktu, że szczególny sposób myślenia tak co do swej treści, jak i procesów wartościowania, wymaga każdorazowo zrelatywizowania do sytuacji społeczno-ekonomicznej myślącego, innymi słowy, iż światopoglądy wyrażają interesy klasowe w terminach pojęć, idei, poczuć i wartości moralnych, jest bodaj głównym źródłem kryzysu kulturalnego, jaki przeżywamy od lat wielu. Nie jest bowiem rzeczą łatwą utrzymać umysłową i emocjonalną równowagę wobec rezultatów osiągniętych metodą, którą przez oczywistą analogię można nazwać socjoanalizą. Socjo- podobnie jak i psychoanaliza są jednak nie tylko metodami diagnozy: Stanowią one jednocześnie metody lecznicze, dla których punktem wyjścia jest wstrząs powodowany ujawnieniem nieuświadomionych motywów. W tym terapeutycznym procesie, inteligencja może odegrać doniosłą rolę. Sprezycowanie jej będzie jednocześnie określeniem społecznej funkcji inteligencji.

INTELIGENCJA, WALKA KLAS I JEJ WYRÓWNANIE

Zwarta masa członków poszczególnych klas społecznych nie jest zazwyczaj zdolna do tworzenia światopoglądów. Kierowana instynktem klasowego interesu, może ona jedynie działać w jego obronie i dla jego zaspokojenia. Jednak dopiero światopogląd jest w stanie przekształcić instynkt — w świadomość klasową, doraźne działanie — w klasową solidarność. Światopogląd jest zawsze dziełem inteligencji, która związała swe losy z daną klasą. Inteligencja tworząc światopoglądy, nadaje podziałom klasowym ich ostrość i wyraźność. Będąc w tym sensie twórcą walki klas, sprawia jednocześnie, iż walka ta nie odbywa się na płaszczyźnie nieświadomych i nieopanowanych instynktów, lecz przemienia się w konflikt idei, wartości i ocen moralnych. W ten sposób żywiołowe siły rządzące przeobrażeniami społecznymi uległy przynajmniej częściowej racjonalizacji. Mogą one wówczas podlegać pewnej kontroli, mogą być analizowane i kierowane, bez czego życie społeczne byłoby wystawione na nieprzerwany łańcuch gwałtownych starć i wybuchów. Racjonalizacja żywiołowych sił społecznych przez sublimowanie interesów klasowych i ich formułowanie w abstrakcyjnych terminach światopoglądów i ideologii — to pierwsza doniosła funkcja społeczna inteligencji. Na tym jednak jej rola się nie kończy.

Zdefiniowaliśmy inteligencję jako grupę społeczną, której więzią jest wspólne wykształcenie neutralizujące różnice klasowego pochodzenia. Jest to nowe znaczenie w jakim wspólną inteligencję nazywamy «wolną». Rekrutując się z wszystkich warstw społecznych, inteligencja nie reprezentuje żadnego określonego interesu klasowego. Co więcej, przez swą nieokreśloność społeczno-ekonomiczną — «die freischwebende Intelligenz» jak ją określił Max Weber — wyłączenie ona jest obiektywnie uzdolniona do posiadania bezinteresownych poglądów. Medium wspólnego wykształcenia zawiera wszystkie elementy, które umożliwiają spoglądanie na świat z różnych klasowych perspektyw, rozumienie wszystkich punktów widzenia, bezpośrednią znajomość konfliktów tworzących ośnowę życia społecznego. Aktualnie inteligencja w każdym zaś razie pewna jej część, nie należy do żadnej klasy, potencjalnie może stać się każdą klasą. Przyłączenie się do pewnej klasy jest wynikiem świadomego wyboru między wieloma możliwościami.

Wielu zgodzi się zapewne z poglądem, że społecznie lepiej jest, gdy ścierają się z sobą dwa wrogie wyznania wiary niż dwa ślepe wykluczające się instynktownie wyczuwane interesy. Podobnie: Konflikt ideologii i światopoglądów posiada społecznie wyższość nad konfliktem dwóch przeciwstawnych wyznań wiary. Lecz konflikt światopoglądów nie stanowi celu dla samego siebie. Jest on jedynie taką formą zwalczających się sił społecznych, w jakich one mogą być poddane kontroli i świa-

domemu kierowaniu. W tym sensie nie Soréł domagający się «zdrady clerka», lecz Benda, który ją potępia, kroczy właściwą drogą. Celem autonomicznym jest bowiem usunięcie konfliktów.

Ortodoksyjna teoria materializmu dziejowego mówi, że dokonać się ono może jedynie na drodze rewolucyjnej. Przemiany polityczne, ustawodawcze, ideologiczne są w rzeczywistości bez znaczenia. Są one bowiem albo powierzchownej natury, t. zn. nieuwarunkowane przebudową społeczno-gospodarczą, albo są wyrazem i następstwem takiej przebudowy. W pierwszym wypadku zmiany dotyczą jedynie porządku społeczno-prawnego jako narzędzia «legalizacji ucisku», w drugim świadczą o już dokonanej przebudowie ekonomicznej struktury i związanego z nią położenia klas. Ta przebudowa ma wówczas charakter wulkanicznego wybuchu, którego gwałtowność można tylko złagodzić przez nieprzeciwstawianie się jego żywiołowej sile.

Ortodoksyjna teoria materializmu o bezużyteczności działalności politycznej, ideologicznej i ustawodawczej, nie wytrzymała próby życia. Od chwili jej wygłoszenia nastąpiły wielkie zmiany w ekonomicznym położeniu i wzajemnym stosunku klas dokonane działalnością uznaną przez ortodoksyjną teorię za bezużyteczną. Zmiany te zostały bowiem przeprowadzone właśnie środkami politycznymi i na płaszczyźnie ideologicznej.

Przez przebudowę ideologiczną rozumiem tworzenie pewnych ogólniejszych syntez ideologii istniejących, które ogarniają szerszą perspektywę społeczną i tym samym scalają klasy poprzednio izolowane od siebie przez ograniczenie do własnego tylko punktu widzenia. Konkretny, dobrze znany przykład zapewne wyjaśni nieco dokładniej sens tego myślowego skrótu. Gospodarka planowa jest szczególnym przypadkiem syntezy ideologicznej łączącej ideę wolności osobistej i sprawiedliwości społecznej jako kamieni węgielnych dwóch różnych światopoglądów wyrastających z niesprowadzalnych do siebie sytuacji życiowych dwóch klas. Przez częściową syntezę ich ideologii dokonuje się jednocześnie przebudowa w systemie społeczno-prawnym i w ekonomicznym położeniu klas, przez co ostatecznie nie dochodzi do scalania się odpowiednich grup społecznych. Syntezy ideologiczne, dzieło abstrakcyjnego i teoretycznego myślenia, stają się mutatis mutandis narzędziem «ewolucyjnych» przemian społecznych zmierzających do rozwiązania głębokich konfliktów i potężnych napięć, przez sięgnięcie do samego źródła, z którego czerpały one swą energię.

Syntez ideologicznych nie może dokonać klasa lub klasowo zorientowana inteligencja. Syntezy ideologiczne mogą być jedynie dziełem grupy wolnej od klasowych uwarunkowań, która zachowała zdolność bezinteresownego myślenia i rozumienia różnych, wykluczających się perspektyw świata. Taką grupą jest wolna inteligencja, wolna od uwarunkowań klasowych i ekonomicznych, oraz świadoma mechanizmu przeobrażeń społecznych. Tylko przez ideologiczne syntezy wiek nasz stać się

może «epoką wyrównania», zneutralizowania różnych wykluczających się i zwalczających punktów widzenia, które z kolei stanowią podstawę wizji obejmujących grupy o coraz szerszej społecznej podstawie. Społeczeństwa pozbawione inteligencji zdolnej spełniać tę funkcję, nawet służąc abstrakcyjnym hasłom społecznej jedności, nie usuną z swego życia gwałtownych napiętności rozdarcia, wzajemnych nienawiści przeradzających się w fanatyzm, dla którego przemoc i ucisk jest jedynym i uniwersalnym remedium.

DYGRESJA AKTUALNA

Jeżeli od tych abstrakcyjnych rozważań zwrócimy wzrok na chwilę do rzeczywistości dnia dzisiejszego, okaże się, że poświęcone im chwile nie były może całkowicie stracone. Będziemy świadomi bowiem, że te wezwania, które inteligencji każą pełnić rolę straży przedniej Polski chłopsko-robotniczej mówią co najwyżej połowę prawdy. Rozbudowa światopoglądów klasowych jest wprawdzie jedną z funkcji inteligencji. Lecz ograniczenie się do tego zadania byłoby pomyleniem środków i celów. Celem zaś nie jest nieograniczone potęgowanie świadomości klasowej, lecz jej przekształcanie przez ideologiczne syntezy, którym społecznie odpowiada scalanie się klas. Postęp społeczny jest funkcją takich przeobrażeń i tylko inteligencja stawiająca sobie te ambitne zadania zasługuje w pełni na nazwę postępowej. Są one jednocześnie niedostępne dla inteligencji jako elity klasy chłopsko-robotniczej. By zadania te osiągnąć istnieć musi wolna inteligencja, żyjąca w pewnym sensie poza strumieniem życia, by swym wysiłkiem i wyrzeczeniem wnieść do życia nieco światła, harmonii i szczęścia.

Zbigniew JORDAN.

Ukraińscy neoklasycy-parnasiści

Ważność funkcji własnej państwowości w rozwoju literatury nigdy jeszcze nie wystąpiła z taką siłą dowodową, jak w stosunku do narodów rosyjskiego imperium po rewolucji 1917 roku. Ze specjalną jaskrawością zaznaczyła się jej doniosłość na Ukrainie.

W roku 1916 na ziemiach ukraińskich, opanowanych przez Rosję, istniały zaledwie cztery pozycje wydawnicze w języku ukraińskim, w roku następnym było ich około 1700, a w roku 1919 ponad pięć tysięcy. W Austrii, gdzie język ukraiński nie był zabroniony, życie wydawnicze rozwijało się, rzecz prosta, znacznie bujniej. Jednakże i tam supremacja polskiej i niemieckiej mowy utrudniała rozwój ukraińskiej literatury. I tu i tam problem analizy i zastosowania form literackich nie tylko nie został rozstrzygnięty, ale nawet postawiony. Było to zagadnienie nie tym donioślejsze, że język ukraiński ze względu na swoją fonetyczną strukturę nadaje się do tworzenia poetyckich form i stylów w tak wielkim stopniu, jak mało który język europejskiego kontynentu. Bez własnej państwowości rozwiązanie tego zagadnienia i wprowadzenie go w życie było prawie niemożliwe.

Aby zostać ukraińskim pisarzem przed rewolucją 1917 roku, trzeba było poza posiadaniem talentu odznaczać się wielką odwagą i siłą charakteru, zdobyć się na decyzję pójścia przeciw prądom politycznym. Ukraiński pisarz tych przedrewolucyjnych czasów był nie tylko swojego rodzaju cyganem w sensie artystycznym i społecznym, ale ponadto musiał odgrywać rolę polityczną, niezależnie od tego czy zdradzał jakiegokolwiek uzdolnienia w tym kierunku. Poświęcenie się ówczesnie pracy literackiej w języku ukraińskim oznaczało nie tylko wstąpienie na drogę dwuznaczną pod względem społecznym, jak to się zdarzyło np. Iwanowi Frankowi, ale również usytuowanie się na terenie podejrzanym dla polityczno-administracyjnej racji stanu, zatem niebezpiecznym osobiście, jak to było ze wszystkimi pisarzami na wschodniej Ukrainie.

Odrodzenie ukraińskiej państwowości w roku 1917 otworzyło nowy okres. Język ukraiński, który dotychczas zajmował stanowisko ledwie tolerowanego «małorosyjskiego dialektu», staje się językiem szkoły, administracji i polityki. Na miejsce poety-

cygana, literata, znajdującego się pod inwigilacją policji i administracji, przychodzi pisarz obywatel, który nie ma powodu kryć się z artystycznymi przejawami swej ukraińskiej duszy, ani nagiąć swego talentu do służby wrogiej, politycznej racji i obcej idei narodowej; istniejąca w potencji ukraińska inteligencja udziela swego poparcia procesom literackim.

Klasycy starożytności i nowoczesnych literatur świata stają się obiektem studiów i znajdują otwartą drogę do ukraińskiej literatury. Doskonałość formalna ich utworów dostarcza potężnych podnień ukraińskim pracownikom literackim i oto już od pierwszych chwil rewolucyjnych zaznacza się istnienie kierunku, który w europejskich klasycznych tradycjach ujrzał najlepszą drogę, prowadzącą twórczego ducha ukraińskiego ku wartościom uniwersalnym, niedostępnym mu na przestrzeni całych stuleci.

Założycielami i wyrazicielami ideowymi tej grupy, która otrzymała później nazwę neoklasyków, było pięć osób: Mykoła Zerow, Maksym Rylskyj, Pawło Fytypowycz, Mychajło Draj-Chmara i Jurij Klen.

Mykoła Zerow (1890-1934), profesor ukraińskiej literatury na uniwersytecie kijowskim, stał się teoretykiem kierunku. W roku 1920 Zerow, który był wybitnym znawcą antycznej literatury, wydał tom mistrzowskich przekładów z poetów starożytnych. Świat antyczny nie ograniczał się dla niego do umarłych form artystycznych. Harmonijny i zrównoważony duch starych Greków i Rzymian był dlań drogowskazem w estetycznej i filozoficznej dziedzinie. O ich wpływie i znaczeniu mówi Zerow w sonecie pt. «Klasycy», pochodzącym z roku 1921:

*Już przestąpiłście od dawna próg
ziemskiego życia, piewcy-póthogowie,
i rytm rapsodów w waszej dźwięcznej mowie
spowili mroki hadesowych dróg.*

*A tutaj troska — i niepokój zmógł
scytyjskie brzegi, mglistych pól pustkowie,
i żaden wrót zaklęcia nie wypowie,
którym by was przywrócić życia mógł.*

*I wasze słowo, styl, kalakagatija
marzeniem jeno w naszych snach przemija,
w ostrej udręce rozpaczliwych chwil.*

*I tylko czasem duch estety spotka
w sonetu świetnych i przejrzystych zwrotekach
dźwięcznej jasności odrodzony styl.*

Autora o takich poglądach i upodobaniach dzielił tylko jeden

krok od zachodnio-europejskiego klasycyzmu, a zwłaszcza była mu bliska twórczość francuskich parnasistów, wśród których Leconte de Lisle i Heredia należeli do ulubionych poetów Zerowa. Jego stosunek do antycznego i nowoczesnego klasycyzmu na tle ówczesnych zagadnień ukraińskiego życia artystycznego najlepiej uwidatnia następujący urywek z sonetu pt. «Młoda Ukraina»:

*Plastyczny kształt, poddany jasnym liniom,
w metalu kuty zarys, zwarty styl —
oto jest twoja droga, Ukraino:*

*José Heredia i Leconte de Lisle,
parnaskich wzorów przykład znakomity
zawiedzie cię na nieboskoczne szczyty.*

W roku 1924 Zerow wydał zbiór wierszy oryginalnych i przekładów pt. «Kamena». Książka ta określiła ostatecznie stanowisko poety, jako przewodnika nowej grupy pisarskiej, i sprecyzowała jego negatywny stosunek do komunistyczno-bolszewickiej rzeczywistości. Jeśli dodamy, że ponadto Zerow wywierał olbrzymi wpływ na młode pokolenie uniwersyteckie, jasne stają się konsekwencje jego działalności. Ruch kulturalny stawał się doniosłym czynnikiem narodowo-politycznym.

Z chwilą, gdy Ukraina po zawarciu pokoju w Rydze stała się częścią Związku Radzieckiego, nastąpiła utrata wszystkich przywilejów kulturalnej wolności, jaką zapewniało jej przedtem istnienie własnego państwa. Ukraińska władza komunistyczna dążyła nie do podkreślania różnic między Ukrainą i Moskwą, ale do ponownego wciągnięcia narodu w zasięg duchowości rosyjskiej. Najbardziej niedoświadczona, stojąca najniżej pod względem kulturalnym, niepiśmienna część społeczeństwa stała się podporą reżimu. Pociągając za sobą owe niepiśmienne i niedoświadczone, ale dążące do odgrywania wielkiej roli elementy, system rządzący musiał basować nowym literackim wielkościami, które wprowadzić nie odznaczały się ani wiedzą ani talentem, ale za to były bezgranicznie oddane partii, reżimowi i jego ideologii. W następstwie przyszło literackie barbarzyństwo i obniżenie artystycznego poziomu. Do literatury ukraińskiej, która ledwie zaczęła podnosić się ze swej wielowiekowej konspiracyjnej poniewierki, wtargnęła artystyczna anarchia, chaos i formalne niechlujstwo. Jeśli za carskich czasów niebezpiecznie było stać się ukraińskim pisarzem, obecnie jeszcze większe niebezpieczeństwo zagroziło pisarzom, dbającym o zachowanie wysokiego poziomu kulturalnego. A już jeśli taki pisarz nie tylko ośmielał się wielbić klasyczne wzory, ale, broń Boże, wysuwać je na pierwszy plan, jako godne naśladowania, wówczas jego postawa zamieniała się w polityczno-społeczną zbrodnię.

Jurij Klen cytuje w swojej książce «Wspomnienia o neoklasykach» przykłady typowego dla tzw. «literatury proletariackiej» nieuctwa, politycznej nikczemności i grafomańskich nałogów. Oto pierwszy lepszy przykład, zaczerpnięty z wiersza stuprocentowo proletariackiego poety, Pierwomajskiego, pt. «Fakt pierwszy i drugi»:

*Republika nie śpi po nocach, pracuje na akord,
wyrasta jak dąb, pełznie wypuszcza konary,
a fabryczne warsztaty nie tylko dym wyrzucają,
lecz wykonują z nadwyżką swój gospodarczy plan.*

Albo taka «poezja»:

*Samson sapie,
sen sam sapaniem sypie...*

I znowu w tym samym stylu:

*Nam by bomby,
tęm by i amba,
a babom obwarzanki...*

Na takiej słownej abrakadabrze, produkowanej przez różnych Semenków, Michajluków, Karskich, Lisowych i innych «poetów», wychowywały się przy zachęcającej aprobacie bolszewickiej krytyki, kadry czerwonych grafomanów, dla których literatura była jedynie szczeblem do polityczno-społecznych stanowisk w sowieckim państwie. Jurij Klen celnie ich charakteryzuje we wspomnianej książce: «Czytając te rymowane i nierymowane, najczęściej pozbawione rytmu wierszyki, nie trudno zdać sobie sprawę z olbrzymiej pracy, przeprowadzonej w ostatnich latach nad umysłami młodzieży, aby ostatecznie usunąć z nich świadomość tego, czym jest dusza i sztuka, i aby zamienić skomplikowany aparat psychiczny w ordynarną płytę gramofonową, wykrzykującą szablonowe połączenia słów, pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia i mających jedynie transmirować kakofonię skłębionego chaosu. Przypomnijmy receptę dadaisty Tristana Tzary na pisanie wierszy: wziąć gazetę, drobno pokrajać, przemieszać kawałeczki papieru w kapeluszu, wyciągać i zapisywać słowa po kolei. Jestem pewny, że wiersze, pisane na podstawie takiej recepty, byłyby o wiele lepsze od cytowanych, gdyż wierzę w mądrą logikę ślepego przypadku, wobec którego logika wykastrowanego intelektu jest niczym».

Dlatego też twórczość neoklasyckiej grupy była już nie tylko świadomym, ale wprost organicznym protestem konstruktywnych sił ukraińskiej literatury przeciw karłowatości i «poligramocies» proletariackich poetów. Publiczne wystąpienie grupy w roku 1925 zmobilizowało natychmiast wszystkie wrogie moce. Wtedy to właśnie ze strony wrogiego «proletariac-

klego» obozu padła nazwa «neoklasyków», którą grupa poetycka podniosła i zaakceptowała.

O jakimś «neoklasyckim programie» nie może być wogóle mowy, gdyż grupa nie wysuwała żadnego programu, zaś nazwa, jak to słusznie zaznacza Klen, wskazywała, że «poeci, którym ją przyczepiono, pragnęli uczyć się u klasyków, tzn. mistrzów, autorów nieśmiertelnego poetyckiego dziedzictwa, a to, oczywiście było nie na rękę «poetom», którzy niczego nie chcieli się uczyć, nie uznawali żadnych norm i nienawidzili wszystkiego, co stało wyżej od nich. Zazdrość, kariera i pieniądze były jedynymi podnietami ich «twórczości».

Jeszcze precyzyjniej charakteryzuje neoklasyków Wiktor Petrow: «Pozostawiając każdemu pełną swobodę, nigdy nie określali wspólnych dla wszystkich ramek. Równie dobrze tłumaczyli «Żelazne sonety» niemieckiej poezji robotniczej, jak słarych Rzymian i polskich romantyków. Pisali równie dobrze heksametrem jak oktawą, czterostopowym jambem jak wierszem wolnym. Swoboda w traktowaniu formalnych chwytów i sposobów poetyckich w większym stopniu charakteryzuje przedstawicieli tej grupy niż «neoklasycyzm» w pełnym znaczeniu tego terminu».

— O cóż w takim razie chodziło — zapyta zdziwiony czytelnik zachodnio-europejski — i jak to się stało, że tak bezprogramowa i ideowo, zdawałoby się, nieszkodliwa grupa poetycka mogła wywołać taki sprzeciw reżimu i okrutne prześladowania? Na to jest tylko jedna odpowiedź: właśnie ta artystyczna bezprogramowość, twórcza swoboda, szacunek dla tradycji i narodowy charakter twórczości poetyckiej stanowiły największą groźbę dla reżimu.

W trzydziestych latach Mykoła Zerow wydał zbiór krytycznych esejów pod wspólnym tytułem «Ad fontes», w którym jeszcze wyraźniej podkreślił i pogłębił swoje negatywne stanowisko wobec «proletariackiej» literatury. W następstwie przyszły deportacje. Wraz z dwoma innymi członkami grupy Zerow został skazany na ciężkie roboty. W potwornych warunkach życia za kręgiem polarnym i wyniszczającej pracy fizycznej, poeta nie przestał pisać, prowadząc dalej rozpoczęte uprzednio przekłady wirgiliuszowej «Eneidy» i Homera. Prace te zaginęły wraz z autorem. Jedynie część uratował jeden z przyjaciół, wykleiwszy arkuszami zapisanego papieru wnętrze swojej walizki.

Bodaj żaden krytyczny zarys nie jest w stanie dać tak wyczerpującego i dokładnego portretu pisarza, co jeden z wierszy, w którym Zerow, pragnąc scharakteryzować swego przyjaciela i również poetę, Borysa Jakubskiego, nieświadomie scharakteryzował samego siebie i duchową istotę ukraińskiego parnasizmu. Wiersz ten fatalnie zaciążył na losie poety, zamieniwszy się natychmiast w najcięższe oskarżenie o «kontrrewolucyjność i wrogie nastawienie do proletariatu».

*W świetnej stolicy tej, na idej targowisku,
wśród muzealnych sal i wśród ludnego ścisłu,
aleksandryjskich muz niegodni potomkowie,
poeci i kapłanki snuli się jak mrowie.
Lowili krok ostatni literackiej mody,
splatali dla tyranów niewolnicze ody,
swarzyli się, godzili, znowu szli w zapasy.
I był zakątek, dokąd gwarne ich hałasy
nie docierały; tam wieczystych sztuk patriarcha
pracował i samotnym wzorem Arystarcha,
w zysk przyszłym pokoleniom, wbrew przelotnej chwili
nad homerowym tekstem skroń rozumną chylił.*

Maksym Rylskij (ur. 1893) jest najwybitniejszym, jeśli chodzi o zakres jego poezji, przedstawicielem neoklasycznej grupy. W roku 1918 debiutował zbiorem wierszy «Pod gwiazdami jesieni», a w roku 1922 wydał tom pt. «Błękitne oddale». Ta druga książka wysunęła go na pierwsze miejsce wśród ukraińskich młodych poetów i utorowała drogę do neoklasycznej gromadki. Właśnie wtedy nad Ukrainą zawisła ciężka atmosfera całkowitego oderwania od świata kultury europejskiej. Podobnie jak w życiu codziennym brakowało artykułów pierwszej potrzeby, gnębiła nędza, głód i epidemie, tak nad życiem kulturalnym ciążył brak duchowej strawy, czerwona reglamentacja ducha, dusząca atmosfera partyjnej swawoli i poczucie całkowitej bezsilności. Dlatego to tematykę zbioru przesycła tęsknota za czarującymi krajami niedosięgniętego Zachodu, za jego kulturą i duchową swobodą. Poecie przewidują się Francja i Włochy, Paryż i Wenecja, miasta i kraje nieprzymuszonej twórczości i wolności artystycznej. Autor obcuje z przedstawicielami zachodniej kultury jak z przyjaciółmi, znajdując ucieczkę od straszliwej proletariackiej rzeczywistości przynajmniej w stworzonym przez siebie świecie imaginacji:

*Otoś się nachlał samogonu
i leżysz, snem zwałony twardym,
a tam — tam muzy i gołębie,
tam Paryż w słońcu i mansardy.*

Tęsknota ta wyraziła się również w zamilowaniu, z jakim Rylskij tłumaczył francuskie, niemieckie i angielskie poezje. Jego zainteresowania przekładowe objęły również poezję polską (tłumaczenia z Mickiewicza uważane są za kongenialne) i gruzińską. Rylskiemu zawdzięcza literatura ukraińska przyswojenie zdobyczy nowoczesnej poezji zachodnio-europejskiej.

Z jeszcze większą energią niż jego literaccy przyjaciele, Rylskij usiłował uniknąć udziału w procesie tworzenia proletariackiej literatury. Jego marzeniem było, jak sam napisał w jednym

z wierszy, «nieść swoje życie nietknięte, aż do końca». Ale to była taka sama zbrodnia, jak bezpośrednie przyzywanie Zerowa a d fontes światowej kultury. Następne zbiory wierszy, jak «Białe ostrowy», «Przez burzę i śnieg» (1925), «Trzynasta wiosna» (1926), «Rozstaje» (1929), a zwłaszcza poemat «Czumacy» (1923), jeszcze bardziej pogłębiły «występki» poety przeciw proletariackiej sztuce. Rylskij nie teoretyzował jak Zerow na temat nieśmiertelnych wartości antycznego świata, nie miał w sobie klasycznego chłodu i nieco suchej, arystokratycznej wstrzemięźliwości przywódcy neoklasyków, ale całą swoją twórczością zaszczerpał klasycyzm w ukraińskiej poezji, jednocześnie podnosząc ją do poziomu europejskiego. Jakaż ciężka zbrodnia w oczach reżymu!

Rylskiego czekał więc ten sam los co jego towarzyszy. Jednakże pisarz zdążył na czas zmienić orientację. Z marzeń o «nietkniętym życiu» nie pozostało: poeta poszedł do bolszewickiej Kanossy został członkiem komunistycznej partii, napisał kilka ód pod adresem Stalina, poprzerał swoje dawne wiersze według sowieckich wzorów, a w nowych zaczął śpiewać hymny już nie «Błękitnym oddalom» i «Białym ostrowom» piękna i wolności, lecz stali i żelazobetonowi, industrializacji i kolektywizacji, a głównie «genialnemu» prowadzeniu państwa przez osobę «wodza i ojca».

Dzięki temu «przerodzeniu się» i pokajaniu Rylskij nie tylko pozostał przy życiu, ale stał się akademikiem i kawalerem wielu orderów. Nie przyszło mu to łatwo, bodaj znacznie ciężiej, niż kiedyś przy pomocy samogonu odgradzać się od brudnej rzeczywistości. Zmuszony nieprzerwanie zaświadczać twórczością swe oddanie reżimowi i wodzowi, Rylskij znacznie podupadł na poetyckiej sile i wartości artystycznej. Ostatnie jego zbiory, jak «Kijów» (1935), «Ukraina» (1938), «Winobranie» (1940), poematy «Maryna» (1932) i «Miłość» (1940), a zwłaszcza tom «Partia prowadzi», uczyniły z poety megafon partii i politycznego systemu. Lata minionej wojny jeszcze bardziej obniżyły poziom jego poezji. Używa się go do reklamy komunistycznej, do zwalczania «błękitno-żółtego faszyzmu» i zachodnio-europejskiego kapitalizmu, do propagowania jedności «braterskich kultur» moskiewskiego i ukraińskiego narodu, a głównie do wypisywania panegiryków na cześć «wodza».

Chociaż pisarz sumiennie wykonuje wszystkie partyjne zamówienia, od czasu do czasu talent poetycki daje znać o sobie i wówczas Rylskiemu wymykają się słowa i zwroty nawracające ku dawnym twórczym wyzynom. Zaczynają więc sypać się oskarżenia o niewytrzymywanie linii i staczanie się ku «nacionalistycznym tendencjom» i «błękitno-żółtemu faszyzmowi». Zazdrość i nieueto dawnych towarzyszy po partii, rzemiosle i kierunku nie zostawiają Rylskiego w spokoju. Dla przykładu garść zarzutów, wysuniętych przez jakiegoś Jenewicza w zbiorze denuncjacji, zatytułowanym «O nacionalistycznych błędach

Rylskiego» («Radianska Ukraina» z 2. X. 47 — cytuję za Ukr. Pres, Służbą 25. XI. 47):

«Maksym Rylskij wszedł do radzieckiej literatury obciążony багажем буржуазного світопогляду, jako jeden z leaderów neoklasycyzmu, który był w literaturze ukraińskiej prądem burżuazyjno-nacjonalistycznym. Wydawało się, że pisarz zerwał z przeszłością i stanął na drodze socjalistycznego realizmu. Jednak w ostatnich latach Rylskij ogłosił wiele utworów artystycznych i publicystycznych artykułów, w których znalazły się poważne błędy polityczne i ideologiczne. W wielu utworach poetyckich i artykułach Rylskij idealizuje przeszłość Ukrainy i emigruje z socjalistycznej rzeczywistości... Rylskij oświatla historię ukraińskiej kultury ze stanowisk nacjonalistycznych falsyfikatorów... Rylskij nie zgadza się z lenińskim określeniem klasowego charakteru ukraińskiej kultury... Rylskij przemilczał takie wydarzenia, jak połączenie Ukrainy z Rosją, i nie wie o walce robotniczej klasy z caratem, kapitalizmem i narodowym prześladowaniem. Rylskij przemilczał rolę partii Lenina-Stalina w zwycięstwie socjalizmu na Ukrainie... Na tej omyłnej i śliskiej drodze idealizacji burżuazyjnych ideologii Rylskij logicznym biegiem rzeczy doszedł do kontrrewolucyjnej teorii o samodzielności ukraińskiego marksizmu... Towarzysz Rylskij powinien przyznać się publicznie do swoich błędów i szczerze je skrytykować, raz na zawsze skończyć z przeżytkami burżuazyjnego nacjonalizmu, idealizmu i formalizmu, i nawrócić na jedynie słuszną drogę, na szlak określony przez bolszewicką partię, na szlak socjalistycznego realizmu».

Znając praktykę sowieckiego życia i słabą odporność duchową poety, nie należy wątpić, że nie tylko «przyzna się publicznie» i skrytykuje swoje błędy, ale odpowiednią odą na «mądrego wodza» umocni zachwiane stanowisko wybitnego członka Kompartii i akademika.

Pawło Fytypowycz (1891-1934) debiutował jeszcze w okresie studiów uniwersyteckich tomem rosyjskich wierszy i dopiero odrodzenie ukraińskiej państwowości zwróciło go poezji narodowej. Również jego twórczość stoi pod znakiem formalnej doskonałości, precyzji wyrazu, czystości stylu. Celem poetyckiej twórczości jest dla niego znalezienie słowa, które miałyby moc ożywiania ludzkich serc, moc Orfeusza, o którym pisze w jednym ze swych wierszy:

*A słowo z ust Orfeusza
nie dym, co w przelocie zgasł,
lecz siła, która porusza
ku życiu bezwładny gład.*

Zajmując stanowisko profesora ukraińskiej literatury na uni-

wersytecie kijowskim, Fytypowycz został nieco zaćmiony blaskiem popularności i wpływu swego kolegi, Mykoły Zerowa. Jego dwa zbiory poetyckie «Ziemia i wiatr» (1922) i «Przestrzeń» (1925), nie miały takiego powodzenia, na jakie zasługiwały z uwagi na swą artystyczną jasność i czystość klasyczną. Ich intrygny związek z parnasistami francuskimi nie ulega wątpliwości.

Jak wszyscy jego przyjaciele, Fytypowycz przekładał po mistrzowsku francuskich poetów, głównie Baudelaire'a. Większość tych przekładów, jeśli nie zaginęły, znajduje się w archiwach «Dzierżwydatu», dla którego w swoim czasie poeta wraz z innymi neoklasykami przygotował antologię poezji francuskiej. Jednocześnie Fytypowycz pracował w kontakcie z inną grupą tłumaczy nad obszernym wydawnictwem wypisów z literatur zachodnio-europejskich. Obydwa zbiory wywołały, choć jeszcze nie wydane drukiem, wielkie poruszenie w partyjnych kołach. Rzecz ciekawa, że wpłynęły na to nie tylko powody ideologiczno-klasowe; ten wielki wysiłek kulturalny spotkał się z zazdrością ze strony moskiewskich guwernerów ukraińskiej literatury. Chodziło o to, że podobne wypisy z literatur zachodnio-europejskich w przekładach na rosyjski język ukazały się w czterech tomach, przy czym znaczna część tłumaczeń daleka była od doskonałości; natomiast wypisy w języku ukraińskim miały objąć dwanaście dużych tomów, a przekłady, które wyszły spod pióra najlepszych znawców i specjalistów od obcych literatur, stały na bardzo wysokim poziomie. Moskwa przestraszyła się i zabroniła wydania zbioru. W związku z tym jeden z wybitniejszych rosyjskich pisarzy, daleki zresztą od komunistycznych poglądów, wyraźnie opowiedział się na korzyść tej decyzji, gdyż według jego opinii, gdyby «chochłam» dano pełną swobodę, w krótkim czasie dogoniliby i przegonili Rosjan... Sprawa została postawiona jasno i niedwuznacznie!

Jeśli wspomniane wypisy były owocem wyteżonej pracy większej ilości ukraińskich pisarzy, to antologia poezji francuskiej, obejmująca najwybitniejszych poetów Francji i Belgii, powstała wyłącznym wysiłkiem neoklasyków. Znalazły się w niej przekłady z Leconte de Lisle'a, Heredia'i, Baudelaire'a, Verhaerena, Maeterlincka, Mallarmé, Rimbauda, Verlaine'a, Moreasa, Valéry'ego, Semaine'a, Gautiera, nawet Apollinaire'a i Cocteau. Praca ta została potraktowana jako nowa zbrodnia przeciw reżimowi i, oczywiście, nigdy nie ukazała się w druku.

Fytypowycz nie mógł więc uniknąć losu Zerowa. Aresztowany jednocześnie ze swoim przyjacielem, sądzony zaocznie za «przestępstwa», których nie popełnił, został skazany na przymusowe roboty początkowo na wyspach Solowieckich, następnie w polarnej tundrze, gdzie zginął, nie wytrzymałszy pracy ponad siły i systematycznego głodu. Wraz z nim przepadły jego utwory, nad którymi nie przestawał pracować mimo straszliwych warunków obozowych.

Mychajło Draj-Chmara (1889-1938) zginął tą samą śmiercią, co tamci dwaj, podobnie jak za życia dzielił ich losy i pracę. Wykładowca slawistyki na uniwersytecie kijowskim, wystąpił z pierwszym zbiorem oryginalnych poezji (pt. «Siew») dość późno, bo dopiero w roku 1926, ale poprzednio sporo drukował po czasopiśmie, głównie w «Czerwonym szlaku». Jego ulubionym poetą był Mallarmé, z którego sporo przekładał. Ta predylekcja do francuskiego poety tłumaczy się tym, że Draj-Chmara lubował się w dźwięcznych i wyszukanych słowach, znajdujących się już na granicy muzycznego elementu. Sam poeta przyznaje się do tego w następującym urywku:

*Kocham te słowa rozśpiewane,
sytne jak miód, jak pjany czad,
słowa co w głębi oceanów
leżały od zamierzchłych lat.*

A oto inny wiersz, niezwykle typowy dla jego stylu poetyckiego:

*Jęczała noc. Poranku bielmom
ktoś ciskał strzały, światłem rósł
i sino-złotej burzy celność
drażniła konia ostry kłus.*

*Ranity chmury krwawe sople,
a ty — miłości czad i szat —
cała spalona w ogniu, oklep
leciałaś na rumaku w cwał.*

*Trzeszczały pod kopytem żebra,
przecinał przestrzeń wzroku nóż,
a tyś rozchłusztowała cebry
przedświtaniowych groźnych burz.*

*I z burzy, o, łowczyni młoda,
wylatała jasność dnia na bruk,
i wrzawna szła na świat pogoda
w dźwięcznym tętnie końskich nóg.*

Wśród przekładów z Mallarmé pióra Draj-Chmary znalazł się we wspomnianej antologii słynny «Łabędź». Pod inspiracją tego wiersza poeta napisał sonet pt. «Łabędzie», potraktowany przez krytykę, jako gloryfikacja antybolszewickiej działalności pięcioosobowej gromadki neoklasyków. Odradzano mu drukowanie tego wiersza, ale poeta nie posłuchał. «Łabędzie» ukazały się w roku 1931 w «Jarmarku Literackim», wywołując prawdziwą burzę. Jedni szaleli z wściekłości, inni, zdający sobie sprawę z możliwych konsekwencji, byli zdumieni. Oto tekst tego wiersza:

*Gdzie liście czutych iw spią na jeziornym brzegu,
pływały cicho po powierzchni gładkich wód,
gnąc smukłe szyje swe, i był ich wdzięczny trud
niezmienny w każdy czas i wszelkich dni obiegu.*

*A kiedy mróz nadchodził z kraju północnego
i rozmarzone wody ścinał dźwięczny chłód,
pływacy raz po raz łamali ostry lód,
ni gniewnej śmy gróźb nie trwożąc się, ni śniegu.*

*O, niepodległe grono pięciu piewców! Niech
dźwięczy pieśń wasza poprzez burze i przez śnieg,
niechaj rozbija lód niewiary i goryczy.*

*Bez trwogi, białe ptaki! Dziś w niewoli, w biedzie,
a jutro na ocean życia tajemniczy
jasny gwiazdozbiór Liry was wywiedzie.*

Krytyka proletariacka natychmiast rzuciła się na autora, wyśmiewając go w prostacki sposób, co oczywiście nie miało znaczenia, ale, co gorsza, oskarżając o jawną kontrrewolucję. Wykręcić się było trudno, gdyż alegoria, dotycząca «pięciu piewców», była zbyt przejrzysta. Odtąd zaczęła się nagonka na pisarza, a chociaż Draj-Chmara zrobił się ostrożniejszy zarówno w wykładach uniwersyteckich, jak w publikacjach, nie uniknął aresztowania, choć przyszło ono znacznie później, dopiero w roku 1936. Zresztą, może udałoby mu się uniknąć losu swoich towarzyszy (takie absurdalne przypadki zdarzają się niekiedy w ZSSR), ale na nieszczeście poeta miał piękne mieszkanie, które wpadło w oko któremuś z wpływowych członków partii.

W czasie aresztowania i śledztwa Draj-Chmara zachowywał się zupełnie inaczej, niż jego towarzysze. Ryłskij pokajał się i został przywrócony do łaski. Zerow zaakceptował pogardliwe wszystkie nonsensowne zarzuty, podpisując, nawet nie przeczytawszy, podsuwane mu protokoły zeznań, Fylypowycz uczynił to samo. Draj-Chmara odrzucał uporczywie wszystkie oskarżenia, nie przyznając się do niepopelnionych win, za co otrzymał cięższy wymiar kary. Skazano go zaocznie na pięć lat ciężkich robót w kopalniach złota w Kojumie. Warunki pracy są tam tak ciężkie, że nawet sowiecka administracja uznała za konieczne liczyć podwójnie czas przepracowany w koiumskich łagrach. Draj-Chmara, który odznaczał się herkulesową siłą i żelaznym zdrowiem, spodziewał się wytrzymać lata zesłania, ale okazało się że był w błędzie. Wystarczyły dwa lata życia w obozie koncentracyjnym, położonym gdzieś pod kręgiem polarnym, aby wyniszczyć jego potężny organizm, i pisarz zmarł na skutek głodowego wyczerpania.

Tragiczne losy poety znalazły jaskrawy wyraz w jego listach, pisanych do rodziny, która została w Kijowie. Z tych samych

czasów pochodzi jego jedyny katorżniczy wiersz, przejmujący dokument tragedii człowieka i artysty.

*I znów obwęgłonymi zapalkami
na szarych murach znacze szare dni,
i depczę w krąg więzienny, twardy kamień,
i swą tęsknotą upijam się we śnie.*

*Zaprzęgam konie — żal się burzy we krwi —
doganiam widma moich dawnych lat
i pędzę w przestrzeń, gdzie na zawsze przekwitł
młodości złotej utracony świat.*

*— Powróćcie — błagam — przyjdźcie chociaż w gościel
— Nie powrócimy — odkrzyknęła dal.
Na kalinowym zapłakatem moście
i znów ujrzałem ciemny mur i stal*

*posępnych krat, i skrawek nieba szary,
w Judaszu wzrok, wilgotny glaz u stóp...
Nie, nie, już koni nie zaprzęgnę karych,
kamienny mnie, kamienny zamknął grób.*

Z kamiennego grobu lodowatej Kołymy poeta stał podania o skrócenie kary. Ale skoro Moskwa skazała go niewinnie na zgubę, nie mogło już być mowy o żadnej amnestii. Wina poety polegała nie tylko na przeciwstawianiu zasad twórczej swobody proletariackiemu zamówieniu społecznemu, ale głównie na tym, że był on przedstawicielem ukraińskiego narodowego żywiołu, samą swoją istotą wrogiem duchowi moskiewskiej niwelacji. Nie wolno było ustosunkowywać się nawet neutralnie wobec ingerencji wrogiemu moskiewskiego elementu w życie ukraińskie. Nawet zachowywanie milczenia stawało się zbrodnią ze strony ukraińskiego poety, który — by zasłużyć przynajmniej na prawo biologicznej vegetacji — powinien był, jak Rylskij, głosić chwałę wrogom swego narodu. O tej stronie charakteru moskiewskiej tyranii, która współcześnie przybrała formę proletariacko-komunistycznej dyktatury, pisze Jurij Klen w swoim poemacie «Przekłute lata»:

*Trzeba mu oddać duszę swą aż do dna,
aby jej obciął resztki wolnych skrzydeł...
aby, rozciawszy swym skalpelem czoło,
myśl każdą zbadać mógł pod mikroskopem...
Nie wolno milczeć: śpiewaj mu, jak płacy,
otrąbuj chwałę i głośno w bęben bij...*

W listach z wiosny i lata 1938 roku Draj-Chmara opisuje swoje ostatnie chwile. Warto zacytować je z uwagi na to, że są one charakterystyczne nie tylko dla jego przeżyć, ale i dla prze-

żyć jego towarzyszy, którzy zginęli w podobny sposób, i tej części ukraińskiej twórczej inteligencji, która miała odwagę walczyć o swą ukraińskość.

16. IV. 38. Bardzo spadłem na ciele. Na piersiach tylko skóra i kości: widać wszystkie żebra. Na rękach i nogach wzdęły się żyły, jak u starca. Organizm osłabł niezmiernie, chociaż nie przeszedł żadnej ciężkiej choroby... Często śni się smaczne rzeczy i przede wszystkim myślę o jedzeniu. Dawniej rozmyślałem o różnych poetyckich sprawach, teraz wciąż myślę o żarciu, — tak oto wszystko się zmienia.

2. VI. 38. Wciąż cierpię na bezsenność. Przez trzy tygodnie prawie wcale nie spałem, bo nie było legowiska ani sposobu. Spędzałem noce w lekkim namiocie przy 30-stopniowym mrozie. Wicher wstrząsał płótnianym dachem, przewiewał na przestrzał, obejmując śpiących na ziemi lodowatym tchem. Odżywiałem się na wzór Świętego Antoniego, spożywając dziennie 400 gramów chleba, 50 gramów ryby i talerz polewki...

16. VI. 38. Z rzeczy, które wziąłem z domu, nic mi nie zostało. Okradziono mnie. Zostały mi tylko dwa Wasze listy. Strzegłem ich, choć palacze bardzo prosili, aby dać im te listy na kręcenie papierosów. Jednak nie dałem, gdyż wybierałem się już z nimi... ale los zdecydował inaczej... i teraz te listy są mi jeszcze droższe...

Ostatni list już bez dokładnej daty, pochodzący z końca 1938 roku, zawierał takie słowa:

... Nie mogę więcej pisać... Zmuszają mnie do dźwigania ciężkich kamieni... Gdy padam przy pracy, podwieszają mnie pod pachy... Nogi mam spuchnięte...

Wkrótce przyszedł koniec.

Jurij Klen (1891-1947), którego można scharakteryzować ogólnie jako liryczno-epickiego neoromantyka, również był profesorem kijowskiego uniwersytetu, na którym wykładał anglistykę i germanistykę.

Pierwotnie Klen publikował wyłącznie przekłady prozy i poezji z literatury niemieckiej, angielskiej i francuskiej. Jako tłumacz doszedł do takiego wirtuozostwa, że w humorystycznym, wspólnie ułożonym hymnie «neoklasyków» przypisano mu następujące samochwalne słowa: «Z żelaza wykuwam sonety, wszystko, czego tylko zapragniesz, przetłumaczę».

Przekłady Klena śmiało można postawić na równi z oryginałami. Wszystkie jego literackie i artystyczne upodobania predysponowały go do ścisłego związku z grupą neoklasyczną, do której wszedł z czasem. Gdy z początkiem trzydziestych lat zaczęły się aresztowania, Klenowi udało się w roku 1931 wyjechać

zagranicę, co go uratowało od zesłania i śmierci. Już za granicą poeta debiutował w roku 1937 zbiorem «Przekłete lata» o tematyce zaczerpniętej z życia ukraińskiego pod Sowietami. Tom ten wyszedł we Lwowie nakładem «Wistnyka» D. Doncowa. Podczas wojny w roku 1943 Klen wydał swój drugi zbiór pt. «Karawele», w którym ostatecznie wykrystalizował się jego artystyczny styl i poetycki światopogląd. Na tle ukraińskiej literatury Klena uważać można za niezrównanego i, być może, ostatniego przedstawiciela wzniesłego romantyzmu, którym nawiązuje do swoich właściwych duchowych przodków, prowansalskich trubadurów, tak bardzo przez niego ukochanych. Dla ukraińskiego ducha, który w ostatnich latach walki musi wyteńczyć wszystkie swoje siły twórcze, aby nie dać się pochłoniąć falom Wschodu, poezja Jurija Klena personifikuje najpiękniejsze cechy wojującego romantyzmu: miłość życia, wiarę w wieczną prawdę, a przede wszystkim nieprzejednaną decyzję oparcia się przemocy. Wzucie się w najgłębszą treść wieczystych spraw życia i śmierci nadaje jego romantycznej liryce piętno prawdziwej nieśmiertelności. Jako przykład niech posłuży wiersz «Sofija» (chodzi o katedrę świętej Zofii w Kijowie), w którym z całą wyrazistością i pełnią zarysowuje się osobowość poetycka autora.

*Choć samoloty zgłuszają twoje dzwony,
choć zburzą cię, młnionych chwał niepomni,
i na twym miejscu, czasem uświęconym,
na cześć przekłetej doby wznoszą pomnik;
choć wybudują czarny drapacz chmur,
gdzie stała twoja białozłota zjawa,
o, smukła lilio, której urok rósł
w cieniu potężnej myśli Jarostawa!
I choćby mongol nowoczesny zwłóknął
na końską uprzęż kopuł twoich złoto,
wdeptując w zgłiszczą ślad bluźnierczych nóg...
— To tylko nam się przywidzenia plotą,
lecz złudy zginą i przepadnie wróg!*

*Kiedy zbudują betonowy gmach
i tam, gdzie śni odwleczone swoje dzieje
Bizancjum, pogrążone w złotych mgłach,
wicher elektrycznych światel rozsialeje,
wiedz: wszystko to rozwieje się bez sił;
tak samo niegdyś śnił się Tatarzy,
i oto zatruł cię czarownik wraży,
bys znowu mary i widziadła śnił.*

*Skrzydłami płomienia tnąc, w jasności szat,
na szalach dłoni groźni aniołowie
unoszą, oczom niewidoczny, świat,
prawdziwy świat, co z wolą duchów w zmoiwie*

*dojrzeć wolno, obiecany owoc,
nalany płynem niewidzialnych ton,
i w ciemnym wnętrzu śpiewa Boże Słowo,
jak sok pienisty rajszych gron.
Lecz kiedyś sens ukryty ziemskich rzeczy
objawi się cudownie w każdym z nas.
Nadejdzie dzień... i z naszych oczu zwolece
łuskę ślepoty płomienisty blask.
Jakby ktoś w wieczność okno ci otworzył
prerażonego wyrwał z snów na jaw,
zobaczysz w światła rozpalonej zorzy
prawdziwą wzięję wiekuistych spraw:
— W urodzie, której język nie wypowie,
nad dym i mrok uniosłszy złoty krzyż,
Katedra niezniszczalna Świętej Zofii
jasną legendą rośnie wzwyż.*

Ostatnie lata swego życia Klen poświęcił pracy nad potężnym poematem epicko-lirycznym, pt. «Popiół imperiów». Z czterech części, z których składa się poemat, ostatnia pozostała we fragmentach. Jest to udana próba epickiego spojrzenia na grę historycznych sił naszego wieku. Imperium rosyjskie, niemieckie, austriackie toczą się ku zagładzie, ale z ich popiołów podnosi się wieczny Człowiek, oczyszczony przez walkę i cierpienie.

Głębokie odczucie spraw wiecznych, które z niespotykaną w ukraińskiej poezji siłą przesyca całą twórczość Klena, w «Popiołach imperiów» otrzymuje historiozoficzne uzasadnienie. Los człowieka, wieczny i niezmienny pod kierowniczą władzą nakazów prawdy i sprawiedliwości, jest również losem Niemiec, Austrii, Rosji, Polski i Ukrainy. Droga ludzkiego odkupienia staje się również drogą, na której państwa i narody przechodzą kolejno przez upadki, pokutę i oczyszczenie. W perspektywie wieczności niewzruszoność tych praw nabiera mistycznego ładunku i niemal biblijnej wielkości. Poeta osiąga te wyżyny nie poprzez pasywną kontemplację ani zrezygnowane wyczekiwanie. Dla tego potomka obcych emigrantów, co w dążeniu do swej niezawisłości znaleźli przed wiekami przytułek na Ukrainie, wzmacniając swego wolnego ducha niepodległym instynktem etnicznym przybranej ojczyzny, daleka jest nirwana bezwolnego akceptowania «kresu wszystkich kresów». Czynne wpływianie na bieg spraw i rzeczy, nieustanne dążenie do pełni życiowej, odważne i świadome zastawianie się przed Ananką tarczą twórczej woli — oto filozoficzny sens poezji Jurija Klena.

Fizyczne warunki życia na wygnaniu, które poznał nie po raz pierwszy, złamały jego organizm. Poeta zmarł z wycieńczenia w listopadzie 1947 roku w Niemczech, dzieląc na wolności los swoich przyjaciół, którzy zginęli w polarnych śniegach Sybiru. Swoją twórczością zostawił duchowi ukraińskiemu niewzruszony testament, którego wyraz bodaj najpełniejszy znaj-

dztemy w poniższych tercynach z poematy «Popiół Imperiów»:
 ...nie życie swe ratuj,

lecz duszę i, w szeroką idąc przestrzeń,

nieznany losom, jak własnemu bratu,
 rzuć pozdrowienie. Wicher swobody wchłaniaj,
 ustami proch z pustyni głązów zmiataj;

bezdomnym duchem bądź aż do skonania,
 jedz gorzki chleb niedoli i zagaśnij,
 jak dumny Florentyńczyk, na wygnaniu.

Przed śmiercią dzieciom przekaz słowa baśni
 przastarej, co żyć będzie wiekopomnie,
 o smoku, z którym żaden się zapaśnik

nie ważył zmierzyć, aż w burzy i gromie
 poczwarę straszną Święty Jerzy zmógł
 i wstała jasność na zwycięskim szłomie,

gdy smok zabity padł u świętych nóg.

Tekst artykułu oraz zacytowane w nim wiersze

przełożył Józef LOBODOWSKI.

Arthur Koestler

Raymond Mortimer, autor całego szeregu studiów z literatury angielskiej i francuskiej (ostatnio wydany «Channel Packet») i do niedawna redaktor literacki tygodnika «The New Statesman and Nation», uważany jest powszechnie za jednego z najlepszych krytyków literackich w Anglii. Szkic Mortimera wybitniejszych ukazał się w Nr. 969 «The Cornhill Magazine». Redakcja «Kultury» i tłumacz składają Redakcji «The Cornhill Magazine» i Autorowi serdeczne podziękowanie za wyrażenie zgody na opublikowanie tego interesującego studium po polsku.

«Spośród współczesnych powieściopisarzy angielskich, najbardziej lubię Koestlera». Zdanie to usłyszałem niedawno od jednego z przyjaciół we Francji, gdzie «Darkness at Noon» cieszyło się w przekładzie na francuski niebywałym powodzeniem. «Jest bardzo współczesny — odpowiedziałem — ale nie jest angielski; nie jest powieściopisarzem; a poza tym wątpię także czy można go wogóle jako pisarza lubić».

Po pierwsze sprawa narodowości, która wydaje się tu zasadnicza, bo książki Koestlera naszpikowane są spostrzeżeniami na tematy narodowe. Koestler jest węgierskim Żydem, wychowanym w Austrii. Otrzymał dwujęzyczne wykształcenie, musiał się nauczyć trzeciego języka, w którym pisze. Uczynił to zdumiewająco świetnie: jego angielszczyzna jest płynna, jasna i czytelna. Ale brak jej piętna osobistego. Znalazłszy kartkę wyrywającą z jego książki, można odgadnąć, że to Koestler z treści, ale nigdy z rytmu prozy. Pod tym względem nie dorównuje Koestlerowi Conradowi, który również musiał się nauczyć języka swojej twórczości.

Po drugie: czy Koestler jest powieściopisarzem? Odpowiedź zależy od definicji. Cztery jego powieści napisane są w formie powieści. «The Gladiators», najwcześniejsza, jest opowieścią o rewolucji spartakistowskiej w starożytnym Rzymie. Jest to świetny essay o naturze rewolucji i rewolucjonisty. «Darkness at Noon»¹⁾ ukazuje w miniaturze Procesy Moskiewskie i wyjaśnia rozczerwanie, jakie Koestler przeżył w stosunku do Rosji Sowieckiej. Jest to książka głęboko przekonująca, wstrząs-

¹⁾ «Ciemność w Południe» ukaże się niebawem nakładem Instytutu Literackiego w przekładzie Tymona Terleckiego.

sąjąca i dojmująca aż do bólu. Rzuca ona snop światła na psychologię rewolucjonisty, ale znowu postacie w niej są raczej typowe niż zindywidualizowane. «Postacie w tej książce — wyjaśnia autor — są zmyślane. Wypadki historyczne, które ukształtowały ich działanie, są prawdziwe. Życie N. S. Rubaszowa jest syntezą przeżyć całego szeregu ludzi, którzy stali się ofiarami tak zwanych Procesów Moskiewskich. Wiele spośród nich autor znał osobiście. Ich pamięci poświęcona jest niniejsza książka». «Arrival and Departure»¹⁾ zbliża się najbardziej do powieści i pewnie dlatego jest najmniej udaną książką Koestlera. Jest to opowieść o intelektualistcie komunistycznym, który uciekł z więzienia do kraju neutralnego i dzięki psychoanalizie zrozumiał istotę swej odwagi i swej słabości. Uwagę czytelnika przykuwają wstrząsające opisy życia w krajach opanowanych przez hitlerizm i opisy życia uchodźców w Lizbonie, ale wątek miłosny jest nikły i śledzi go się raczej z zakłopotaniem. Ostatnia książka Koestlera, «Thieves in the Night», poprzedzona jest krótkim oświadczeniem: «Postacie w tej książce są zmyślane — wypadki natomiast są prawdziwe».

Rasowy powieściopisarz może, jak Tolstoj lub George Eliot, dążyć do zilustrowania swojego filozoficznego poglądu na świat; może nawet, jak Dickens lub Zola, toczyć boje o urzędowanie określonych reform społecznych; ale moim zdaniem musi przede wszystkim interesować się związkami osobistymi pomiędzy indywidualnościami. Indywidualności zaś zaprzatają uwagę Koestlera tylko o tyle, o ile mogą się przyczynić do wyjaśnienia walk ideologicznych, natury rewolucjonisty i jego przeciwników. Powieść bowiem nie jest jego celem, ale narzędziem — narzędziem, którym posługuje się z nieubłaganą precyzją i sprawnością.

Jeśli powiedziałem, że nie można twórczości Koestlera lubić to dlatego, że uważa on za normalne to co w moim przekonaniu jest anormalne — traktuje mianowicie zwykłe, codzienne przyjemności jako coś trywialnego, ba, nawet gorszego. Jestem konserwatystą jedynie pod tym względem, że wolę stare rządy od nowych. Stare rządy wykruszyły sobie kły; a raczej, nie mają powodu bać się ludzi, nie mają również powodu wzbudzać w nich strachu. Żyjąc pod panowaniem takich rządów — wszystko jedno: amerykańskich, czy brytyjskich, szwajcarskich, czy szwedzkich, republikańskich czy monarchistycznych — mężczyźni i kobiety mogą, z wyjątkiem momentów zagrożenia przez obce mocarstwo, oddawać się codziennym zajęciom i ulubionym rozrywkom, mogą słuchać muzyki i kochać się, łowić ryby i studiować bez obawy, że przynależność religijna, rasowa lub polityczna narazi ich na prześladowania.

Pojęcie szczęścia zostało w Europie — a nie mogę tu nie-stety wyłączyć Anglii — zdyskredytowane. Musieliśmy zachować

stoicyzm aby przeżyć i ten stoicyzm stał się naszym nawykiem. Europejczycy stali się nałogowymi wyznawcami niedoli. Najbardziej palącą potrzebą naszych czasów jest przywrócenie sensu radości. Montagne i Voltaire — oto są prorocy których głosu powinniśmy słuchać, Voltaire zwłaszcza, który walczył jak tygrys przeciwko nietolerancji, nie zapominając nigdy o nadrzędnym znaczeniu szczęśliwości. Nie można moim zdaniem, książek Koestlera lubić, ponieważ odtrącają one konieczność a nawet istnienie przyjemności, jaką daje uprawianie ogródków.

Koestler odpowie na to z najzupełniejszą słusznością, że wy i ja — my wszyscy — mamy także samo pojęcie o fanatyzmie i rewolucji, jak o trądzie i czarnej śmierci. Nawet wojna, chociaż starsi spośród nas brali w niej mniej lub więcej bezpośrednio dwa razy udział, uderza nas jako coś z natury swojej nie-normalnego. Porównajcie własne życie z życiem Koestlera; przeczytajcie «Spanish Testament» i «Scum of the Earth». Był uchodźcą, a stał się wygnańcem. Prześladowano go i jako socjalistę i jako Żyda. Mógł uciec z Europy na parę lat przed wojną, ale wolał pozostać tam, gdzie toczyła się najbardziej skuteczna walka przeciwko siłom zła. Został uwięziony i skazany na śmierć w Hiszpanii. Siedział w więzieniu we Francji, a na śmierć w Hiszpanii. Siedział w więzieniu przez Gestapo. I chociaż sam uszedł ostatecznie śmierci, wielu jego przyjaciół zamordowano lub doprowadzono do samobójstwa.

Przeżył w pewnej mierze bardziej jeszcze druzgocącym była dla Koestlera utrata wiary. Przez siedem lat był komunistą, a jeden rok spędził nawet w ZSRR. Potem przyszedł oszałamiający wstrząs: Koestler doszedł do wniosku, że komunizm typu sowieckiego jest «największą farsą, jaką kiedykolwiek widział świat». Przestanki, które doprowadziły go do tej konkluzji wyłożył bardzo jasno w «The Yogi and the Commissar» i w «Darkness at Noon».

Jego nawrócenie było czymś nieporównanie głębszym niż prosta zmiana poglądów, jaka w Stanach Zjednoczonych czyni z republikanina demokrate, a w Anglii z Labourzysty konserwatystę. Można ją raczej przyrównać do utraty wiary, która zmusza jezuitę do ucieczki z zakonu, złamania ślubów kapłańskich i porzucenia Kościoła. Poświęcił siedem lat życia czemuś, co uznał potem nie za zwykłą omyłkę ale za zasadniczy błąd. Koestler pozostał marksistą. Nie jest trockistą i nie przeszedł na pozycję łagodnego empiryzmu Labour Party. Nie jest nawet niezależny: jest, a raczej czuje się, osamotniony.

Pewnie dlatego dręczy go, podobnie jak większość komunistów, którzy utracili wiarę, nieuzasadnione poczucie winy. («Arrival and Departure» nie jest powieścią autobiograficzną, ale znajdujemy w nim zainteresowanie dla zagadnień neurozy rewolucyjnej, które nie odezwałoby się prawdopodobnie nigdy w człowieku nieświadomym własnych symptomów neurotycznych.) Jeżeli, jak podkreśliłem wyżej, Koestler zdaje się nie dostrzegać tak prostych zjawisk życiowych jak szczęśliwe małżeń-

¹⁾ «Krucjata bez Krzyża» ukazała się nakładem Instytutu Literackiego w przekładzie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

stwo, prowadzące do szczęśliwego pożycia rodzinnego, to dzieje się tak przypuszczalnie dlatego, że czuje on się skazany na partyzancką samotniczość, którą jest mieszaniną Don Kiszota i kota chadającego własnymi drogami.

Jako pisarz daje się Koestler powodować nienawiści i pogardzie — mimo że żywi uczucie głębokiej solidarności dla wszystkich bezdomnych i uciśnionych metów ziem¹⁾. Rzecz w tym, że jego dola znacznie jest bardziej pożałowania godna, niż tych wszystkich, którym współczuje. Uciekający bowiem z bezpośredniego zasięgu niebezpieczeństwa, mogą zacząć wszystko od nowa; on zaś potrafi już tylko oddychać w atmosferze gwałtu. Nie umiem powiedzieć jak dalece to pisarskie przeznaczenie Koestlera dotyczy go również jako człowieka; ale jego niezwykły talent jest bez wątpienia zafascynowany przejawami okrucieństwa i nietolerancji. W zakończeniu «Scum of the Earth» czytamy oto:

«taki jest nasz jedyny i ostateczny cel wojny: nauczyć naszą planetę na nowo śmiechu. Bo tymczasem wyjemy jeszcze ciągle jak psy w ciemności. Chciałbym, aby wrócił czas śmiechu».

Wątpię czy wróci kiedykolwiek, czy może wrócić dla Koestlera, czas śmiechu. Zapomniał on bowiem jak brzmi śmiech, a jeśli go wogóle kiedykolwiek słyszał, to był to śmiech szyderczy.

Porównywano go z Jean-Jacques Rousseau: jego miłość i miłosierdzie dla ludzkości zmienia się łatwo w nieufność i pogardę w stosunku do zwykłych ludzi. Spójrzcie na portrety różnorodowych postaci w jego książkach. Wszystkie są zaplute. Nawet Swift nie był bardziej konsekwentny w braku dobroduszości. Przypomnijcie sobie jego życie — czy macie prawo się dziwić? Głędzić takiemu człowiekowi o uprawianiu ogródków byłoby absurdem, jeśli nie obrazą. Ale pisarz nie bywa nigdy pełnym człowiekiem — gra zazwyczaj rolę, daje przedstawienie. I dlatego nie dziwiłbym się wcale, gdyby mi powiedziano, że autor tych wstrząsających książek znajduje przyjemność w piciu trawy i hodowaniu prymulek.

Krytyka, na którą sobie pozwoliłem, nie zmienia w niczym faktu, że książki Koestlera robią ogromne wrażenie. Wprost przeciwnie. To że nie jest Anglikiem podnieca jeszcze bardziej czytelnika angielskiego. Jego myśli i uczucia mają w sobie urok niezwykłości, podsycają stan ciągłego zaskoczenia. A pisze on z siłą i pasją, rzadką wśród nas. To że nie jest w istocie rzeczy powieściopisarzem, dodaje jego powieściom więcej głębi myślowej, niż jej znaleźć można w większości książek, które opisują pospolitych ludzi krzających się wokół pospolitych spraw, lub kryminalnych półgłówek mordujących dla pieniędzy. (Pierwsze kryterium, jakie proponuję dla każdej powieści, sprawdza się do pytania: «Czy interesują cię losy bohaterów?» A

1) W oryginale angielskim: «Scum of the earth».

jest to sprawdzian, przez który tylko niewiele powieści mogłoby przejść obronną ręką.) Jeszcze raz: jego książki, właśnie dlatego że są nieprzyjemne, prowokują do sprzeciwów i z wyjątkiem «Arrival and Departures» nie można obok nich przejść obojętnie. W każdym razie książki nieprzyjemne są konieczne. Mamy w Anglii wielu pisarzy przewyższających Koestlera wyobraźnią poetycką, wrażliwością, mądrością, stylem i sztuką kreowania postaci. Ale znam tylko niewielu, którzy pisząc o chorobach naszej cywilizacji, dorównują mu w przenikliwości i pasji pisarskiej.

Jego ostatnia powieść, «Thieves in the Night», jest niesłychanie sporną relacją na temat położenia sjonizmu w Palestynie w latach 1937-1939. Koestler nie napisał dotąd książki równie przykuwającej uwagę, książki która by swym tematem dawała równie szerokie pole do popisu jego darowi sardonicznej prześmiewki. Jest to oczywiście powieść tylko z pozoru; i dlatego każdy krytyk musi przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie czy zawarty w niej obraz jest zgodny z prawdą i wyczerpujący. Tylko bezstronny rzeczoznawca zagadnień palestyńskich potrafiłby ocenić to należycie; a gdyby się ktoś taki nawet znalazł, to jego bezstronność zostałaby na pewno zakwestionowana przez obie strony walczące. Nie więc dziwnego, że podejmuje to trudne zadanie z uczuciem niepewności.

Bohater książki nazywa się Józef; akcję śledzi się bądź bezpośrednio jego oczyma, bądź przez pryzmat jego dziennika. Ten młody pół-Anglik i pół-Żyd pojechał do Palestyny i przystał do grupy sjonistów z Europy Środkowej, którzy po pięciu latach szkolenia w pracy na roli zabożyli farmę spółdzielczą (kibuc) pod nazwą Wieża Ezry. Przydzielono im nieurodzajne wzgórce, zakupione przez Fundusz Narodowy. Po pierwszej utarczce z Arabami, w czasie której jeden ze sjonistów zostaje zabity, kibuc zaczyna się rozwijać i dzięki pracowitości i samozaparcia mieszkańców, staje na nogach. Oparty na zasadach bezwzględnej samostanowienia samorządu komunistycznego, przypomina on utopijne wspólnoty w dziewiętnastowiecznej Ameryce.

«Nasze Komuny są jedynym miejscem na świecie, gdzie własność prywatna została całkowicie podporządkowana ogółowi, gdzie wszyscy ludzie są naprawdę równi, gdzie można żyć i umrzeć nie tknąwszy nawet pieniędzy. W setkach osiedli wprowadzamy w życie od trzydziestu lat czysty komunizm wiejski. Przebrnęliśmy przez wszystkie próby nie urobiwszy ani jednej podstawowej zasady, przekształciliśmy utopijną z pozoru ideę w małe, ale wydajnie pracujące warsztaty rolne».

Pierwsza część książki poświęcona jest głównie opisowi rozwoju osiedla i trzeba przyznać, że jest mistrzowska. Część druga ma szersze ambicje i jest mniej udana. Zapoznajemy się ze sjonistami podzielonymi na dwa stronnictwa: tych, którzy wierzą

w posłuch wobec prawa nawet jeżeli uważają je za niesprawiedliwe i wyznają pogląd, że sjonizm może zwyciężyć tylko apelując do dobrej woli tubylców palestyńskich; i tych, którzy wychodząc z założenia, że Żydzi zbyt długo znosili w milczeniu straszliwe cierpienia, uważają terror wobec Arabów i Brytyjczyków za jedyne wyjście z sytuacji. Józef skłania się początkowo ku pierwszej partii, ale pod koniec przystępuje do drugiej. W roku 1939 bowiem Brytyjczycy ogłaszają Białą Księgę, ograniczając w niej imigrację Żydów do Palestyny, chociaż w Europie Środkowej wzmaga się ciągle prześladowania. Związki osobiste pomiędzy postaciami spełniają, jak było do przewidzenia, rolę czysto pomocniczą w stosunku do ścierających się ideologii. Józef dzieli swe uczucia pomiędzy dwie kobiety w osiedlu: jedną z nich jest jego kochanka, a potem żona; drugą, dużo przyjemniejszą i inteligentniejszą dziewczyną, którą potworne przeżycia z okresu prześladowań w Europie uczyniły zupełnie niezdolną do najbardziej nawet prymitywnego obcowania fizycznego. Którejś nocy wyjeżdża ona na przechadzkę w okoliczne puszkowia, i tam gwałcą ją i mordują Arabowie. To okrucieństwo skłania ostatecznie Józefa do wstąpienia w szeregi ruchu terrorystycznego. Nie na rozumowaniu jednak oparte były przesłanki, które pchnęły go do tej decyzji.

«Ależ ja nie chcę być rozsądny — krzyknął — miałem dość tego rozsądku przez dwa tysiące lat, gdy inni nie okazywali go za grosz. Byłem rozsądną muchą, która zatacza koła za szybą okienną, zwabiona światłem w pokój, aby opaść wreszcie na ziemię z połamanymi nóżkami i opalonymi skrzydłami. Kością w gardle staje mi ten wasz rozsądek».

To uczucie, że skoro nadstawianie drugiego policzka nie przyniosło żadnej korzyści, a oddanie uderzenia może się okazać skuteczniejsze, ożywione jest jeszcze inną, znacznie bardziej zrozumiałą satysfakcją: oto Żydzi, których tak często i niesłusznie oskarżano o tchórzostwo, przejawiają w akcji terrorystycznej szaloną odwagę.

Sam Józef nie jest postacią w stu procentach prawdopodobną. Wychowany został przez matkę-aryjkę i dziadków na typowego przedstawiciela angielskiej burżuazji. Potem, w czasie pierwszego roku pobytu w Oxfordzie, obraża go w upokarzających (i wyjątkowo nieprawdopodobnych) okolicznościach jakaś faszystka. Ten «incydent» uświadamia mu po raz pierwszy, że jest Żydem. Trudno jednak uwierzyć w angielskość Józefa jeśli się zważy, że Koestler używa go często i zupełnie dowolnie jako wyraziciela własnych poglądów i uczuć.

Inne postacie są lekko tylko zarysowane i reprezentują najprzeróżniejsze tendencje narodowe i polityczne. Te partie książki należą do udanych, podobnie zresztą jak opisy przyrody. Wrażenie jakie pozostawia w nas obraz Palestyny, jej mieszkań-

ców i problemów, jest wyjątkowo żywe. Śledzimy losy kibucu w napięciu i z sympatią, zdumiewa nas pełna samozaparcia energia osadników i skłonni jesteśmy dzielić pogardę autora dla niedołężnych Arabów, głupich urzędników brytyjskich i ich prowincjonalnych żon o płasich móżdżkach.

Koestler posiada szczególny dar parabol. Porównuje na przykład sjonistów do naszych prastarych przodków — ryb, które wypelzły po raz pierwszy na brzeg stały się amfibiami.

«Zamiast poruszać się z wdziękiem w wodzie, grzęzną one i czołgają się na brzuchach w błocie i mule, chwytając rozpaczliwie powietrze nowym i niedoskonałym narządkiem, którym natura obdarzyła je specjalnie w tym celu...

Arabowie są rybami. Są szczęśliwi, mają tradycję i urok, są samowystarczalni i pędzą beztrudnie, nie licząc się z czasem i sielankowe życie. W porównaniu z nimi jesteśmy amfibiami, pozbawionymi wdzięku. Oto dlaczego Anglicy ich lubią, a nas nie znoszą. Nie chodzi o względy polityczne. Tęsknią po prostu za utraconym rajem — za czymś w rodzaju wiecznego week-endu — i nienawidzą rygorów życia miejskiego. A my jesteśmy siłą, która pcha ryby na brzeg, jesteśmy unerwioną czułką ewolucji.

Bardzo mądre uwagi. Najwięksi angielscy arabofile od Doughty i Scawen Bluntów do T. E. Lawrence'a i Freji Stark nienawidzili zawsze zgiełku, bezładu i szpetoty współczesnej cywilizacji przemysłowej. Kochali pustynię i jej mieszkańców w przekonaniu, że postęp ludzki wkroczył na drogę, która prowadzi do katastrof. Dachau i Hiroshima potwierdzają do pewnego stopnia ich przeświadczenie.

A oto inne porównanie Koestlera, ilustrujące stosunek Arabów do imigrantów:

«No pewnie, że nas nie lubią. Są dziećmi z przedmieścia, które mają duży plac do zabaw i baraszkują wesoło w kurzu. I nagle przychodzi inna gromada dzieci, które nie mają się gdzie bawić, i zabiera się z dziką energią do porządkowania placu, do budowania namiotów i ustępów. «Wynosicie się stąd — krzyczą miejscowe dzieci — nie chcemy was». «Ależ tu jest mnóstwo miejsca — odpowiadają mądrzy przybysze — i pozwolono nam również zeń korzystać. A gdy doprowadzimy wszystko do porządku, to i wam będzie tu znacznie przyjemniej». — «Wynosicie się stąd, wynosicie się stąd — krzyczą pierwsi, wyrzucając narzędzia i zabawki przybyszów — wynosicie się stąd, nie potrzebujemy was. To nasz plac i lubimy go takim, jaki jest».

Porywcza emocjonalność, która u większości ludzi wpływa na przytępienie inteligencji, Koestlera czyni bardziej żywym.

Bezpośrednie doświadczenia, jakie wyniósł z prześladowań Żydów w Europie, zapalają w nim gorący entuzjazm dla państwa palestyńskiego, które ma położyć kres ich cierpieniom. Jego idealizm komunistyczny, tak gorzko zawiedziony w ZSRR, zdaje się w komunach sjonistycznych znajdować urzeczywistnienie swych snów. A może ten zakochany w burzach ptak szuka łupu dla swego drapieżnego talentu w kraju opanowanym przez gwałt i terror. W *«Thieves in the Night»* nie ma ani jednej nudnej strony. Jest to arcydzieło propagandy.

Jak większość zdolnych obrońców, Koestler wychodzi ze skóry żeby zasłużyć sobie w oczach sędziego — w tym wypadku czytelnika — na miano obiektywnego. O ile więc Arabów i Brytyjczyków traktuje z pobłażliwą pogardą, o tyle w stosunku do Żydów jest wyraźnie agresywny. Przeczytajmy parę urywków z dziennika Józefa.

«Zanim umarł mój ojciec, chodziłem z nim co niedzielę na przedmieścia. W ten sposób przekonałem się, że ludzie biedni nie są wcale tak przyjemni i dobrzy, jakby to mogło wynikać ze słudzińskich nowelek, ale przeciwnie, że są to przeważnie łajdacy, analfabeci i alkoholicy... Stałem się socjalistą nie dlatego że kochałem, ale dlatego że nienawidziłem biednych. Jeżeli ukształtowały ich w ten sposób warunki życiowe, to trzeba te warunki zmienić.

Po Incydencie zacząłem odwiedzać tych, których postanowiłem odłączyć od swych współwyznawców. Byli równie nieprzyjemni jak nędzarze. Oczarowała mnie ich bystrość, żywość i inteligencja, ale psuli wszystkie swoje zalety zbytnią ostentacją. Nienawidziłem ich wyostrzonego zmysłu analitycznego, ciągłego napięcia w jakim żyli. Nienawidziłem ich braku form, beceremonialności i złego wychowania, ich łatwego przechodzenia z uprzejmości na poufalość, ich arogancji pomieszanej z płaszczeniem się. Byli dla mnie pariasami rasowymi świata; ich «slumsami» były ghettta o ścianach zbudowanych bądź z kamieni, bądź z przesądów...

Bo Żydzi są chorą rasą; chorują na bezdomność i można ich wyleczyć tylko, usuwając tę bezdomność.

Stałem się socjalistą bo nienawidziłem biednych; stałem się Hebrajczykiem bo nienawidziłem Żydów».

A gdy nastąpiło wreszcie upragnione przeobrażenie i charakter Żydów się zmienił, Koestler opisuje nowe formy życia w równie bezlitosny sposób:

«Nie chcemy już romantyków i idealistów. Chcemy wytworzyć trwały wzór codziennego życia. I jeśli nowe pokolenie zaakceptuje go, nasz cel zostanie osiągnięty.

A jednak jakiś wewnętrzny głos, może głos wrodzonego sceptycyzmu, mówi mi, że jest to wszystko zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Istota rzeczy leży nie w pow-

staniu nowego pokolenia, ale w jego wartościach ludzkich. Obserwowałem ich od chwili gdy tu przybyli — krępe i nieruchawe dziewczęta o ordynarnych rysach twarzy, wielkich pośladkach i ciężkich piersiach, przedwcześnie dojrzałe fizycznie a niedorozwinięte umysłowo, przejrzałe i niedostate zarazem; ociężałych, mrukliwych i nieociosanych młodzików o agresywnym śmiechu i bezbarwnych głosach, bez tradycji, bez manier, bez formy i stylu...

Ich rodzice byli najbardziej kosmopolityczną rasą świata — oni są zaściankowymi szowinistami... Ich rodzice nosili w swych niezgrabnych ciałach wyczułone klębki nerwów — oni mają nerwy z postronków i ciałami przypominają bandę Tarzanów, walczących się po wzgórzach Galilei. Ich rodzice byli przewrażliwieni, czujni i przysubtelnieni — oni są tępi, niedelikatni i toporni...».

Oszolomiony tego rodzaju wybuchami czytelnik, który nigdy nie był w Palestynie może nie zwrócić uwagi, że książka nie osłabia w niczym rozprawy ze sjonizmem w jego obecnej postaci. Zarzuty pod adresem sjonizmu nie opierają się bowiem w żadnym razie na antysemityzmie. W rzeczywistości najbardziej zażarci przeciwnicy sjonizmu rekrutują się spośród Żydów i to spośród Żydów dumnych ze swej przynależności narodowej, spośród Żydów upatrujących w państwie sjonistycznym śmiertelne niebezpieczeństwo dla większości swych współwyznawców, którzy wolą żyć tam gdzie się urodzili.

Zapaleczywość każe niekiedy Koestlerowi wkładać w usta występujących w książce postaci twierdzenia, które są po prostu nieprawdziwe — jak na przykład to, że Żydzi płacą gros podatków w Palestynie. (Co nie przeszkadza stwierdzić uczciwie, że Żydzi płacą podatki niewspółmiernie wysokie do ich liczebności i stopnia zamożności.) Znacznie bardziej jednak błędne są zasadnicze założenia, na których oparta jest książka. To też wypada się z nimi pokrótce rozprawić. Po pierwsze Koestler zakłada z góry, że obietnica utworzenia żydowskiego «Domu Narodowego» zawierała w sobie zapowiedź powstania państwa palestyńskiego z większością żydowską. (Powiada nawet, że był czas gdy Fajsal witał narodziny państwa żydowskiego. Można się spierać na temat tego, co Fajsal witał i na jakich warunkach; w każdym razie jedno jest pewne: nie miał on na myśli państwa). Koestler nie wspomina ani słowem o tym, że prawa Arabów powinny być uszanowane. Terrorysty słusznie zapowiadają w książce: «Gdy tylko będziemy mieli większość, reszta pójdzie gładko». Nie trudno sobie wyobrazić jak będzie wyglądała ta «reszta»! Koestler zakłada z góry, że mamy moralne prawo wymóc na palestyńskich Arabach zgodę na imigrację w skali, której nigdy nie dopuścilibyśmy u siebie. Żydzi stanowią teraz mniej więcej trzecią część ludności Palestyny. To tak, jak gdyby Anglia wpuszczała czternaście milionów imigrantów w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat.

Koestler zdaje się również zakładać z góry, że wszyscy Żydzi którzy przyjechali do Palestyny, chcą się w niej osiedlić na zawsze, nie ma najmniejszej nawet wzmianki na temat ostrych różnic jakie istnieją pomiędzy tymi Żydami, dla których Sjon jest wysnioną ojczyzną przyszłości i tymi, którzy uciekli do Palestyny chcą się jedynie urządzić w bardziej cywilizowanych warunkach. Znaczna część Żydów palestyńskich należy do tej drugiej kategorii.

Jeżeli Koestler pominął milczeniem wszystkie powyższe zagadnienia, to uczynił tak pewnie dlatego, że uważa je za zupełnie oczywiste. Ale tendencyjność jego książki staje się dla mnie zupełnie już bezsporna gdy twierdzi on, że Anglicy byli zawsze pro-arabscy i anty-żydowscy. To prawda, że Anglicy uważają ograniczenia imigracyjne za konieczność. Ale bez ich pomocy nie byłoby wogóle imigracji. Tymczasem zaś zyskali sobie w nagrodę wrogość zarówno Arabów jak i Żydów, co ostatecznie nie jest najgorszym dowodem ich sukcesu w dążeniu do bezstronności i sprawiedliwości. Gdyby było rzeczą możliwą być sprawiedliwym w stosunku do jednej strony, nie będąc niesprawiedliwym w stosunku do drugiej strony — cała sprawa byłaby już łatwo załatwiona. «Widzieć obie strony medalu — to luksus, na który nie możemy sobie pozwolić». To powiedzenie jednego z terrorystów w «Thieves in the Night» zbliża się bardzo do poglądów Koestlera.

Książka poświęca nieproporcjonalnie dużo uwagi farmom spółdzielczym w Palestynie. W kibucach natomiast mieszka tylko około 6% Żydów, przeszło trzy czwarte ludności stanowią mieszkańcy miast. Nie jest wykluczone że Koestler zajmie się nimi kiedy indziej, bo akcja «Thieves in the Night» raczej się urywa niż kończy. Tymczasem jednak niektórzy czytelnicy mogą sobie na podstawie lektury ostatniej książki Koestlera wyrobić mylny pogląd, że kibuce — najbardziej zresztą interesujące osiągnięcie sjonizmu — są również ilościowo ważnym czynnikiem w życiu Palestyny.

Czułem się w obowiązku wytknąć niektóre luki w obrazie, przedstawionym przez Koestlera; mam wrażenie, że gdyby Koestler wypełnił je sam, to pozyskałby łatwiej świadomych rzeczy czytelników dla sprawy, której broni. Ale każdy propagandzista daje się zazwyczaj pierwszy zbalać własnej stronniczości: napisawszy tyle przykrych rzeczy o Żydach, Koestler jest prawdopodobnie przekonany, że nadał całej książce piętno obiektywizmu.

Nie ulega wątpliwości, że z kart «Thieves in the Night» przemawia do nas żarliwy idealizm. Ale czy nie powinien nas przejmować smutkiem fakt, że Koestler, który jest sam ofiarą przemocy, zdaje się rozgrzeszać w świecie coraz bardziej krwawiącym od gwałtu, przemoc jako jedyną słuszną zasadę polityki sjonistów? W «Darkness at Noon» i w «Scum of the Earth» atakował z furją zasadę, że cel uświęca środki. Teraz przyklaskuje argumentowi terrorystów: «Musimy się posługiwać gwał-

tem i fałszem, aby uchronić innych od gwałtu i fałszu». Czy rzeczywiście Koestler jest zdania, że mordując żołnierzy i urzędników brytyjskich, którzy mieli nieszczęście znaleźć się w Palestynie, Żydzi postępują rozsądnie i słusznie? Nie ma narodu, który by traktował swych żydowskich obywateli lepiej niż Anglicy. Nawet różnicowanie społeczne, które pojawia się ostatnio znowu na całym świecie — na przykład w amerykańskich klubach — nie dotknęło Żydów w Anglii. A przez cały długi rok Brytyjczycy walczyli samotnie z narodem, który za jeden ze swych celów wojennych uważał zupełne wytepienie Żydów. Nie żądają wzajemności za to wdzięczności: jak wszyscy sprzymierzeni, walczyli przede wszystkim i głównie we własnej obronie. Ale mieli prawo oczekiwać, że nie będą mordowani przez ludzi, których uratowali od śmierci w komorach gazowych.

Być może Koestler nie zgadza się, wbrew pozorom, z wyznaczanym przez swego bohatera terroryzmem. Jeśli tak, to powinien się być odeń odciać w przedmowie: w tekście książki nie ma na ten temat ani jednej wzmianki. Jeśli więc przedstawiłem błędnie poglądy Koestlera, to przede wszystkim on sam ponosi za to winę.

Chociaż Koestler sądzi, że nie ma złudzeń co do sjonistów, jego sjonizm, podobnie jak jego komunizm, może się któregoś dnia skończyć rozczarowaniem. Krytyk bowiem depcze w nim zawsze po piętach fanatykowi; a jego lojalność — a lojalność jest jednak dowodem pewnej prawości intelektualnej, choć Koestler przeciwko niej czasem grzeszy — nie wiąże się z żadnym określonym miejscem na ziemi. Pod koniec «Thieves in the Night» określa Koestler Żydów w paru zdaniach, które można śmiało zastosować do niego samego:

«Będziemy zawsze zdradzani, bo jest w nas coś, co domaga się zdrady. Tkwi w nas potrzeba powrotu na ziemię, do normalnego życia. Ale tkwi w nas również potrzeba pogoni za utraconym rajem, którego nie ma na tym świecie. Taka jest nasza dola. Nie ma ona nic wspólnego ze sprawą rasy. Jest to dola człowiecza, doprowadzona do swych krańców».

Z upoważnienia autora tłum.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI.

Literatura hiszpańska w XX wieku

2

Walcząc o wizję «nowej, lepszej Hiszpanii» i odrabiając zaniedbania artystyczne poprzedniego okresu, «pokolenie 1898» musiało przede wszystkim rozwiązać zagadnienie stylu literackiego. W drugiej połowie minionego stulecia proza hiszpańska znajdowała się w głębokim upadku, poezji lirycznej tak jakby nie było, w teatrze panował niemożliwie retoryczny melodramat Echegaraya, którego już za życia autora nie podobna było czytać bez uśmiechu. Armando Palacio Valdés marnował swój wielki talent narracyjny w schlebianiu najbardziej wulgarnym gustom drobnomieszczańskim, Pedro Alarcón chciał uchodzić za wzór prostoty i żywości stylistycznej, a był po prostu nudny, słynny Blasco Ibañez pisał swe powieści, nie pozbawione dużych wartości konstrukcyjnych, stylem ordynarnego felietonu, Juan Valera bił wszelkie rekordy pisarskiej pedanterii. Najwybitniejsi, jak Perez Galdos i Emilia Pardo Bazan, na próżno szukali ucieczki przed rozpanoszoną trywialnością, bohaterstwo usiłując przezwyciężyć naskórkowy realizm przyjętej metody literackiej. Pisano stylem jednocześnie płaskim i bombastycznie nadętym, którego skrajny werbalizm nie znajdował żadnego pokrycia myślowego, zamulonym i pełnym zawilgości językowych.

Na młode pokolenie spadło zadanie przywrócenia hiszpańskiej prozie tej wysoce artystycznej prostoty i klarowności, jakimi odznaczała się w Złotym Wieku. Większość z nich, z Pió Baroją i Azorinem (właściwe nazwisko Martinez Ruiz) na czele, narzuca sobie niemal ascetyczną wstrzemięźliwość stylu, zabieg niezbędny po tylu latach słownej rozchwiałności. Ich proza jest tak surowa jak owe górskie krajobrazy, do których ciągle powracają, i tak czysta jak wysokie niebo nad Kastylią. Według słów jednego z krytyków współczesnych Azorin i Baroja «ostatecznie skreśli kark grandelokwencji hiszpańskiej, rozwieleniemu powszechnie zwyczajowi gwałtownego przyciskania pedałów przy każdej okazji». Wtedy okazało się z całą oczywistością, że ten «ascetyczny» i pozornie ubogi styl zdobywa się na wielką siłę plastycznego wyrazu i że jego programowa surowość nie ma nic wspólnego z oschłością uczuć i niezdolnością do głębokich wzruszeń. Obydwaj pisarze, należący już dziś do

klasyków literatury, mają drapieżny dar nieomyślnej obserwacji i przy pomocy bardzo oszczędnych środków potrafią stwarzać żywe postacie ludzkie, zdolność niespotykana od dawna w prozie hiszpańskiej.

Dopiero po tej ożywczej operacji powieść mogła powrócić pod piórem Ramona de Valle-Inclana i Gabriela Miró do barokowego sensualizmu, ale najlepsze ich utwory przy całej swej, niekiedy przesadnej malowniczości zawsze utrzymują się w granicach dobrego smaku, narzuconego przez Baroję i Azorina.

Identyczne przemiany odbywają się w liryce. Modernizm hiszpański został zapłodniony u schyłku stulecia przez Rubena Dario, który uformował swą indywidualność na skrzyżowaniu tradycji iberyjsko-kreolskich z wpływami poezji francuskiej, głównie Verlaine'a i parnasistów. «Hiszpan w Ameryce i Amerykanin w Hiszpanii», Dario wniósł do zaściankowej podówczas liryki hiszpańskiej nowy styl i nową wrażliwość estetyczną, ale stworzona przez niego szkoła nie wydała wielkich poetów. Modernizm szybko się przeżył i, zanim jego przywódca zdążył wydać «Pieśni życia i nadziei», swoje szczytowe osiągnięcie poetyckie, już tematyka dekadancka znalazła swoje przezwyciężenie w liryce Antonia Machado i Juana Ramona Jimeneza. Jeśli typowi moderniści, jak sam Dario, Francisco Villaespeza, Valle Inclan i, w nieco mniejszym stopniu, Manuel Machado, wyżywali się w poszukiwaniu efektów zewnętrznych, które tak bardzo ułatwia charakter mowy hiszpańskiej, Antonio Machado i Jimenez dążą do maksymalnej prostoty wyrazu, chociaż ich warsztat poetycki, u Jimeneza zwłaszcza, jest znacznie bardziej skomplikowany, niż to mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. W swojej tendencji do osiągnięcia czystej formy lirycznej Jimenez niejako «zdematerializował» wiersz hiszpański, celowo odbierając mu lub przynajmniej ograniczając przyrodzoną łatwość w stwarzaniu efektów dźwiękowych, zastąpionych przez wizyjność trudniejszego, pośredniego typu.

W prologu do «Dругiej Antologii Poetyckiej», wydanej w roku 1920, poeta określa swoje wiersze jako «proste i spontaniczne» (sencillos y espontaneos). A oto wyjaśnienie jego własnej interpretacji tych określeń: «Cóż to jest prostota i spontaniczność? Proste, to znaczy osiągnięte przy minimalnej ilości elementów; spontaniczne — stworzone bez wysiłku. Ależ piękno, osiągnięte przy pomocy minimalnej ilości elementów, jest zawsze owocem zupelnosci, ależ spontaniczność świadomego poety jest zawsze doskonałością! Innymi słowami i odwracając moją myśl: doskonałość w sztuce jest odpowiednikiem spontaniczności, czyli prostoty świadomego artysty». I nieco dalej: «Prostota — to najmniejsza ilość elementów, wyłącznie to, co jest niezbędne, syntetyczne, ściśle odpowiadające założonemu celowi. Zatem poemat może być jednocześnie bardzo prosty i skomplikowany, zależnie od tego co pragnie wyrazić. Wiersz powinien być spontaniczny, ale to nie znaczy, aby po urodzeniu się sam przez się, nie miał być poddany świadomej rewizji i

oczyszczeniu. Sztuka jest tylko jedna: spontaniczność, kontrolowana przez świadomość artystyczną».

Impresjonizm Jimeneza jest bardzo dyskretny, wizualność jest zawsze świetnie stonowana, wiersz przeważnie biały z rzadko pojawiającymi się rymami jeszcze bardziej podkreśla zamierzoną prostotę formalną. Dla przykładu jeden z najbardziej typowych poemacików Jimeneza:

*Pękami wilgotnych fiołków
po nagich biłem ją plecach.*

*Aż jasne krople perłami
okryły jej białe ciało.*

*Jakaś radosna ucieczka
po świetle zroszonym piasku!*

*Wśród krzewów czerwonych róż
gasta jej blada nagość,
jak srebrne jabłko przyćmione
obsypującym się szronem.*

*Przed rosą chroniąc się, biegła
pomiędzy róże czerwone.*

*I zanosila się śmiechem,
śmiał się wśród rosy rozkwiecał...*

*Pękiem wilgotnych fiołków
po nagich biłem ją plecach.*

Nostalgiczny i melancholijny stosunek do natury, delikatność wyrazu, prostota środków zbliżają do Jimeneza drugiego najwybitniejszego poety tego okresu, Antonia Machado. Ale tu gorzki smak świata jest zaprawiony większym niepokojem metafizycznym, dążenie do monumentalności poematu mocniej zaakcentowane, środki wyrazu poetyckiego jeszcze bardziej zredukowane w swej klasycznej prostocie. Machado, który zaczął jako symbolista, z biegiem czasu osiąga daleko idącą obiektywizację swego liryzmu, ewokacje rodzinnego pejzażu będą miały zawsze wyloty ku wieczności, tematykę wspomnień opanowuje świadomość wszechobecności śmierci, ścisłość topograficzna opisu rozwiewa się w marzeniu.

*Bociany w słońcu spoglądają
w czerwoną zorzę popołudnia
między Urbionem i Moncayo.*

*Oto brunatne dęby,
pustosz kamiennych bezludzi.*

*Gdy słońce przekracza góry,
rzeka się budzi.*

*We mgłę fioletowej
stoja szczyty dalekie.
W powietrzu mrocznąjącym
tylko szum rzeki.*

*Wyptywa siny księżyc,
zgrzybiały wieczór drzemie.
Na pola schodzi chłód.
Więcej księżyc niż ziemi!*

Tradycyjny w poezji hiszpańskiej podział na szkołę andaluzyjską i kastylijską, który powstał jeszcze w wieku XVI, można by przeprowadzić również współcześnie, chociaż podział ten nie zawsze zgadza się z geografiami. Tak np. Machado, uważany powszechnie za najdoskonalszego wyraziciela duszy kastylijskiej, urodził się i spędził młodość w Sewilli, wielu zaś przedstawicieli szkoły andaluzyjskiej pochodzi z innych prowincji hiszpańskich. Zresztą nawet u Machado znajdziemy wiele cech typowo andaluzyjskich, co świadczyłoby, że tradycyjny podział w zastosowaniu do poetów współczesnych już nie wystarcza.

«Andaluza — pisze Federico de Onís — to wyrafinowanie, melancholijny wdzięk, ograniczenie się do jednej tonacji, świadoma maniera». Dlatego też Federico Garcia Lorca, najwybitniejszy i najtypowszy poeta andaluzyjski, wydaje się cudzoziemcowi przy całej swej malowniczej egzotyczności zbyt jednolity, niekiedy wprost zmanierowany; zwłaszcza «Roman-cero gitano», książka, która osiągnęła niestychaną popularność, czyni wrażenie wciąż tej samej tragicznej melodii, powtarzanej niezmiennie, wygrywanej na tej samej strunie, raczej wykształconej, niż wyspiewanej przez zdławione w rozpacz gardło. Ale w tej jednolitości tkwi nie byle jakie wyrafinowanie, ta maniera jest produktem odwiecznych nawastrzeń kulturalnych, gdy cywilizacje iberyjska, kartagińska, rzymska, arabska, kastylijska przekwitwały kolejno nad rozpalonym krajobrazem andaluzyjskim. Element muzyczny odgrywa tu często rolę kierowniczą i porządkującą («Poema del canto hondo»); andaluzyjczyk jest naprawdę sobą dopiero wtedy, gdy śpiewa; ale główny ton narzuca element dramatyczny, rozdzierająca rozpacz człowieka, bezsilnego wobec fatalnych wyroków przeznaczenia; aby zrozumieć duszę hiszpańską do głębi, trzeba ją poznać w nieszczęściu. Sensualizm tej poezji ociera się co chwila o śmierć, gorąca krew studzi się na stali cygańskiego sztyletu, okrzyki uniesienia rozptylają się w melancholii, a gdy wraz z odejściem dnia ginie błękit morza i zieleń ogrodów, gdy ślepe ściany domów zaczynają świecić jak upiory pod rozżarzonym księżycem, człowiek zostaje sam na sam z samotnością i tylko tragiczny jęk gitary osłania go przed nocą i przeznaczeniem.

*Czarny koń, ogromny księżyc
i oliwki w moim worku.
Choćbym znał kierunek drogi,
nigdy nie dotrę do Kordoby.*

*Przez równinę, poprzez wiatr,
czarny koń, czerwony księżyc.
Śmierć mi przygląda się z dala
z wysokich wież kordobańskich.*

*Och, jakże długi się droga!
Och, mój koniu, koniu dzielny!
Wiem, że mnie śmierć oczekuje,
nim do Kordoby zajadę!*

Lorca zaczął pisać w roku 1917, zatem w okresie, gdy w Hiszpanii dochodził do głosu młody ruch poetycki, zwany ultraizmem i będący transpirenejską odmianą futuryzmu. Z ultraistami łączyły granadyjskiego poetę pewne zdobycze formalne, w dziedzinie metafory przede wszystkim, ale były to filiacje najzupełniej powierzchowne, gdyż wbrew wszelkim pozorom nawet jego «nielogiczności» poetyckie, niesłusznie zapisywane przez niektórych, zbyt pochopnych krytyków na konto wczesnego surrealizmu, dają się bez żadnego trudu zlokalizować na przedłużeniu tradycji czysto hiszpańskiej. W gruncie rzeczy Lorca jest najbardziej tradycjonalistycznym poetą swego pokolenia, tkwiąc wszystkimi korzeniami w ludowym «romansie» andaluzyjskim, stąd też niezwykła popularność jego liryki, która w całym tego zwrotu znaczeniu «trafiła pod strzechy».

Po krótkim okresie burzy i fermentu ultraizm rozszedł się po kościołach: Gerardo Diego, najbardziej konsekwentny jego wyznawca, jest dziś jednym z najwyraźniej klasykujących poetów i świeżo upieczonym członkiem Akademii. Późniejsza liryka hiszpańska nawróciła do źródeł rodzimych, nawiązując ponad głowami poetów XIX-go wieku do wielkiej poezji Złotego Okresu. Garcilaso de la Vega (1501-1536) i Luis de Gongora (1561-1627) stanęły się hasłem i zawołaniem dla ostatnich roczników poetyckich, «Gongoryzm», podobnie jak skuzynowany z nim włoski «marinizm», miał do niedawna złą opinię we wszystkich podręcznikach historii literatury, ale wyroki potępienia były przeważnie wydawane pod niewłaściwym adresem, niesłusznie rozszerzając grzechy uczniów, imitatorów i epigonów na samego założyciela kierunku. Współcześni poeci hiszpańscy odkryli w Gongorze świadomą realizację dzisiejszego postulatu «czystej poezji», w tym chyba tylko odbiegającą od dążeń naszych czasów, że organiczoną przez kanony szesnastowiecznego humanizmu. Warto tu zanotować na marginesie, że «rewolucyjne» teorie krakowskiej «Zwrotnicy» wraz ze słynnym «układem rozkwitającym», to po prostu epigonizm baro-

kowego «culteranizmu» Gongory, przefiltrowany przez ultraizm i zaprezentowany naiwnym nadwiślanom jako doniosły wynalazek z pierwszej ręki. Nie próżno Tadeusz Peiper przebywał w Hiszpanii podczas pierwszej wojny światowej.

Wychowana na unowocześnionym «gongoryzmie», młoda poezja hiszpańska osiągnęła szybko nie byle jaki poziom, choć, oczywiście, klasykujące stylizatorstwo stało się tą niebezpieczną rafą, na której rozbiła się niejedna łódź poetycka. Z drugiej strony, za swój wysoki poziom formalny poezja ta zapłaciła cenę pewnej dehumanizacji, utraty wrażliwości na «dole człowieczą» przeradzając się zbyt często w ową «algebrę metafor», której stanowiska z taką gwałtownością ostrzeliwał w swoim czasie Ortega y Gasset. Dopiero po zakończeniu wojny domowej zaczęła zarysowywać się wyraźna reakcja na ten stan rzeczy wśród poetów ostatniego powołania.

Ruch poetycki w Hiszpanii jest bardzo interesujący i żywy, ale zorientowanie się w nim, zwłaszcza cudzoziemcowi, utrudnia niemal zupełny brak wartościującej krytyki literackiej.

3 *

Tak się złożyło, że obydwie nagrody literackie Nobla, zdobyte przez literaturę hiszpańską, przypadły autorom dramatycznym, co zdawałoby się świadczyć, że teatr współczesny przeżywa w Hiszpanii okres swego wielkiego rozkwitu. Byłoby jednak grubą przesadą mówić o prawdziwym renesansie dramatu hiszpańskiego. Szkoła Echegaray'a, retoryczna i koturnowa, sprawdziła na fałszywej drogi niejednego wielki talent, wykolejając m. in. tak niewątpliwego majstra scenicznego, jakim był niedawno zmarły Eduardo Marquina, typowy przykład pisarza, zaduszonego przez konwencjonalizm artystyczny, niepoohamowany werbalizm i łatwą malowniczność. Sam Echegaray, będący przez długie lata bożyszczem tłumów, stał się celem najzjadliwszych ataków i kpin całego «pokolenia 1898», które pierwszemu hiszpańskiemu laureatowi Nobla nie mogło darować jego melo-dramatycznej przesady i doprowadzonej do absurdu grandelokwencji. Wraz z wystąpieniem Jacinto Benavente, teatr hiszpański, nie tracąc związków ze swoją wielką tradycją, dołączył do współczesnych tendencji europejskich, dawniejszych i nowszych, od Ibsena i Maeterlincka po Shaw'a i Lorda Dunsana. Autor niezwykle płodny, Benavente próbował niemal wszystkich rodzajów dramatycznych, nie stroniąc nawet od łatwizny paryskiej komedii bulwarowej w stylu Bataille'a czy Bernsteina, ale najlepiej się czuł na terenie satyrycznego dramatu obyczajowego, dość często niepozabawionego pewnych akcentów poetyckich. Dramatu hiszpańskiego nie odnowił — brakowało mu ku temu większej oryginalności —, ale wyprowadził go z gluchego zaułka źle zrozumianej tradycji i postawił na dobrym poziomie europejskim, choć w samej Hiszpanii nie brakowało

krytycznych głosów, sprowadzających go do rzędu przeciętnych rzemieślników scenicznych.

Przedwczesna, tragiczna śmierć Federica Garcíi Lórca nie pozwoliła rozwinąć temu świetnemu poecie swych olbrzymich możliwości dramatycznych, ale to co pozostawił, weszło na stałe do literatury hiszpańskiej. Najlepsze jego utwory ze znakomitą «Krwawym weselem» na czele stanowią niewątpliwe odrodzenie tragedii, wyrosłej z ludowych tradycji andaluzyjskich, przesyconej elementem lirycznym, który towarzyszy akcji, jak chóry greckie towarzyszyły antycznym bohaterom, znakomicie skonstruowanej, maksymalnie zwartej w dialogach i nieomylnie wytrzymanej w poetyckim nastroju. Z autorów współczesnych poszedł tą samą drogą Alejandro Cassona, który podobnie jak Lórc, ale w sposób najzupełniej oryginalny potrafił ostrość tragicznej linii i delikatny liryzm łączyć z brutalnym nieraz realizmem środowiska. W tych dwóch autorach nowoczesny teatr hiszpański znalazł swój wyraz najbardziej narodowy, bez wpadania w etnografizm i stał się uniwersalny, bez zrywania z rodzimą tradycją.

Najnowsza twórczość dramatyczna, jeśli pominąć nieliczne i nieudane próby tworzenia teatru monumentalnego, ogranicza się prawie wyłącznie do lekkiej komedii, szukając nowych form na terenie farsy surrealistycznej i czystego nonsensu scenicznego. Nie jest chyba rzeczą przypału, że podobnie w prozie pokolenia, które weszło do literatury po Pio Baroja i Azorín, na pierwszy plan wysunęli się humoryści wysokiej klasy, deformujący rzeczywistość w odważnej karykaturze o silnym zacięciu satyrycznym, podmyte, jak u Wenceslao Fernández Flores, przez podskórny nurt lirycznego wzruszenia, ciężkiej ku paradoksowi i grotesce w bogatej twórczości Ramóna Gómeza de la Serna, który sam jeden stanowi osobny rozdział we współczesnej literaturze hiszpańskiej, o olbrzymim zasięgu wpływu na całą twórczość najmłodszych.

O wysokim poziomie prozy hiszpańskiej ostatniego ćwierćwiecza decydują zresztą raczej essayiści, niż powieściopisarze. Nie zapomnijmy, że z wyjątkiem Pio Baroja najwybitniejsi przedstawiciele «pokolenia 98» byli przede wszystkim essayistami, choć wielokrotnie, jak w większości książek Azorína, granica między jednym a drugim rodzajem literackim jest niełatwa do przeprowadzenia. Najwyżej wzniosła się proza współczesna w twórczości José Ortega y Gasseta, niewątpliwie pierwszego umysłu hiszpańskiego w wieku XX, pisarza o wszechstronnej kulturze intelektualnej, którego rozległa skala zainteresowań obejmuje niemal wszystkie dziedziny, od zagadnień ściśle filozoficznych poprzez poezję i sztukę po socjologię i politykę. Jeśli «pokolenie 98» weszło do piśmiennictwa pod znakiem «niepokoju o Hiszpanię», Ortega, idąc po tej samej linii, włączył ów nurt troski narodowej w ogólnoeuropejską literaturę «niepokoju naszego czasu». Czujny wobec najdrobniejszych przejawów kryzysu współczesnej kultury, znalazł się w pierwszym

szeregu tych nielicznych pisarzy europejskich, którzy jeszcze przed wykrystalizowaniem się głównych tendencji i ruchów masowych potrafili określić ich charakter i zdeteterminować kierunek przyszłego rozwoju. Ta zdolność antycypacyjna Ortegi manifestuje się zarówno w obszernych studiach socjologicznych, ze znakomitą «Rebelią mas» na czele, jak i w essayach literackich, zawsze opartych na mocnej bazie filozoficznej («Deshumanización del arte»). Niektórzy podejrzewali Ortę o zależność ideologiczną od znanego prekursora włoskiego faszyzmu, Wilfredo Pareto, z którym zresztą ma pewne zbieżności, ale te ograniczają się do spraw drugorzędnych; historiozofia i socjologia hiszpańskiego pisarza jest tak daleka od wszelkiego dogmatyzmu i idolatrii politycznej że wypychanie go do jednego worka z Pareto i Gentile musi być uznane za zwykłe nadużycie.

Antypozytywistyczne tendencje Ortegi wyraziły się najpełniej w jego teorii «witalizmu», którą na kilkanaście lat wcześniej, ale ze znacznie mniejszą precyzją i rygiorem intelektualnym wysuwał Miguel Unamuno, pierwszy hiszpański «egzystencjalista» i odkrywca Sören Kierkegaarda. To, co było zasadniczo u duńskiego myśliciela — niechęć do myślenia systemicznego, niepokój metafizyczny, graniczący z rozpaczą, głęboka wiara w metafizyczną doniosłość działania — musiało odpowiadać Unamunowi w tym samym stopniu, w jakim zgadza się z charakterem rasy iberyjskiej. «Historia myśli ludzkiej — pisał wówczas Unamuno — to ciągła walka między rozumem i życiem; ten pierwszy usiłuje zracjonalizować życie, aby je zmusić do rezygnacji na rzecz nieuniknionego, na rzecz śmierci, podczas, gdy życie dąży do zwitalizowania rozumu, zmuszając go, aby mu służył do realizacji jego pragnień i dążeń». Otóż ta teoria witalizmu, która u Unamuno była pasją, intuicją, ślepą wiarą i religijnym światopoczuciem, znajduje w pismach Ortegi swoje ujęcie systemiczne, odchodząc pod wieloma względami daleko od autora «El sentimiento trágico de la vida». Z czasem Ortega najmie stanowisko pośrednie; przedstawiając metodzie ściśle racjonalistycznej życie jako metodę poznania, jednocześnie oświadczy: «Mój system nie staje w opozycji wobec rozumu, ponieważ nie przyjmuje poza nim innej możliwości poznania teoretycznego. — staje w opozycji wobec racjonalizmu».

Egzystencjalistami sui generis są prawie wszyscy pisarze pokolenia, a przede wszystkim i z największą konsekwencją Pio Baroja, zakochany w akcji dla samej akcji i głęboko przekonany o godności ludzkiego działania, co zbliża tego ojca nowoczesnej powieści hiszpańskiej do nietzscheanizmu, pojętego zresztą w bardzo swoisty sposób.

W pobliżu problematyki Ortegi y Gasseta, usiłującego przezwyciężyć idealizm racjonalistyczny w imię «metafizyki racji życiowych», a w socjologii wysuwającego arystokratyczny postulat «selekcji społecznej», usytuował się inny znakomity essayista, katalończyk z pochodzenia, który pierwsze swe utwory pisał jeszcze po katalońsku, Eugenio d'Ors y Rovira. Jeśli

u Ortegi świetność werbalna wysuwa się niekiedy na pierwszy plan, stwarzając pozory — ale tylko pozory! — powierchowaności, d'Ors bardzo często poświęca treść dla błyskotliwych efektów stylistycznych, co zresztą nie przeszkadza, że w najlepszych momentach owe barokowe bogactwo formy łączy się z głębokością oryginalnej myśli. Jego «Katechizm XX wieku» leży wyraźnie na przedłużeniu linii rozwojowej, zainicjowanej przez «pokolenie 98», doprowadzając niektóre założenia, tkwiące w pismach Menendezy Pelayo, Unamuno czy Ramiro Maeztu, do ostatecznych konsekwencji.

Jedność przeciw rozdrobnieniu. Imperium uniwersalne przeciw kryzysowi materialistycznych nacjonalizmów. Polityka misji i powołania przeciw polityce nieodpowiedzialności. Wielkie indywidualności przeciw ruchom masowym. Ideał surowego życia przeciw ideałowi luksusu, wytworzonemu przez fałszywą cywilizację mieszczańską. Autorytety przeciw anarchii. D'Ors odrzuca zarówno prawo ewolucji jak mity rewolucyjne. Początkowo proponuje zasadę «interwencji», co ma według niego oznaczać «kierowanie, wpływanie na losy historii»; następnie decyduje się na słowo «misja». «Walka o kulturę polega również na narzucaniu... prawa nie tylko normują, prawa również uzbrajają». Ale «nigdy nie dość powtarzać, że słowo autorytet łączy się ściśle z pojęciem autora. Tylko ten, który cokolwiek stworzył, ma prawo do wykonywania autorytetu i wyłącznie nad tym, co stworzył. Jednostka jałowa niech nie ma władzy. Zwykły naśladowca, powtarzacz ludzi twórczych niech ma władzy niewiele».

Niezależnie od filiacji politycznych, nieraz najzupełniej przypadkowych, poszczególnych pisarzy, czytelnika współczesnej literatury hiszpańskiej uderza jej jednolita postawa w afirmacyjnej ocenie tradycji kulturalnych swego narodu. Byłby z tego wniosek, że te procesy historyczne, które przed kilkunastu laty doprowadziły do upadku monarchii, kierując kraj ku laicyzmowi i ludowładztwu (chodzi mi, oczywiście, o ich głębszy sens, a nie formy zewnętrzne), znalazły się poza zasięgiem głównego prądu myśli hiszpańskiej. Dla kogoś, kto zechce ocenić piśmiennictwo współczesne ze stanowisk ideologii demokratycznej, wyrosłej z zeszłowiecznego pozytywizmu, będzie ono miało charakter zdecydowanie i skrajnie «reakcyjny». Z tej ogólnej oceny niewiele można wyliczyć. Właściwie poza garścią pisarzy anarchizujących, z których na pilniejszą uwagę zasługuje jedynie León Felipe Camino, poza wysoce uzdolnionym i niemniej ekstrawaganckim poetą komunistycznym, Rafaellem Alberti, i dwoma czy trzema pisarzami politycznymi o szerszym oddechu, reprezentującymi lewicę republikańską (najwybitniejszy z nich, Manuel Azaña, doskonały stylista, również powieściopisarz i dramaturg, był ostatnim prezydentem Republiki), cała literatura hiszpańska znalazła się po prawej stronie barykady, czego w niczym nie zmieniają takie epizody, jak ostry zatarg Unamuno z dyktatorem Primo de Riverą, lub postawa

zajęta przez umierającego Antonio Machado. Jeśli polityczna emigracja hiszpańska odegrała mimo swej liczebności tak niewielką stosunkowo rolę, stało się to niewątpliwie m. in. także dlatego, że w jej szeregach zabrakło wybitnych intelektualistów, których nie mogli zastąpić drugorzędni dziennikarze, ani gwałtowne wystąpienia Pablo Picasso.

Ostatnie pokolenie literackie, które dojrzewało w latach wojny domowej, nie wydało, jak dotąd, dzieł, mogących wytrzymać porównanie z wielkim dorobkiem swoich poprzedników. O młodej poezji już mówiłem, że nawróciła programowo ku tradycjom poetyckim XVI i XVII stulecia, zamykając się w hermetyzmie formalnym, choć w twórczości najmłodszych nie brak sygnałów zbliżającego się przełomu, który objawi się bodaj w przezwyjęciu nadmiernego egocentryzmu i zbliżeniu się ku «doli człowieka». Juan Ramón Jiménez i Machado oddali w ręce następnej generacji lirykę hiszpańską oczyszczoną i wysubtelnioną, roczniki, wywodzące się z «ultraizmu», lub mające z nim koreksje, wzbogaciły narzędzia poetyckie o wszystkie doświadczenia rewolucyjnej alchemii, obecnie wydaje się, że napłynie spokojna fala klasycyzującego humanizmu, w którym metafizyczny niepokój znajdzie właściwy stosunek do niełatwej sprawy naszego czasu.

Proza powieściowa jest niewątpliwie najsłabszą pozycją młodej literatury. Wśród najlepszych książek hiszpańskich ostatnich lat znalazłoby się sporo tomów poetyckich, kilkanaście tytułów z dziedziny essayistyki wszelkiego typu i bardzo niewiele powieści. Przedwczesna śmierć pozbawiła literaturę hiszpańską dwóch talentów na dużą miarę w osobach Samuela Rosa i zwłaszcza Manuela Llano; wiele zapowiadała swoją pierwszą powieścią pt. «Rodzina Pascuala Duarte», przełożoną niedawno na angielski, José Camilo Cela — obietnica dotychczas niespełniona; nad interesującym cyklem powieściowym, «Popiół który był drzewem», pracuje katalończyk Ignacio Agustí; z debiutów zasługują na wyróżnienie «Nada» (Nic) Carmen Laforet, największy sukces wydawniczy na przestrzeni ostatnich kilku lat, powieści Eulalii Galvarriato i Gironelli. Brak powieści oryginalnych spowodował gwałtowną inwazję księgarń w Madrycie i Barcelonie przez książkę argentyńską i przekłady z obcych literatur, głównie anglosaskich. Ale, jak dawniej, bujnie pleni się essay i literatura polityczna, choć i tu prym wiodą starsi pisarze, którzy dali się poznać na długo przed wybuchem wojny domowej.

Silny kryzys wydawniczy, pogłębiający się od roku 1946 w związku z ogólną sytuacją ekonomiczną kraju, niewielka ilość czasopism, poświęconych wyłącznie literaturze, a co za tym idzie, brak dyskusji i walk literackich, wreszcie trudność utrzymania się z pióra — hamują rozwój piśmiennictwa i obniżają jego poziom. Stąd też niejedną wybitny talent spośród młodych zwraca się ku dziennikarstwu i drugorzędnym rodzajom literackim, z oczywistą szkodą dla kultury narodowej.

Józef LOBODOWSKI.

Kantyczka duchowa

Znam ci ja wieczne źródło pełne wody,
choć nocna pora.

Choć źródło owe dobrze jest ukryte,
wiem, gdzie ma wody swoje znakomite,
choć nocna pora.

Początku nie ma, toć go nie znam, ale wierzę
że wszystko swój początek z niego bierze,
choć nocna pora.

Wiem, że urody równej w świecie nie ma
i że niebiosy piją zeń i ziemia,
choć nocna pora.

Wiem dobrze, że go do dna nikt nie zbrodzi,
ani kamiennym płotem nie ogrodzi,
choć nocna pora.

Jasności jego śmić nic nie jest w stanie
i wszelkie światło ma w nim swe posłanie
choć nocna pora.

I wiem, że wilżą jego liczne wody
piekła, niebiosy i ludzkie narody,
choć nocna pora.

Nurt, który z tego źródła wciąż wypływa,
moc jego wielka jest i szczodrobliva,
choć nocna pora.

Nurt wody, który z owych dwóch pochodzi,
wiem dobrze, że go żadne nie wyprzódzi,
choć nocna pora.

A owe wieczne źródło bije skrycie
w tym żywym chlebie, aby dać nam życie,
choć nocna pora.

Do niego wszystkie stworzenia się woła,
aby chleptały, choć po ciemku zgoła,
choć nocna pora.

Toć źródło żywe jest, którego żądam
i które w chlebie żywota oglądam,
choć nocna pora.

Przełożył Józef LOBODOWSKI.

“Kronika”

niezależny tygodnik demokratyczny.

Adres redakcji i administracji:

Eppstein-Taunus, Hotel Bienberg, US Zone, Germany.

PRZEDSTAWICIELSTWA:

BELGIA: Jadwiga Jurkszus, 23, rue Felix Delhasse, Bruxelles-St. Gilles. Wpłata prenumeraty: kwartalnie 24 fr., półrocznie 48 fr. na: CCP 7556 89 Jadwiga Jurkszus, Bruxelles.

HOLANDIA: Ks. Leon Romala, Utrecht, Nieuwe Gracht 92. Prenumerata 1,20 Fl. miesięcznie, 3,00 Fl. kwartalnie, wpłacać przekazem pocztowym, podając cel wpłaty.

FRANCJA: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e (Metro: Sully Morland). Prenumerata roczna 480 frs., półroczna 240 frs. Cena pojedynczego egz. 10 frs.

Prenumerata zagranicę wpłacana w markach na terenie Niemiec kosztuje rocznie 104 Mk.

Powrót emisariusza

Wyjętek z ostatniego rozdziału książki pt.: „Drogi Cichociemnych” (zbiorowy reportaż spadochroniarzy — b. żołnierzy A. K.). Książka ta ukaże się z końcem br.

Jest listopad 1943 r., a w Warszawie coraz «goręcej». Jechałem właśnie 11-tką na swój lokal, gdy obserwując przezornie z platformy, zauważyłem nieprzyjemne zgłoszenie patroli policyjnych w pobliżu pomnika Sopera. Pojechałem więc dalej, do Placu Zbawiciela. Na przystanku zauważyłem Jana z Delegatury; należał on do tych co wszystko i o wszystkich muszą wiedzieć. Uśmiechnął się domyślnie.

— Macie szczęście, wysylają Was z powrotem do Londynu.

— Dziwi mnie to, że Wy wcześniej o tym wiecie ode mnie — odparłem. — Ja się tam nie wybieram.

— Niejeden by się z Wami zamienił, bo tu już z tymi łapankami i rozstrzeliwaniami wytrzymać trudno. — Doktor w porozumieniu z Borem zdecydowali Was wysłać, bo Sęp i Andrzej, ostatni wysłannicy Delegatury, wpadli i słuch o nich zaginął, a inni emisariusze zatrzymani zostali w Budapeszcie.

Wiedziałem, że Jan nie zmyśla, nie w smak mi jednak była ta wiadomość, zrosłem się już z Warszawą i za dużo włożyłem tu serca w robotę, by nagle wracać do obcego, wcale nieciekawego Londynu.

W parę godzin później mój szef, Konrad, zakomunikował mi oficjalnie, że mam się gotować do powrotu. W ciągu listopada winienem przekazać swą pracę następcy Wiktorowi, a w grudniu poświęcić się całkowicie przygotowaniu do misji wysłannika Delegatury, stronnictw politycznych i A. K.

... Wyjazd mój z Warszawy opóźniał się. Nawaliła obiecwana przez Malickiego droga przez Łotwę i Szwecję. Oddany zostałem Zagrodzie — wojskowej komórecie przerzutowej. Pertraktowałem z miłą, dzielną Zoo, która ani słowem nie wydała się, że jest «cichociemną» — spadochroniarską koleżanką po fachu. Ustalono wreszcie, że ruszę wprost na Zachód przez Niemcy i Francję na «lewe» papiery inżyniera spęca niemieckiego od nowych, tajnych broni rakietowych.

Czas mój upływał przeważnie na licznych odprawach u po-

szczególnych dyrektorów departamentów Delegatury i zespołów kierowniczych głównych stronnictw politycznych. Pierwsi przekazywali sprawozdania ze swych prac dla Rządu Londyńskiego, oraz szereg postulatów pod adresem administracji emigracyjnej. Drudzy, podobnie jak to miało miejsce przed rokiem w Londynie, powierzali mi różne oceny i dezyderaty natury politycznej. Konferowałem z socjalistami, ludowcami, chadekami, narodowcami, demokratami i szeregiem mniejszych grup. Odbyłem też sporo rozmów z ekspertami wojskowymi, od których zabrać miałem obszerną pocztę dla Wodza Naczelnego.

Po generalnej, czterogodzinnej odprawie u Delegata Rządu — Wicepremiera na Kraj, zrozumiałem, że główne moje zadanie to wydobyć od Rządu dokładnych i zdecydowanych instrukcji dla Kraju, dotyczących stosunku do wkraczających już we wschodnie rubieże Rzeczypospolitej wojsk sowieckich. Wiązało się to z właściwą oceną Konferencji Teherańskiej, której dotąd (druga połowa stycznia 1944 r.) poza ogólnikowym, optymistycznym przemówieniem Mikołajczyka, nie przekazano do Kraju. Ponadto Delegat polecił mi dotożyć wszelkich starań, aby Rząd Polski docenił groźbę masowych represji niemieckich, trwających od października. Chodziło o spowodowanie interwencji Aliantów Zachodnich, czy też szeroko pomyślanej akcji represyjnej dla powstrzymania wzmagającego się terroru niemieckiego. Wicepremier skarżył się bardzo na działalność londyńskiego Ministerstwa Informacji, które nie dbało o utrzymanie czynników krajowych w należytej świadomości co do ogólnej sytuacji międzynarodowej i wytycznych naszej polityki. To samo dotyczyło Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, któremu zarzucał, podobnie jak i inni przywódcy Polski Podziemnej, kłópską łączność z Krajem. Szczególnie dotkliwie odczuł samowolę placówki budapeszteńskiej, która wstrzymywała wysłanników krajowych. Charakterystyczne dla jedności ocen krajowych było to, że warszawskie, centralne władze «Trójkąta» (PSL) też nie szczędziły słów krytyki pod adresem resortów w Londynie, prowadzonych wcześniej przez ludowców. Na zakończenie odprawy Delegat, który tak wiele dokonał w ciągu roku, od kiedy rozmawiałem z nim po raz pierwszy, zwrócił się do mnie w sposób na pół żartobliwy:

— Widział nas Pan tu przy pracy, był Pan razem z nami, niech Pan tam w Londynie nikomu za nisko się nie kłania, lecz twardo wojuje o spełnienie każdego z naszych postulatów.

Z najwyższym szacunkiem uściśniętem jego kościstą prawicę.

Z moich rozmów politycznych wynikało jasno, że żadne ugrupowanie nie bierze w rachubę ustępstw terytorialnych na Wschodzie. Sprawę całości Rzeczypospolitej traktuje się wśród działaczy Podziemia jako rzecz niepodlegającą dyskusji.

Nasilenie terroru nie ulegało zmniejszeniu, ciągle łapanki, nagłe aresztowania, nowe fale egzekucji gębiły miasto niemiennie. Łączniacze, niezrównanej Basi, poleciłem kolekcjonować zerwane pokrywom plakaty-obwieszczenia, aby po sfo-

tożsamość ich przewieźć na Zachód naoczny dowód niemieckich okrucieństw. Baliśmy się w Warszawie, by nie powtórzyła się w stosunku do nas tragiczna historia likwidacji milionów istnień żydowskich, w którą wolny świat uwierzyć miał dopiero grubo po niewczasie, za późno — aby móc chociaż w części zapobiec nieszczęściu. Basi poleceń takich nie trzeba było dwa razy powtarzać. Dziewczyna ta nie umiała, mimo moich przestróg, poruszać się w służbie inaczej jak pełnym biegiem.

Zbliżał się dzień wyprawy. Przykro było rozstawać się z ludźmi, z którymi łączyło mnie teraz więcej niż sympatia, czy koleżeństwo. Łączyło mnie braterstwo walki i wspólnota dalekich celów. Łączyła przede wszystkim owa jedyna w swoim rodzaju, nieopisana atmosfera podziemnej Warszawy, gotującej się do ostatecznego skoku w rozgrywece o swoje prawo do wolności.

Mój stary ojciec sporządził wspianą skrytkę, w której zmieściło się nieoczekiwanie wiele materiału. Całość pocztę delegackiej (z centrali i departamentów), oraz odbitki Basinych plakatów załadowaliśmy do używanej, zaczerpniętej szczotki do obuwia. Dla niepoznaki wziąłem ze sobą także dwie inne szczotki. Materiał socjalistów, wręczony mi przez sympatycznego brodacza Marcina, zapakowany był bardzo przemysłnie. Mikrofilm, zawierający list do Komitetu Zagranicznego PPS i obszerny list Kierownictwa Ruchu Mas Pracujących WRN do Labour Party — na ręce Wicepremiera Attlee podklejono pod etykietę na ampułce z lekarstwem przeciwgrypowym. Materiał wojskowy od gen. Bora i BIP-u przewieźć miałem w wiśniowej cygarnicze. Musiałem więc nauczyć się palić i chociażby trochę pożółcić nikotyną palce.

Wreszcie zawieziano mnie ostatecznie do Zoo. Data mi konkretne instrukcje i papiery na drogę, ponadto zapoznała mnie z Janem, który czuwać miał nad przeprawą i przekazać komu należy w Paryżu. We Francji, według pierwotnego planu, z tajnego lotniska tzw. «windą» dostać się miałem w ciągu dwóch godzin do Londynu. Spotkałem u Zoo znanego mi dobrze z czasów kursu spadochronowego z Ringway'u skoczek Stacha Zaborowskiego, który niedługo potem zginął w czasie swych funkcji kurierskich do Szwajcarii. Wesoły był wówczas i zawiadlał jak zawsze, zdziwił się mocno spotkawszy mnie w «Zagrodzie». Zoo, zakończywszy oficjalności, ucałowała mnie serdecznie, po koleżeńsku, na pożegnanie.

Należało się śpieszyć. Pozostało mi zaledwie 3 godziny czasu. Nie uważałem nigdy rikszy za przyzwoity środek lokomocji, zbyt żywo przypominał niewolnictwo. Ale od tej chwili trzeba się wyżyć wszelkich skrupułów. Mam przed sobą jasny i oczywisty cel — dotrzeć za wszelką cenę jak najszybciej do Londynu. — Takie było życzenie moich mocodawców. Pokładają we mnie sporo wiary. Nie wolno jej zawieść.

W domu przy Słupeckiej 4, u siostry stryjecznej, czekała

mnie miła Maria Szara z ostatnimi poleceniami Delegata i wspianymi renetami na drogę oraz pocziwa, dzielna, mała Basia z ostatnim komunikatem radiowym A. R. Zrobiło mi się z lekka niewyraźnie, gdy przeczytałem o ogromnych nalotach nocnych na Berlin, — miałem tam być za 12 godzin.

Byłem jednak dobrej myśli, wiedziałem, że idą za mną najlepsze życzenia i modlitwy wielu bliskich, przeznaczonych ludzi. Ten ostatni rok był szczególnie płodny w mocne, głębokie węzły przyjaźni. Ojciec i stryjeczne rodzeństwo stokroć bardziej byli całą wyprawą przejęci ode mnie. Minęła już godzina policyjna, przed którą od roku starałem się być co wieczór w domu. Sprawdziłem raz jeszcze czy wszystkie rzeczy w porządku. Polskie dokumenty na Jerzego Gordzewicza poszły pod klawiaturę pianina, gdzie spoczywał również Stanisław Adameczuk. Na wszelki wypadek, gdyby trzeba się było uciec do Łapówki, zaopatrzyłem się w wartościową srebrną papierosnicę. Do wewnętrznej kieszeni włożyłem wszystkie dokumenty, stwierdzające zarówno to, że inż. Johann Schultz jest Volksdeutschem z Estonii, jak i to, że w niezmiernie ważnych celach służbowych, wagi wojskowej, udaje się ze stacji doświadczalnej na Litwie po odbiór pewnych precyzyjnych przyrządów pomiarowych do fabryki Levalois pod Paryżem. Żegnając się z ojcem miałem niejasne przecucie, że widzę go po raz ostatni (zginął po powstaniu warszawskim w obozie koncentracyjnym).

Wybiegłem szybko na ulicę. Na placu Narutowicza było już pusto. Pewnym, ale nie bardzo swoim głosem zawołałem po Niemiec: «Droschke!»

Przyjechał jakiś wystraszony «sałata».

— *Hauptbahnhof*, ryknąłem.

Dziwnie to było jechać Grójecką i Alejami, kiedy żaden uczciwy Polak nie kręcił się już po ulicy. — Na dworcu wiedziałem, że należy zachowywać się z tupetem. Ponczono mnie, jak uniknąć kontroli przy wejściu na peron, gdzie z łatwością mógł się przytrafić jakiś dobrze z twarzami warszawskimi obeznany szpicel. Wszedłem na peron otwocki, a później wewnętrznym przejściem na berliński. Przechadzało się tam sporo wyższych wojskowych niemieckich, nie brakło i gestapowców. Od czasu dzielenia przedziału w sleepingu Kraków—Warszawa z dwoma oficerami Gestapo, nie bardzo się takim towarzystwem przejmowałem w podróży. Ku mojej radości ujrzałem też i Jana, który z całą warszawską chucpą i spokojem roztrzącał Niemców, spacerując z jednego końca platformy na drugi. Ani jeden muskuł twarzy nie drgnął mu, kiedy przechodził koło mnie. Za trzecim razem zapytał o dokładną godzinę niemiecką, załatwiając nieco rodzimym akcentem z Woli. Wsiadłem dopiero do drugiego pociągu. Był to zapchany do ostatnich granic Franturlauber. Musiałem nakrzyczeć na konduktorkę, która mnie — cywila — nie chciała wpuścić między szlachetnych obrońców Vaterlandu.

— *«Ich bin ja doch der Wehrmachtsangehörige»* — wrzeszczałem z głębokim oburzeniem. Poskutkowało, — jak zwykle z Niemcami. Za chwilę cisnąłem się w przetłoczonym korytarzu. Nie powiem, aby powietrze było najlepsze. Wyziewy spoconego, skotłowanego podróżą i wojną wojska. Nie zwrócono na mnie uwagi w pierwszym momencie. Ruszyliśmy, pozostawiając za sobą przyćmione światła warszawskiego dworca.

Wiedziałem, że nie będą patrzeć na cywila ze szczególną sympatią. Robiłem tym razem minę nieszczęsnej ofiermy, wkułilem się w jakiś kąt pomiędzy karabinami i ustępem. Światła były pogaszone, pragnąłem pozostać jak najdłużej niezauważony, nie wadzić nikomu. Wojsko było sennie i wyraźnie znużone. Po jakimś czasie zabłysła latarka. Oficer służbowy z blaszanym półksiężycem na piersi przebiegał się przez korytarze. Złym okiem tyknął na moją nieszczęsną, niewojсковą osobę.

— *Was suchen Sie hier im Fronturlauber?*

Spokojnie wyrecytowałem wyuczoną legendę. Nie robiłem wrażenia asa wywiadu, czy też groźnego sabotażysty. Przydała mi się znajomość psychiki zawodowych wojskowych. Starałem się być matym, nieważnym, pogardy godnym człeczyną, pewnym skądinąd swej niewinności i słuszności sprawy. Spojrzał na mnie z nieopisaną pogardą i łaskawie przyzwolił podróżować między wojskiem. Nie omieszkiał przy tej okazji wypowiedzieć paru niemiłych słów pod adresem tych *«verfluchte Wehrmachtsangehörigen»*. Mieli jednak widocznie rozkaz przewożenia pewnej kategorii pasażerów cywilnych. Kochana Zoo dobrze wiedziała co czyni, biorąc odpowiedzialność za przerzut tą drogą. — Prosto bestii w paszczę.

Poczułem się nieco pewniej, postronki nerwów rozluźniły się odrobinę. Zgiąwszy się w paragraf, potrącani raz po raz pod tym cuchnącym kłozetem, usiłowałem drzeć, po to także, by nie myśleć, bo w głowie huczało od tysiąca różnorakich spraw. Chciałem zasnąć, by uniknąć rozmowy z żołnierzami. Równomierny stukot kół i przesłat ukolysał jednako do snu urlopowiczów z Wehrmachtu i tajnego wysłannika z Warszawy.

— *Alarm, Alarm — Zug im Gefahr!* — ryczał nad nami podoficer służbowy. Zaspiane Fryce chwytaly za broń maszynową, granaty i zwyczajne gwery. Jechaliśmy przez Kampinos, zbliżając się do Kutna. Zrobiło mi się gorąco. Dopiero onegdaj Tadziumio-Lawa opowiadał mi cuda o wysadzeniu na tymże odcinku expressu Warszawa—Berlin. Z przejęciem wspominał jęki i kwiki rannych i zabijanych. Niemczyńska czuwała wystraszone przy oknach, migały zaśnięte wierzchołki mazurskich sosn. Wtuliłem się jeszcze głębiej do swego kąta, chyląc głowę za szerokie bary jakiegoś kaprała.

— Br! Dostać od swoich, tu między szwabskim wojskiem, marny byłby to epilog mojej cichociemnej służby.

Z urywanej wymiany zdań zrozumiałem, że od czasu powtarzających się co nocy ze strony oddziałów A. K. napadów na transporty, zmęczone frontem wojsko niemieckie podrywane

jest na tym odcinku, jak i na wielu innych, do czujności i obronnego pogotowia. Kłęli na potęgę, jak najordynarniejsi niemieccy szewcy.

Mineliśmy szczęśliwie graniczne Kutno. Znalazłem sobie nieco wygodniejsze miejsce w pośrodku korytarza przy oknie. Obudziłem się dopiero na skutek jakiegoś zgielku dworcowego. Był to przeraźliwie zniemczony w zewnętrznym wyglądzie Polak. Uwierzyć trudno, że ten sam dworzec tętniał przed kilku laty hucznym polskim życiem. — Nie czas to był jednak na roztkliwiania patriotyczne. Byłe jechać dalej, byle jak najprędzej. Zagadał do mnie jakiś dzielny wojak z Kriegsmarine, nie rozumiałem połowy, — rozziewałem się szeroko, przymknąłem oczy i usnąłem z natłoku wrażeń.

Wstawał już szary, zimowy dzień, na moim ramieniu ruszał się miarowym oddechem olbrzymi, rudy łeb owego marynarza z Lubeki.. Dojeżdżaliśmy do Berlina. Tłumy robotników, urzędników i gospodyń wyczekiwały na podmiejskich dworcach na komunikację do Berlina.

Nocowanie w huśtanym przez Anglików od zmroku do świtu mieście nie należało do rzeczy bezpiecznych. Tysiące berlińczyków wracało ranem do pracy. Mijałymi brzydkie, jednolite przedmieścia. Zarliwie wyglądałem dowodów zniszczenia. Od Köpenick widać było coraz więcej śladów podwójnych nocnych i dziennych masażów lotnictwa anglo-amerykańskiego. Przymiotnik *«Verflucht»* powtarzał się coraz częściej w moim otoczeniu. I tej nocy musiał Berlin zdrowo dostać, tumany pyłu unosili się znad rumowisk. Język niemiecki posiada świetne, lapidarne określenie tego stanu duszy, który był wówczas moim wyłączeniem, w tym wagonie, udziałem — *Schadenfreude*, tylko, że w tym właśnie wypadku nie mogłem się pochwalić znajomością niemieczyny. Pociąg wtoczył się na halę Dworca Śląskiego. Pierwszy etap wyprawy dobiegł szczęśliwie końca.

Zmieszalem się z tłumem przyjezdnych, przy wejściu czekał niezawodny, uśmiechnięty jakby nigdy nie Jan. Zagadał po niemiecku. Wyszliśmy razem. Znał tu każdy zakamarek. Stwierdził od razu, że nasz paryski pociąg odchodzi z tego samego dworca. Zostawiliśmy więc bagaże, po czym Jan z pobliskiej poczty nadał, via Wiedeń, umówiony telegram — *«Truda przybyła w porządku»*.

Mieliśmy cztery godziny czasu na przyjrzenie się miastu. Okolice Dworca Śląskiego były mocno zbombardowane, wszystkie domy bez szyb, wystawy podobnie jak w czasie blitzu w Londynie zaopatrzone w harde ogłoszenia *«Geschäft wie immer»*. Nie wiele można było się co prawda na nich poza tymi tabliczkami dopatrzeć. Herrenvolk berliński wydał mi się po wymęczonej Warszawie szary i ziemisty. Zima 1944 r. a tu — zamiast przepowiadanego przez Führera i Goebbelsa zwycięstwa — latające fortece w dzień, a Anglicy w nocy, no a na Wschodzie walczące armie również biorą zdrowo w skórę.

Przy zwalach gruzów na Alexander Platz ujrzeliśmy oliw-

kową plamę włoskich mundurów. Od kiedy pękła oś Berlin—Rzym, niedawnych przyjaciół i pomagierów pognano wręcz do uprzątnięcia zniszczeń, kamieni i złomu. Zabawny to widok patrzeć jak dwóch czy trzech berlińskich żandarmów popędza gromadkę makaroniarzy, pod dowództwem kilku oficerów. Fortuna kołem się toczy, zbliża się czas i na żandarmów.

Przy świeżych zgłiszczach Gieddy wsiedliśmy w kolejkę śródmiejską. Kupiłem gazetę. Jan usiadł o parę ławek dalej. Przeglądaliśmy się sobie nawzajem. Chociaż poczęstował mnie później wątpliwym komplimentem, że wyglądam jak typowy, zażywny, berliński mieszczuch, nie mogłem mu się niczym podobnym zrewanżować. W czarnym palcie i wytwornym, granatowym kapeluszu, okragły, smagły Jan wyglądał jak sto Żydów. Czuł się za to i ruszał po Niemczech jakby był Gauleiterem albo raczej szefem kolejnictwa. Bezczelna warszawska szelma. Taki to wszędzie wliwie, chociaż między Bogiem a prawdą, to z tym niemieckim wcale nie był za mocny. Niezależnie od raportów, meldunków, dokumentów i papierów woził z Paryża jedwabne pończoszki i wykwentne perfumy, tamto z zamilowania, to profesjonalnie.

Nie wsiedliśmy i tym razem do jednego wagonu. W pociągu było przestronnie. Znalazłem sobie wygodne miejsce przy oknie — z jednej przynajmniej strony nie będę miał gadatliwego sąsiada, dopytującego się o tysiąc drażliwych spraw. Cóż kiedy za to moje vis à vis, starszy strzelec SS, zainicjował przyjazną pogawędkę. Zrobiłem najwidoczniej korzystne wrażenie, bo z miejsca poczęstował mnie czekoladą.

Jadąc średnicową linią berlińską, mogliśmy dobrze przyjrzeć się miastu i ocenić ogrom zniszczenia. Musiałem przyłączyć się do powszechnego utyskiwania i okrzyków pod adresem tego *Schweine Churchilla* i tego Żyda Roosevelta, nie znających litości i miary w stosunku do tak przepięknego i spokojnego miasta, jakim jest Berlin. Niemcy rozklejali się coraz bardziej, stawali się obrzydliwie *gemütlich*, rozpiływając się nad swymi rodzinami. Zaczęło się nieuniknione pokazywanie fotografii, i rozklamywanie na temat pogarszającej się sytuacji żywnościowej. Czułem, że bomby, brak żarcia i tęsknota za domem to najistotniejsze elementy znużenia wojny.

Oficer inspekcyjny, — jakiś młody, arogancki bubek, postanowił przenieść mnie do specjalnego przedziału dla cywilnych komiwojażerów. Posłusznie przeniosłem się ze swymi łachami. Nie bardzo mi się to podobało, toteż gdy tylko zauważyłem, że wysiadł na pierwszej większej stacji, przeniosłem się z powrotem. Z dwójga złego lepiej się czuję wśród żołnierzy. Łatwiej było ich rozumieć, mniej czekało z tej strony niespodzianek. Powitali mnie serdecznie jak starego druha z okopów. Gadalili właśnie o domu. Zwrócili uwagę na mój dość specyficzny niemiecki.

— Oczywiście, jestem *Baltendeutschem*, łąłem jak najęty. Od razu poznali. Jakiś starszy sierżant zainteresował się «mo-

imi stronami». Był tam kiedyś przed wojną.

— Tyle mam przykrych wspomnień, związanych z rodzinnymi stronami, że wolę tematów tych nie poruszać.

Zrozumieli i ze współczuciem spojrzeli na moją falującą wzruszeniem pierś. Zaczęli mnie jednak zapytywać o cel podróży. Zrobiłem chytrą minę *«Neue Waffen, — Ingenieur»* po czym spojrziałem niedwuznacznie na wiszącą naprzeciw tablicę: *«Feind hört mit»*.

Byli niezwykle zaszczyceni moją kompanią.

O tak, nowa broń, na razie ciężko na Wschodzie i niewesoło w miastach Reichu, ale Führer wie co mówi, gdy obiecuje, że nowa broń, przygotowywana przez takich jak ja właśnie genialnych techników niemieckich, zmieni koleje wojny i przyniesie zwycięstwo III Rzeszy. Po prawdzie, jako prawnik i ekonomista, nie miałem poza artylerią zielonego pojęcia o sprawach technicznych, robiłem więc mądre miny i podtrzymywałem gasnącą wiarę w szamańskie horoskopy Hitlera. Nikt już teraz nie «hajhitlował» wchodząc do przedziału, — wyszło z mody.

Korciła mnie cholernie wspaniała krakowska kielbasa, zwinięta ponętnie w walizce i inne warszawskie specjały, — wołałem się jednak z nimi nie zdradzać, aby nowych nie wzbudzić wątpliwości. Jak Niemcy długie i szerokie, takiej kielbasy nikt tu nie kupi. Wyczekałem więc, aby towarzystwo udało się do wagonu-kuchni na *Eintopfgericht*. Oświadczyłem służbowemu, że nie pójdę, bo głowa mnie boli. Nie mijałem się z prawdą, huczało mi we łbie dotkliwa migrena. Konspiracja konspiracją, ale moja lwowsko-angielska niemczyzna to prawdziwe męki Tantala. Niemniej jednak, korzystając z samotności, zażerałem się na zapas. Do szwabskiej zupki brukwianej nie czułem powołania.

Jechało się właściwie gładko. Zbudzili nas dopiero na ostrą kontrolę dokumentów w granicznej Herbestelle, po przejechaniu mocno zmagłowanej Ruhry. Moja niewinna mina i nordycki wygląd nie starczyły tym razem na wzbudzenie zaufania. Po układałem sobie jeszcze w Warszawie przesłannicze wszystkie papierki od najmniej mocnego począwszy. Świecił bestia łarką prosto w oczy. Sam dziwił się, skąd znalazłem w sobie tyle flegmy. Powolutku z nonszalancją podawałem dokument za dokumentem. Miałem ich sześć. Przy czwartym kontrolujący oficer graniczny ściągnął kopyta aż miło, zasalutował i złożył mi życzenie dobrej nocy. Zapytałem niedbale czy te dranie angielskie znowu bombardują tej nocy. «Polecieli w stronę Essena» — zakomunikował mi pełen bólu. Raz jeszcze z gestem pewności siebie machnąłem mu tymi tajnymi papierami odnosnie *Neue Waffen*.

— Już my tam sobie z nimi poradzimy — *und London werden wir den Hitlerplatz nennen*.

Obudzoną współtowarzyszom podróży podałem papierosy, którymi od czasu do czasu musiałem się sam krztusić, — coś

to za świństwo — gwoździ upozorowania dużych rozmiarów fiki z wiśniowego drzewa, w której wiozłem wszędy całej Europy pocztę Komendanta Armii Krajowej. Ampulka z antygrypowymi pigułkami leżała najspokojniej w prawej kieszeni marynarki, obklejona dokumentnie pocztą P.P.S. do Londynu. Teraz po przejściu najważniejszej kontroli, poważnie wzrosły szanse wręczenia Olementowi Attlee listu do Labour Party, nad którego angielszczyzną namordowaliśmy się tyle z przystojną panną Marysią. — A co do szczotki z olbrzymią pocztą delegatury, toć przecie już ubiegłego ranka pucowali nią buty, aż miło, moljcy z SS.

O świecie mijaliśmy zakopcone Liège, zrobiło mi się nieco lżej na duszy, wszak byłem już na życzliwej ziemi belgijskiej. Zainteresował mnie żywo widok tego ciekawego, nieznanego mi dotąd kraju. Odezwała się rodzinna żyłka turystyczna. Piękne skałki wapienne w dolinie Mozy, czyste miasteczka, urocze uskoki starych Ardenów — mój Boże, jakie by to było pojętne, gdyby nie szkopskie typy w przedziale.

Czułem się niemal jak na wycieczce, przeszkadzała jedynie czujna świadomość, że ani na chwilę nie wolno mi wyjść z roli niemieckiego inżyniera, pracującego dla wojennego przemysłu.

Koło Namur pobudzili się na dobre moi sąsiedzi. Jechali do północnej Francji, wracając z urlopu do macierzystych jednostek, strzegących wybrzeża kanału La Manche. Były to przeważnie młode chłopaki nie wiele rezonujące na temat polityki i strategii. Muszę przyznać, że zachowywali się raczej sympatycznie i koleżeńsko. Aż trudno pojąć, w jaki sposób ci sami ludzie potrafili być zdolni do takiego okrucieństwa i fanatyzmu, jaki przejawiali w ciągu ostatniego roku w Polsce! Na ekran wyobraźni wracały różne przeżyte w Warszawie chwile: Szczególnie silnie utkwiała mi scena rozstrzeliwań u zbiegu Puławskiej i Rakowieckiej, a zwłaszcza widok zarumienionych od podniecenia, roześmianych szczeniaków z SS, wracających grupkami z miejsca egzekucji 100 naszych ludzi, wśród których miałem dwóch bliskich znajomych z konspiracji.

Malowniczą doliną Sambry dojechaliśmy do Charleroi, gdzie wysiadła część żołnierzy.

Serce polskie zawsze żywiej bije przy przekraczaniu francuskiej granicy. Lat temu cztery tu zaczynała się dla nas swoboda. W małej, alpejskiej Modanie poczułem się wówczas znowu wolnym człowiekiem, na dworcu witał nas pierwszy polski żołnierz. Był nim późniejszy skoczek do Polski, inż. Janusz Jarosz, trzymany teraz w jakimś niemieckim więzieniu po wpadce w Warszawę.

Mile są oku polskiego włożęgi pogodne kafejki z nieproporcjonalnie wielkimi ogłoszeniami wonnych aperitifów. Irytująco wyglądają na tle romańskiej lekkości wysmukłych wież i starych wiosek ruchome, wszawie plamy Feldgrau.

W St. Quentin opuściła przedział reszta towarzystwa. Z trudem hamowałem wzbierającą radość. Potrząsał mocno moją

dłonią. Jeszcze z peronu kiwali przyjaźnie, otworzyłem okno, nie mogłem się oprzeć pokusie: — «Sieg Heil!» — huknąłem, co sił w piersiach, w momencie kiedy pociąg ruszał zdecydowanie w stronę Paryża. Na długo pozostaną mi w pamięci wzniesione w hitlerowskim pozdrowieniu ręce tych bęćwałów.

Nareszcie zostałem sam i mogłem wrócić do swego prawdziwego ja. Odetchnąłem, w błogiej nadziei, że już do Paryża nie będę musiał myśleć, mówić, ruszać się, spać i oddychać jako Schultz. Rozprężyłem się nerwowo, no i z jeszcze większym zainteresowaniem zacząłem śledzić krajobraz Północno-Zachodniej Francji. Byłoby rozkosznie, gdyby nie znowu jakiś antypatyczny kapral z Luftwaffe, który wsiadł do mojego przedziału w Compiègne.

Zachciało mu się politycznej dysputy. Nic nie pomogły moje szerokie ziewania i maskowana skłonność do poobiedniej drzemki. Musiał się dowiedzieć co myślę o końcu wojny. I znowu raz jeszcze *ab ovo* ta sama bajeczka o Estonii, *Neue Waffen* i tajemnicy wojskowej. A co do końca wojny — to ty się bracie, nie obawiaj, Führera to sprawa, nie twoja i nie moja. Jego zadanie politykę robić i wojnę prowadzić, a naszą *Maul halten, ruhig sitzen und ja doch den verfluchten Russen, Amerikanern und Engländer bekämpfen* — dowodziłem z rosnącą pasją.

Zapytał, jak długo należą do Partii — odpierem z protekcyjną ironią: — dawniej niż ty bracie, do Göringa narokował.

Kapral wyraźnie pochodził z późnego zaciągu, liczył już ponad czterdzieści lat i nie podzielał mego optymizmu.

— Führer Führerem, ale Wehrmachtu za mało by Rosję pokonać. Gdyby tak więcej wojska było, to by się bolszewików hen za Ural przegoniło. A tu końca wojny nie widać, a dzieciśka w domu czekają, już drugi raz *Weihnacht* przyszło z dala od rodziny spędzać. Coraz starszych biorą, nie może ten twój Führer poradzić sobie, bo już dzieciuchami i starcami zaczyna *Vaterlandu* bronić. — Nie groziło mi nic ze strony tego pocciwca, niemniej jednak ulżyło mi, kiedy wjechaliśmy w północne, robotnicze przedmieścia Paryża.

Przy wyjściu, na peronie czekał Jan. Okazało się, że właśnie tym razem dobrano mu się do skóry w owym granicznym Herbestelle. Zabrali dokumenty do sprawdzenia, mieli duże wątpliwości, ponieważ podejrzewali go jednak, nie bez pewnej słuszności, o szmugiel, więc wystarczyły przedstawione *Ausweis*y. Tym bardziej ucieszyliśmy się, że szczęśliwie się wszystko skończyło.

Z Gare du Nord ruszyliśmy na Place de l'Opéra. Okupowany Paryż ani w połowie nie przypominał grozy Warszawy. Co prawda dużo kręciło się niemieckich mundurów, ale miasto czyniło wrażenie raczej beztroskie, ludzie poruszali się bez tego nerwowego pośpiechu jak w Polsce. Nie groziły w tym stopniu ponure tapanki i publiczne egzekucje. Gestapo i policja zachowywała dla pozorów rękawiczki zachodnio-europejskie. Zależało Niemcom, by ich tu nie uważano za chamów i okrutników. To

też już pierwsze zetknięcie się z paryską ulicą było nielada ulgą po ostatnich perypetiach.

Jan polecił mi czekać w Café de la Paix, a sam jako «lojalny» *Reichsdeutscher* poszedł się zameldować do Komendantury i wyklócić o przydział przyzwoitego hotelu z łazienką.

Była niedziela, więc nie mieliśmy nadziei znalezienia kogośkolwiek z naszych ludzi na lokalach kontaktowych.

Jakieś mocno podstarzałe wydry uśmiechały się do mnie i nie tylko do mnie, niedwuznacznie, przeszkadzając w konsumpcji niemniej obrzydliwego piwka. Po chwili wrócił wesół jak szczygiel Jan. Ruszał się jakby cały Paryż do niego tylko należał. Udaliśmy się na kwatery, do komfortowego Hotelu Louvain, gdzie postanowił mnie przenocować «na lewo». Obszerne, podwójne łóżce, wyśmienita łazienka, no i przewieziona przez Rzeszę kielbasa dobrze nas usposobiły do «*La ville lumière*». — Na kolację udaliśmy się do pierwszorzędnej knajpy hiszpańskiej na Montmartre. Wyciągnąłem z «przepisowego» mydła do golenia parę dolarowych banknotów do zmiany.

W progu powitał serdecznie Jana przystojny, wyfraczony kelner. Widać orientował się co nieco w roli i podróżach mego towarzysza, bo z punktu nas zapytał o stosunki w Warszawie. Dostaliśmy pyszną kolację (nie ma jak kuchnia francuska) z burgundem. Jakaś ognista tancerka hiszpańska przyspiewywała nam w rytm kastanietów i południowej muzyki.

Byłoby niemal rozkosznie, gdyby nie pewien podchmielony, spasiony oficer niemiecki, który podochocony winem, muzyką i widokiem szykownych kobiet, wymachiwał przy sąsiednim stoliku ogromnym rewolwerem. — W pewnym momencie spojrzął na zegarek i ryknął na cały regulator. *Rraus! 9 Uhr — Polizeistunde, verfluchte Polaken.*

Powstało przykre zamieszanie. Francuzi poczęli się kręcić nerwowo przy stolikach. A ten pijany bydlak wrzeszczał jak nąjęty: — «Wystrzelam was jak psów, marsz do domów, *schlafen!*» — wyraźnie chciał zostać sam z przerażoną tancerką, na którą spoziierał oblesnym okiem.

Przypomniałem sobie wówczas, że był to jeden z Niemców, wędzianych dwa dni temu na warszawskim dworcu, zapomniał, że to nie Polska.

Przybiegł do nas mocno wystraszony Antonio, poradziłem mu, by zadzwonił czym prędzej na policję niemiecką i zawiadomił, że awanturuje się tu niebezpiecznie jakiś spity oficer z Warszawy.

Za parę minut przyjechali motocykliści. Wyprosiłi tego wrzaskliwego durnia, ale i nam odechciało się zabawy. Wróciliśmy do hotelu, mimo, że w Paryżu godzina policyjna zaczynała się dopiero o 23,30, a nam jako «Niemcom» wolno było używać Paryża przez całą noc.

Rano odszukaliśmy w *Quartier Latin* Andrzeja, zastępcę szefa placówki «szóstki».

Wynałazł mi za pośrednictwem niejakiego Monsieur Robin

pierwszorzędną kwatery. U pp. Lecomte mieszkało się uroczo. Za oknami, na tle Luwru, płynęła sobie Sekwana, na horyzoncie białe kopuły *Sacré Cœur*. Umówiliśmy się, że «la Francuzów» będę uchodził za Anglika, uciekającego z niewoli tajnymi drogami, z powrotem na wyspę. Pobyt mój trwać miał zresztą wszystkiego kilka dni. Zakazano mi wydalać się samemu na miasto, i to zarówno ze względu na bezpieczeństwo gospodarzy jak i rosnący ostatnio niepokój i rewizje w Paryżu. Po paru dniach przyszedł odwiedzić mnie paryski szef placówki «szóstki», Antoni, — śp. rtm. Skarbek, sam skoczek, niedawno szczęśliwie wydobyty z obozu. Korzystając z pięknej pogody, zabrał mnie na dłuższą pogawędkę na tematy krajowe do Tuilleries. Zdradzał duże zainteresowanie i prawdziwe zrozumienie sytuacji w Polsce. Obiecywał uczynić wszystko dla przyspieszenia przerzutu do Londynu.

Gospodarze moi, przeznaczeni ludzie, bardzo byli przejęci swą rolą. Za punkt honoru uważali sobie dobrze mnie napoić i nakarmić. Toteż spijałem co najmniej pół litra wina do każdego posiłku. Chcieli mi koniecznie zaimponować znajomością kuchni angielskiej. Dwa razy dziennie musiałem mordować się nad tzw. «*beefsteak à la Anglais*». Było to po prostu niedosmażone, surowe, ociekające krwią ścięwo. Trzeba było cierpieć w imię *Alliance Cordiale* i mojej nowej, przybranej narodowości. Spalił mnie na tych befsztykach w sposób potworny. Pobyt w Paryżu przeciągał się nieznosnie, toteż z wiotkiego młodzieńca stałem się nieprzyzwoicie grubym, starszym panem.

Czekanie dłużyło się w irytujący sposób. Wsypany się w Paryżu brytyjskie komórki przerzutu. Antoni z Andrzejem wszczęli starania o transport łodzią podwodną z wybrzeża Bretanii. Londyn nagiął depezsami o jak najszybsze przerzucenie mnie na wyspę. A tu jak na złość wszystko rwało się niemiłosiernie. Komórka angielska zapowiadała początkowo prędkie wznowienie «windy». Niecierpliwiłem się ogromnie, mając na uwadze pilność zleceń i wagę, przywiązywaną przez czynniki krajowe do mojej wyprawy. Na domiar złego zablokowała się, ze względu na lute mrozy i śnieżyce, droga lądowa przez Pireneje.

Jedyną rozrywką była literatura francuska i puszysty urwis — czarny kot *Minou*. Muszę jednak przyznać, że czytanie takiego Diderota i innych encyklopedystów mocno kolidowało z niepokojem z powodu przedłużania się wyprawy.

Każde wyjście na miasto było miłą rozrywką, rozkoszowaniem się nienaruszonym wojną, aż nierealnym, pięknym Paryżem. Wobec zamknięcia muzeów i galerii krążyłem po skwerach i uliczkach, wspominając jak czterema laty, zwiedzałem te same kąty po raz pierwszy, w mundurze polskiego oficera. Teraz krążyłem jako Alzatezyk, Monsieur Georges Hüßler (pokrywka na moje braki językowe), zwolniony z niewoli i pracujący w Le Mans. Nowe papiery sfabrykował mi sprawnie działający, doskonale wprowadzony w sieć francuskiego *Résistance*, Andrzej.

Pewnego wieczoru postanowiłem się wybrać do *Folies Bergères*. Kupiłem w przedsprzedaży bilet do drugiego rzędu. Wkrótce tego pożałowałem, ponieważ znalazłem się obok dostojnego generała artylerii niemieckiej w wieczorowych portkach z lampasami. Zebrało mu się na sympatię do mnie. Zasmiewał się z wulgarnych, specjalnie do szwabskich gustów przystosowanych skeczów. Podkręcał węża, typał zaborem wzrokiem na «boskie» kształty, przewalające się w bogatej oprawie na scenie. W przerwie zaproponował mi wspólną wyprawę na reklamowany pokaz wschodnich tańców brzucha itp. Jakies stare, rozebrane, żółte babska wdzięczyły się do mojego generała. Część jego splendoru i na mnie, rzecz prosta, spływała. Kręciłem się niespokojnie na krześle, ale nie tyle z wzruszeń choreograficznych ile na myśl co by powiedział ktoś z moich znajomych, gdyby mnie przyłapał w tak parszywym towarzystwie. — Odetchnąłem, pozbywszy się mego sąsiada, pogrążając się w mrok paryskiej ulicy.

W jednym z pobliskich domów aresztowano za gaullistowską konspirację jakiegoś drobnego sklepikarza. Panika padła na całą rue du Bac. Moi gospodarze obawiali się starej, głuchej konsierżki, która nie tyle ze złej woli, ile z głupoty mogła być zdradzić, że mieszka u nich jakiś bardzo dziwny «kuzyn».

Za wszelką cenę pragnąłem ruszać dalej. W międzyczasie Antoni zdecydował przenieść mnie na inną melinę. Z pomocą przyszedł znowu niezwykle patriotycznie podekscytowany Monsieur Robin, którego małżonka zaopatrywała Monsieur Georges «un Anglais» w przedziwnej dobroci ptysie i inne łakocie. Pan Robin wykrzykiwał natomiast na całą rue de Grenelle: «*A bas les Boches! Vive De Gaulle! Vive l'Angleterre!*». Znalazł mi doskonałe locum u miłych pp. De Corta, przy 9 rue de Grenelle. I tam znowu jak u Lecomtów natrafiłem na uczynnych, dzielnych i życzliwych ludzi. Pani, gorliwa działaczka katolicka, miała już za sobą więzienie Gestapo za okazywanie niechęci wkraczającym do Paryża boszom. Aby uczcić swą nieangielskość charakteru i akcentu, twierdziłem, że jestem Szkotem.

Przy radio przeżyłem w Paryżu największe rozczarowanie, słuchając owej nieszczęsnej mowy Churchilla, w której po raz pierwszy odkrył wyraźnie teherańskie karty w stosunku do Polski. Tak to, jako z prawdziwej krwi i kości Lwowianin, udający Szkota na aljackich papierach, słuchać musiałem pokornie haniebnego wyroku na Ziemie Wschodnie. W ciągu paru sekund przeżyłem gorycz klęski i zdrady. Jedynym i nieoczekiwanym pocieszeniem była spontaniczna reakcja moich zachętych gospodarzy, którzy wobec mnie jako przedstawiciela przewrotnego Albionu, bez ogródek stanęli po stronie «*cette pauvre, héroïque Pologne*». Wylała się ich cała zadawniona żółć przeciw Lloyd George'owi, bałamutnej polityce Londynu w okresie przedwojennym i przeciw nowemu cynizmowi w stosunku do Polski. Udałem wysoce strapionego i zgorzzonego

postępowaniem «swego» Rządu, no i rzecz oczywista, nie wdałem się w zbyt gorliwą obronę Lloyd George'a czy Churchilla, na usta cisnęło mi się pewne skondensowane, a w wojsku często nadużywane, określenie. A tu należało zachować flegmę.

Zbliżał się wreszcie termin mego wyjazdu. Antoni poprzez jakichś francuskich policjantów wpadł na drogę ewakuacji ze strzelonych nad Francją alianckich lotników. Brytyjska komórka łączności, pewnie na usilne interwencje naszego Rządu i Sztabu w Londynie, zdecydowała się ostatecznie na przerzut morską drogą (łodzią podwodną) przywiezionej przeze mnie pocztą krajowej, natomiast na mnie «nie mieli już miejsca». Nie miałem ochoty rozstawać się z pieczołowicie dotąd strzeżonymi przedmiotami, ukrywającymi furię ważnego materiału. Antoni otrzymał jednak w tej materii niedwuznaczną depezę od naszych władz londyńskich, nie było wyboru i z bólem serca przyszło mi rozstać się z najcenniejszą częścią mojej kurierskiej osobowości. Postanowiłem jednak pchać się samemu na siłę przez Hiszpanię i nie czekać więcej na żadne alianckie obiecanki-cacanki.

Z tytułu mojej brytyjskości spadł na mnie miły, ale nie łatwy obowiązek nauczania angielskiego córki gospodarzy. Wsypa wynikała z powodu najwyczajniejszej w świecie żaby. Otóż łaknąca wiedzy Ineza zapytała mnie kiedyś, w czasie wspólnej wyprawy na ciekawy film z Balzaca — *mais qu'est ce que c'est la grenouille en anglais?* — Zarumieniłem się po czubki uszów mimo, że nie zwykłem tego czynić w towarzystwie młodych kobiet. — *La grenouille, la grenouille* — powtarzałem głupawo.

— Wiesz Inezo, nie zajmowałem się nigdy szczególnie zoologią, a poza tym my, Brytyjczycy, nie bardzo jesteśmy do kształcenia.

— A mówiliś, że wy, Szkoci, o tyle górujecie nad Anglikami.

— Górnijemy jako żołnierze, sportowcy i dżentelmeni, ale nie przewyższamy ich w naukach przyrodniczych.

Nie spałem całą noc, przewracając się na wygodnym skądinąd łóżu, kłamię Andrzeja za ten pomysł z Anglikami, wściekałem się na tę przeklętą żabę. Usnąłem nad ranem wyczerpany językoznawczym poszukiwaniem i po paru godzinach obudziłem się pełen pogardy dla samego siebie. Przecież, u licha, żaba to po prostu FROG. — Inezie nie omieszkalem powiedzieć, zanim mogła zwierzyć się rodzicom ze swych wątpliwości co do mojej osoby, że zakpiłem sobie z niej wczoraj okrutnie. Przecież każde małe dziecko wie, że żaba to, wiem, nie. Smiała się uradowana, powinnam była wczoraj ci powiedzieć, znalazłam w słowniku, ubawiłam się z tego waszego specyficznego «*sens of humour*». Dopiero teraz lepiej zrozumiałam dlaczego zarykujesz się na głos, czytając książkę Mau- rois «*Discours de Dr. O'Grady*» i «*Silences du Colonel Bramble*» — mimo, że w naszym pojęciu wychodzicie w niej, do- stojni synowie Albionu, na tęgich przyglupków.

Nie mając żadnej pewności po dotychczasowych doświad-

czeniu co do skuteczności obiecanego przerzutu — odetchnąłem, kiedy, odprowadzony przez Antoniego, wsiałem do pociągu jadącego w stronę Tuluzy. Bez żalu żegnałem tym razem Paryż. Nagliło mnie by wykonać wreszcie w całości swe zadanie. Zasiadziałem się przez ten miesiąc w paryskich puchach. Cichociemny na przekór naturze ludzkiej zawsze lepiej się czuje na szlaku, niż u Pana Boga za piecem.

Stłoczonym wagonem drugiej klasy dojechałem po 12 godzinach nocnej jazdy do Tuluzy, którą z górą 4 lata temu opuszczałem po klęsce Francji wraz ze swoją baterią — w drodze do Anglii. W myśl umowy czekała mnie w bufecie dworcowym tajemnicza Marie Audille z jeszcze wytworną panią. Okazało się, że jest poważna szansa «windy». Po załatwieniu tyśiąca spraw konspiracyjnych, — oj te kobiety, — ruszyliśmy do St. Antonin.

Na moją biedną głowę spadła jeszcze jedna rzecz. Inżynierowie, lotnicy z miejscowych warsztatów przekazali dokładny plan kluczu lotnisk i fabryk w rejonie Tuluzy. Poinformowali mnie w przekonaniu, że jestem asem wywiadu brytyjskiego, o tym, jak są zorganizowani i o swych możliwościach sabotażu. Obiecałem solennie poinformować kogo należy w Londynie, wściekły na moją aż zbyt dynamiczną przewodniczkę za to, — że wbrew elementarnym zasadom dekonspiruje mnie przed każdym napotkanym bubkiem. Z drugiej jednak strony czyniła wszystko, by wywiązać się z danej mi w Paryżu obietnicy jak najszybszego przerzutu. Nabrała do mnie zaufania kiedy wymieniałem jej pewne niewinne nazwisko angielskie, jednego ze szkolących nas ongiś funkcjonariuszy. Pracowała dla Anglików. Jak się później domyśliłem, przełożonym jej był ktoś zupełnie inny od wymienionego przeze mnie dla *bluffu*, noszący jednak to same nazwisko. Zależało jej najwidoczniej na dobrej opinii wszechwładnego w jej pojęciu wywiadu brytyjskiego. Wyprawiła już z powrotem kilkudziesięciu amerykańskich i brytyjskich lotników. Wiedziała od Antoniego o mojej narodowości, z moich min nabrała jednak przekonania, że jestem w istocie wysoką szyszką *Intelligence Service*. — Późnym wieczorem dotarliśmy do zacisznej miejsciny w głębokim kenionie dużej, bystrej rzeki.

Nocowałem w pięknie zimnym hotelu. Okazało się, że nadzieje na angielski samolot spaliły znowu na panewce, a pewien angielski kapitan, przewidziany przez Marie-Audille na mego współtowarzysza, przeniesiony został na innych punkt wycieczki do Mauntoban.

Następny dzień Marie lustrowała wszystkie możliwe komórki lokalnego Ruchu Oporu. Nie wiem, ile w tym było poży a ile rzeczywistej potrzeby, stwierdzić jednak należy, że była dla tych ludzi alfa i omegą. Zaimponowała mi doskonałym rozeznanie w terenie. Dysponowała zapasami zrzutów broni. Dyrygowała pomocą dla niekomunistycznych *Maquis*. Z dużym zaciekawieniem śledziłem Francję Podziemną i z zadowoleniem,

robiąc mądre miny angielskiego ważniaka, myślałem o pokrewnej nam, mimo wszystko, duszy tego narodu.

W Mauntoban znaleźliśmy kpt. T., świetnie zadekowanego w żeńskim liceum. Był to przystojny, smagły, greckiego pochodzenia oficer wywiadu brytyjskiego, który w czasie jednej z wypraw Komandosów na Dodekanęz dostął się do niewoli i obecnie, po kilku nieudanych próbach ucieczki, wy dostał się z obozu pod Monachium. Marie nie bez racji twierdziła, że wsadziła wilka w sam środek owczarni. W rzeczywistości mieszkał jednak potulnie u dzielnej dyrektorki zakładu, której syn, młody medyk z Tuluzy, miał się nami nadal zaopiekować. Dla mnie znaleziono wygodne mieszkanie u serdecznych belgijskich uciekinierów.

Wobec zupełnego niepowodzenia planów lotniczych, zdecydowaliśmy mimo ostrej zimy maszerować pieszo przez Pireneje. — Pierwsza próba skończyła się niepowodzeniem. Mieliliśmy na dworcu w Tuluzie zostać przejęci przez hiszpańskich przewodników. W drodze z Mauntoban z łatwością rozpoznałem w dwóch przedziwnie ubranych i małowównych młodych atletach naszych przyszłych amerykańskich towarzyszy podróży. Nieśtety Ramon, pokazany nam przez tuluzzańskich medyków z *Resistance*, zdecydował, że ze względu na szalejące śnieżyce i zasy w górskich wąwozach, musimy wracać na miejsce wyczekiwania. Jak niepyśzni, z nosami na kwintę, zjawiliśmy się raz jeszcze u gościnnych przyjaciół z Mauntoban. Z nudów poznałem cały żywot i dorobek malarski Ingres'a — owej chluby tego zanego grodu.

Za drugim razem wbrew pesymizmowi kapitana, z którym zawarłem prywatną umowę, by w myśl wytycznych nie zdradzał nikomu mojej prawdziwej narodowości, ponieważ nie mogłem go nabierać jak Francuzów i Belgów, gdyż mojemu angielskiemu daleko do perfekcji — udało się dużo lepiej. — W krytycznej Tuluzie, odnaleźliśmy w pociągu drewnianych Yankeeów (bidaki ani w ząb po francusku) z przewodnikiem. Ramon trudnił się przed wojną przemylem nierogaczyny. — Obecnie lepiej płacili za ludzi. Poza tym należał do «czerwonych», podobnie jak tysiące jego rodaków, zamieszkujących południowo-zachodnią Francję.

Nie odzywając się zupełnie do siebie, dotarliśmy gładko do przeniesionego żywcem ze średniowiecza Carcassonne. Tam, podpatrując ruchy Ramona, przesiedliśmy się na jakiś przedziwny pojazd, — coś pośredniego pomiędzy autobusem a drezyną, aby małowowniczą doliną Aude windować się w kierunku hiszpańskiej granicy do końcowej stacji — zamkniętego w kotłowni górskiej Quillan. Nie obeszło się bez przeszkód. Gdzieś za Limoux popsuł się drugi wagon, tak że wszyscy pasażerowie musieli włączyć się do pierwszego autobusu, powsiadaliśmy na dach, bo wewnątrz panował okropny zaduch — nie było miejsca. Ponieważ nasi Amerykanie milczeli jak zakłóci uśmiechając się nieobowiązujuco do towarzyszek jazdy, musieliśmy z

doskonale po francusku mówiącym kapitanem mówić za czterech i pilnować, byśmy się nie znaleźli w kłopotliwej sytuacji. Ramon zachowywał się tak jakby nie absolutnie nie miał z nami wspólnego. Przygrzewało zimowe słońce, ukazując coraz piękniejszą panoramę. Dziękowałem Opatrzności, że znam język francuski. Tu na południu mogłem śmiało uchodzić za Paryżanina, wobec lokalnej gwary — mieszkanki baskijskiego z francuskim i hiszpańskim, mój akcent i słownik uchodzić mógł za szczyt elegancji.

Do Quillan dotarliśmy z dwugodzinnym opóźnieniem wskutek kilku defektów. W stacyjnej restauracji zjedliśmy ostatni posiłek i ku naszej rozpaczce dowiedzieliśmy się, że wobec obsunięcia się jakiejś ściany wawozu i wielkiego błota, nie chodzą dalej żadne autobusy i trzeba drałować na piechotę. Ramon po raz pierwszy do nas zagadał. Pocieszył, że niedaleko przyjdzie maszerować i że droga równa jak stół. Ruszył przodem, my zaś parami, co 200 metrów. Słońce chyliło się już ku szczytom. Wzięliśmy z punktu ostre tempo. Na plecy założyłem, specjalnie w tym celu za ciężkie 5.000 frs. nabytą, obszerną skórzaną tekę. (Trudno by było tarabanić się w Pirenejach z warszawską walizką.) W marszu poznałem kolejno obu Amerykanów. Byli to niezwykłe morowi chłopcy: pilot i obserwator zdefektowanej nad Bordeaux i zmuszonej do lądowania w szczerym polu latającej fortecy. Sam, wykształcony syn rodziny żydowskiej z Filadelfii, spalił własnoręcznie maszynę, by nie oddać jej w ręce Niemcom. Nie mógł tego żadną miarą przeboleć. Casey, rosły podporucznik rodem z «Dziękiego Zachodu», zachowywał większy stoicyzm.

Zawarliśmy z miejsca przymierze. Postanowili mnie nazywać Scotty mimo, że musiałem ich także wprowadzić ogłędnie w prawdziwą historię dla wytłumaczenia mojej angielszczyzny. Ubrani byli fantastycznie w jakieś francuskie szaliki, swetry i wiatrówki. Widząc, jak ciężko maszerować mi w ciepłym, długim płaszczu z ciężką teką, na zmianę pomagali mi w noszeniu. Teraz dopiero poznałem, jak strasznie się zapasłem na francuskich frykasach. Wytrzymały ongiś turysta i zawodnik narciarski — stałem się typowym, miejskim, zatluszczonym ofermą. — Ściemniało się już — szliśmy końskim tempem 8—9 klm. na godzinę, bez żadnych przystanków. Groźne gądoziele wspaniałych przesmyków i wawozów napełniły się mrokiem. Wznosiliśmy się nieustannie w górę. Minęliśmy już dawno zasypane gliną przejście, tamujące ruch kołowy. Chwycił przymrozek. Wszliśmy zdecydowanie w białą krainę śniegu. Po trzech godzinach forsownego marszu zaczęliśmy mieć tego dosyć. Ramon śmigał lekko na przedzie, jakby nigdy nic. — No dobrze, ale chyba i te wieprze, które pędził przed laty, zbuntowałyby się brakiem wypoczynku. Zwałem się jak długi na śnieg. — «To już bardzo niedaleko» — zapewniał nasz cicerone. Wstyd mi się zrobiło własnej słabości, wspominałem dawne tatrzańskie i karpackie wyrzypy. Droga pięła się coraz bardziej w górę,

śnieg stawał się głębszy, wymagając przy rosnącym zmęczeniu coraz większego wysiłku. Już dawno zgubiliśmy ostatnich, nieznanych towarzyszy pieszej podróży. Mijaliśmy coraz rzadziej rozrzucone górskie osiedla, a tu trzeba maszerować bez ustanku.

Teraz kolejno osłabł Casey, znajdujący się po raz pierwszy w życiu na tak dużej wysokości. Oj klęli ci nasi Amerykanie Europę i Francję na czym świat stoi. Po 7 godzinach mordęgi pozwolił nam Ramon spocząć na sianie w jakiejś przydrożnej szopie. Za chwilę zrobiło się diablo zimno i pobudziliśmy się z półdrzemki. Teraz nie mieliśmy już złudzeń, że jesteśmy zwyciężająco obelgiwani obietnicami prędkiego, wspaniałego noclegu w hotelu. Piętrzył się przed nami potężny masyw. Zrezygnowani ruszyliśmy dalej, zapadając się coraz głębiej na nieprzełartej drodze. Wreszcie ujrzelśmy zawieszoną w górze wioskę. «To już tu» — zapowiedział przewodnik. Resztką sił pokonałmy ostatnie wzniesienie no i oczywiście okazało się, że w wielkiej ciszy, by nie obudzić niczyjej czujności, przemknąć się trzeba pomiędzy ciepłymi od snu domostwami, by stokiem, na przełaj, poprzez mroźne zasy py przebiegać się parę kilometrów do następnej wioski. Nie wierzyliśmy już ani trochę temu cyganowi. Kapitan, sapiąc ciężko, walił się co chwila z nóg. Ramon zaprowadził nas cichcem do jakiejś obszernej budy, na wprost zagospodarowanej przez brudnego Hiszpana, który chlubił się, że jest «też» kapitanem w rewolucyjnej armii republikańskiej, stwierdził, że takiego łamagi jak nasz angielski kapitan na oczy nie widział. Wkrótce okazało się, że obaj z Ramonem są stu procentowymi analfabetami. Bliscy już byliśmy wybaczenia wszystkiego, gdy na stół wyjechało gorące mleko i jakaś skomplikowana, ale ciepła potrawa. Przeprowadzono nas do sąsiedniej szopy, gdzie na stogu siana ustalono nam tymczasowe łóżko. Nic nas już wówczas nie obchodziła cywilizacja, zasyliśmy się po uszy, by zmóc ziąb i w śnie poszukać ukojenia.

Po dwu dniach zwierzęcego wegetowania o chłodzie i głodzie, przegnano nas nocą znowu o kilkanaście kilometrów do innej wsi. W piekielną zadymkę, potykając się i przewracając co krok niemal, dowiekliśmy się dosłownie na czworakach do nowego miejsca przeznaczenia. Tu wsadzono nas dla odmiany na ciemny strych. Przystaliśmy się myć i golić. Amerykanie opowiadali cuda o swojej ziemi obiecanej, nie dając nam wiary, że i my czujemy się dziko w tym zapadłym kącie Europy. Po 5 dniach leżenia w mroźnej norze kazano nam czekać na ostateczny wymarsz. O północy zapukał ośnieżony niedłudko przewodnik, wyszliśmy w wirującą gęstymi płatami noc. Wkrótce jednak okazało się, że wraz z 34 ludźmi, na ich ogonie, wracać musimy ze względu na zawieję z powrotem do pierwszej wsi, do owego nieszczęsnego «hotelu» nad stajnią. Mieliśmy raz na zawsze dosyć zimy, Pirenejów, Hiszpanów i całej eskapady.

Ku mojemu zdumieniu, owymi towarzyszami okazali się sami Polacy. Wiadomo, — jakaż to inna nacja tłumitaby się w podobnych warunkach po zapomnianych przez Boga i ludzi werte-

pach. Tędy właśnie gdzie diabeł dobranoc mówi, wiódł szlak ewakuacji wojska polskiego z Francji do Wielkiej Brytanii. Większość tych 34 turystów to młode chłopaki z emigracji zarobkowej, śpieszące na ochotnika do polskiej armii. Było też kilku uciekinierów z obozów jenieckich i dwu oficerów.

Po dwu dniach ogłoszono nowe pogotowie Ustaty śnieżyce. Wypogodziło się, chwycił na odmianę ostry mróz. Przewodnicy zapowiadali twardą, nawierzchnię, ściętego mrozem, śniegu, umożliwiający wyprawę bez nart przez najwyższe pasma Wschodnich Pirenejów w pobliżu Andorry. Musiałem rozmawiać z Polakami po francusku. Rażniej zrobiło mi się na myśl, że na najcięższą przeprawę będę między swoimi. Przynajmniej jak człowiek na śmierć zamarnie, to pochowają po katolicku. Obu amerykańskim oficerom zaimponowała widocznie postawa i liczba polskich wołontariuszy.

Z nastaniem nocy wykneśliśmy się ukradkiem, jak wioskowi złodzieje, z niegościnnego osiedla. No i znowu, jak na złość, zaczął sypać ten przeklęty śnieg. Postanowiliśmy jednak tym razem pchać się za wszelką cenę i wydostać ostatecznie z Francji. Popierałem gorąco tę decyzję, czułem, że w tych pieskich warunkach tracimy do reszty siły i cenny czas.

Boże, gdyby tak mieć narty, po jednej choćby parze jesiennych desek, — cała wyprawa stałaby się rozkosznym przeżyciem, jednym więcej doświadczeniem sportowym. Już drugi raz w tej wojnie przyszło mi na piechotę przedzierać się w zimie przez góry. Wówczas były to niemniej dzikie Gorgany, ale obecny ziąb, wichry, zawieje nie miały sobie nic równego.

I znowu gnali nas hiszpańscy przewodnicy. Tym razem było ich trzech, posiadali broń. Opędzali nas jak niesforną trzodę. Po sześciu godzinach pierwszy nawalił kapitan. Zaczął zostawać coraz bardziej z tyłu i przysiadając na śniegu. Przewodnicy nie dali za wygraną. Kiedy nie pomogła perswazja — prosił, by go zostawili; postara się, wypocząwszy trochę, iść śladami za nami; — zabrali się do innych metod. Przechodziliśmy właśnie w rejonie placówki niemieckich *Alpenjaegerów*. Serce mi się krajało na widok narciarskich śladów. Zauważyliśmy jednocześnie przy nich psi trop. Trzeba więc było przemykać się chylkiem, by nie ściągnąć na siebie pogoni. Nie mogliśmy więc w żaden sposób zostawić kapitana w takim sąsiedztwie. Współczuliśmy wszyscy, ale każdy z nas ledwo się włókł poprzez zaspę, każde podniesienie nogi z miążskiego, świeżego puchu wymagało nielada wysiłku. Hiszpanie nie ceregielowali się zbyt nio i skoro już nie prośbą wskórać nie mogli, zaczęli okładać kapitana JKM kijami. Protestował, skamlał, ale w końcu podniósłszy się z trudem, ruszył wolnym krokiem, poganiany przez małego José. Inaczej byłby niechybnie zamarznął opodal niemieckiej strażnicy.

Nad ranem doszliśmy do świerkowego lasu w zwężającej się dolinie jakiegoś przymarzniałego potoku. Tu dopiero pozwolili nasi tyrani zakurzyć i posilić się nieco zabranymi zapasa-

mi. Rozpaliliśmy trzy ogniska. Opiekuńczo sklepiaty się nad nami spowite w bajkową, koronkową okładkę smrekowe gałęzie.

Wschód słońca ożywił góry, las i ludzi. Roziskrzyło się wokół. Mienił się nieporównanie całun śniegu, przecięty jedynie ścieżką naszej nocnej drogi. Rozedrgały się słońcem dostojne choiny. Otucha wstąpiła w zwątpione, tuczące serca. Pamięcią wróciłem do tych odległych czasów, kiedy podobny widok wyganiał spragnionych silnych wrażeń wzrokowych z ciepłych pieleszy cudnego schroniska pod Pop Iwanem w Czarnohorze.

Waż nasz żwawo wystartował w dalszą wspinaczkę. Dolina pięła się coraz stromiej ku szczytom, szliśmy ukosem aż ku jej nasadzie. Miałem chwilę, w której i mnie zrobiło się po raz pierwszy mocno niewyraźnie. Zostałem na końcu, rzeźwiąc się grudkami zbitego w lód śniegu. Podganiał mnie pocziwi współtowarzysze — podoficerowie ze Stalagów. Podziwiałem ogromne koleżeństwo i uczynność tego zespołu.

Jeden z nich, łańcuchy ze wschodnich Karpat, przypatrywał mi się stale, po czym oświadczył swym kolegom, że on już tego Anglika musiał gdzieś widzieć. Podobne wątpliwości miał (i to nie bez podstawy) lwowski lekarz weterynarii. Udawałem, że nie ale to nie rozumie. Kwękałem po francusku i po angielsku. Gdyby nie potęgające się zmęczenie, sytuacja byłaby może zabawna.

Przeszliśmy na przeciwległe, skąpane w porannym słońcu, zbocze. W dole pozostał zastygły potok. Ostre zakosami, przebijając się przez zwalę świeżego śniegu, wdzieraliśmy się ku daleko w górę zawieszanej przełęczy. Wyszliśmy już poza gradnice lasu. Powietrze stawało się bardziej przejrzyste, niemal wonne. A jednak coraz częściej musiałem przystawać. Dawno przemarznięte buty, mocne turystyczne *bergsteigery*, zaczęły mnie dotkliwie uwierać. Z narciarskich doświadczeń pamiętałem o grozie odmrożenia. Kazałem towarzyszom dobrze owinąć stopy, aby nie przysparzać zatarć i odparzeń. Niestety niektórzy mieli już odmrożone kończyny. Nacieraliśmy śniegiem. Postanowiłem wolno, systematycznie, bez ustanku stromym zakosem posuwać się w górę. Czułem zbliżające się wycieńczenie. Poprosiłem więc mocnego, zdrowego chłopaka, niejakiego Grabowskiego, rodem spod Sanoka, by mnie ani na chwilę nie odstępował. Nie chciałem wstrzymywać całej ekipy. Hiszpanie nie zważali, zresztą zupełnie na nas, wysunawszy się poważnie ku przodowi. Doświadczyłem na tym niekończącym się stoku z kilkoma zwodniczymi graniami najpoważniejszego bodaj w życiu kryzysu fizycznego. Krok stawał się coraz wolniejszy. Serce trzymało mnie za gardło. Gdyby nie Grabowski, który zszedłszy z ubitej koleiny podtrzymywał mnie z całych sił, brodząc o pół kroku za mną w kopnym śniegu, nie wiem, jakby się to skończyło. I wreszcie doszliśmy do pierwszej grani. Ocucił mnie przenikliwy, zrywający się wicher. Poczułem obrzydzenie do własnej niemocy i z zaparciem, o własnych siłach piętałem się dalej na następną, rzekomo już ostatnią, przełęcz. Grabow-

skiemu, który nie zważając na odmrożenia stopy i dłoni uratował mi, być może, życie, wsadziłem do kieszeni ową piękną, srebrną, warszawską papierosnicę, którą miałem w nagłym a nieprzewidzianym wypadku przebłągać jakiegoś Niemca. W pewnym momencie, kiedy straciłem już wiarę, że wyjdę cało z tych piekielnych gór, odezwał się do Grabowskiego po polsku, prosząc, by w razie mojej śmierci zakomunikował rtm. Rozwadowskiemu — dowódcy grupy, że emisariusz Polski Podziemnej «Jur» pozostał na szlaku wędrówki, nie będąc w stanie wykonać w pełni zadania. Materiały i poczta oddana Antoniemu w Paryżu powinna już była dotrzeć do Sztabu Naczelnego Wodza.

Na przełęcz orzeźwił mnie ostry, przejmujący wiatr i niesamowity, groźny widok piraejskiego, lawiniastego kotła. Nie miałem nawet siły martwić się nową, spiętrzoną przed nami ścianą. Wyciągałem zdrtwiałe z zimna nogi z kopnego śniegu i stawiałem je nieco wyżej jakimś zrezygnowanym, mechanicznym ruchem. Stałem się, podobnie jak moi towarzysze, pnącym się przez śnieżne bezludzie, automatem. Kryzys minął, serce przywykło do wysokości i trudu. Duch przekory powtarzał machinalnie z goryczą *«la douce France»*.

Najstarszy wiekiem z grupy, — lekarz Żyd z Drohobycza, zrezygnował z dalszego wysiłku. Nadmierne wyladowany plecak niósł mu już od dawna jeden z młodzików. Wąż 38 osób wił się śladem hiszpańskich przewodników. Zaczęło sypać suchym, ostrym śniegiem. Zerwał się huragan. Byliśmy wysoko nad granicą lasów. Doktor pozostawał coraz bardziej w tyle przy kępce targanej wichrem kosodrzewiny. Wiedziałem co znaczy biała śmierć, brałem kiedyś w Czarnohorze czy Sławsku udział w ekspedycjach ratunkowych. Ale teraz nie mogłem się zdobyć na zawrócenie. Łamałem się wewnątrz, wiedziałem jednak, że powrót o kilometr w dół przy moim wyczerpaniu oznacza niechybną śmierć w zamieci i przeraźliwym mrozie.

Od momentu przejścia w nocy w pobliżu strażnicy niemieckich, Hiszpanie przestali się interesować naszym losem. Myśleli o tym, by wyjść cało z tego białego piekła. Radowałem się każdym krokiem naprzód i zdawałem sobie jednocześnie sprawę z nieludzkiej, strasznej sytuacji, w jakiej z każdym krokiem pozostawialiśmy za sobą człowieka. Było to tym smutniejsze, że po prawdzie doktor był najmniej popularnym współtowarzyszem, zwykły był biadać nad sobą i sobą tylko był zajęty. Nie częstował nikogo swymi obfitymi zapasami od których pękał plecak. Z przykrością obserwowałem jak zachowaniem swym podniecał wśród młodych chłopaków z francuskiej emigracji płytki antysemityzm. Kiedyś ratowałem Żydów przed bojówkami nieprzytomnych wszechpolaków na Uniwersytecie, a teraz nie byłem w stanie nie uczynić dla tego nieszczęsnego człowieka. Ledwo się sam włókłem, a obowiązki służby kurierskiej nie pozwalały mi na lekkomyślny humanitaryzm. Coraz częściej głowy moich towarzyszy obracały się wstecz, wyraz twarzy

zdradzał wzrastający niepokój sumienia. I nagle jeden z najmłodszych uczestników przeprawy, w lice odziany paletko, zaklął straszliwie i zawrócił na pięcie. Za nim ruszył jego przyjaciel.

— Chodź, wytaskamy tego sk... Żyda do góry!

Zbiegali pełnym gazem. Sylwetki ich zginęły w potęgającej się kurniawie. Na szczycie się rozjaśniło, spoza rozpędzonych, dymiących kumulusów wypłynęło pierwsze, marcowe słońce. Czekaliśmy godzinę, osłonięci skupieniem skał. Andrzej i Piotr wyciągnęli bladego jak trup doktora. Zobaczył przed sobą opadające kotłami, ku zmarzłym stawom, stocza. Oczy nabrały życia. Był uratowany.

Schodziliśmy biegiem, miejscami śnieg zakrzepł i zbił się w lód od wiatrów. Na nartach byłoby się lekko u kresu podróży za godzinę. Widzieliśmy daleko w dole lodowe tafle jezior w kotlinie, po drugiej ich stronie czekało nas pasterskie schronisko. Promienie słońca rozleniwiały roztrzęsione od biegu ciało. O zmroku grupkami dotarliśmy do zasypanej koliby. Przy anemicznym ogniu grzali się Hiszpanie. Okna szataśu nie miały szyb, w połowie zasypane były kilkumetrowym śniegiem. Na drewnianych pryzkach dymili zmęczeniem, zbici w kupę ci, którzy pierwsi dotarli pod dach. Zimno było przejmujące. Jedynie herbata z topionego śniegu i chleb z omastą dawały się do przetrwania. Spać w takim ziąbie nikt nie potrafił. Przy piecu panował stały ścis. Porabialiśmy krzesa i deski gospodarskie, by podtrzymać ogień. — O świcie ruszyliśmy stromym zboczem ponad stawami na przeciwną grań. W tyle za nami pozostawała cierniowa droga dnia wczorajszego.

Tym razem szło się lepiej. — Mróz zelżał na szczęście. Organizm ludzki przywykł do wysokości. Hiszpanie dotrzymywali nam kompanii. Z grani widać już było na horyzoncie hiszpańską część gór. Wiedzieliśmy, że musimy tam bezwarunkowo dziś jeszcze dotrzeć. Przewodnicy przyznali, że nie mieli dotąd nigdy równie ciężkich warunków przejścia. Kiedy wypoczywaliśmy w południe na ogrzanych słońcem i oczyszczonych ze śniegu piargach, rozwiązały się im języki. Ponieważ dzieliłem prowiant z Amerykanami i Anglikami, znalazłem się w ich towarzystwie. Hiszpanie, odnoszący się z pogardą do Anglosasów, stawiali nam za wzór wspaniałe wartości żołnierskie Polaków. Imponowała im szczególnie wytrwałość i solidarność. Twierdzili, że z Polakami do piekła nawet można iść, a walcząc po stronie czerwonych «dąbrowszczacy» okazali się w wewnętrznej wojnie najlepszymi żołnierzami. Słuchałem tego z niekłamną dumą, a moi towarzysze, kiwając głowami przyznawali, że pełni są podziwu dla wartości polskiej grupy. Sam nie omieszkiał się pochwalić, że jego matka też pochodzi z jakiegoś miasteczka we Wschodniej Polsce (miasteczkiem tym był Petersburg). Nie mogłem zrewanżować się Hiszpanom żadnym komplementem, gdyż Bogiem a prawdą, uważałem ich za rzadkiego kalibru żulików i łgarzy. Po raz pierwszy, poznawszy bliżej

tych czerwonych anarchistów, nabrałem wątpliwości, czy aby w stu procentach słuszne było moje anty-frankowskie nastawienie. — Brali podobno jakieś bająnskie sumy od konsulatu amerykańskiego w Barcelonie za każdego przeprowadzonego lotnika lub kuriera. Ciekaw jestem, czy w drodze sympatii dla Polaków, stawka na ochotnika do naszej armii była nieco niższa.

Po południu, schodząc stromą doliną, spłoszyliśmy stado wspaniałych kozic. Nie widziałem ich nigdy dotąd w równie pokaźnej liczbie. Zaczęło się ściemniać. Weszliśmy znowu w rejon lasów szpilkowych. Ostatni postój przy na przedce skleconej wiatrce. Chłopaki zaśpiewały rzewnie, jeden z podoficerów wyniósł ze Stalagu pyszne organki. Z trudem powstrzymałem się, by nie huknąć z dumą w tych dzikich górach na całe gardło i nie zdradzić, że przynależę do tej samej niespożytej nacji.

Zeszliśmy do opuszczonej stodoły. Przed nami leżała ciemna, głęboka dolina. Słońce zdążyło już wytopić śnieg na południowej, naszej stronie. W dole biegły równolegle obok siebie: szosa 1-ej klasy, tor kolejowy i rzeka. Mieliliśmy tu zaczekać do przejścia dwóch pociągów, by w szumie drugiego runąć szusem na dół i przebiec drogę, szyny i kładkę. Dolina była często patrolowana przez niemiecką straż graniczną. Zabroniono palić i rozmawiać. Podesunął się do mnie rotm. R., sytuacja przypominała mu żywo podjazdową wojnę 1920 r., kiedy podobnie czaił się ze szwadronem w zaroślach jakiegoś podolskiego jaru.

Z daleka usłyszeliśmy miarowy stukot pociągu. Minął nas w dole wąż światełek. Po 15 minutach z przeciwnej strony ruszył z pobliskiej stacji drugi. Nadechodził. Stojący najniżej Hiszpan gwizdnął przeciągle. Posypały się kamienie, szliśmy w dół jak lawina, nie zważając na krzaki i opłotki. Wiedzieliśmy, że wierzchołkami przeciwnych wzgórz biegnie upragniona granica. Dodawało nam to niezbędnych sił. Właśnie przeleciał w poprzek pociąg. Przeskoczyliśmy tyralierą drogę bitą, jak w szturmie wdarliśmy się na kolejowy nasyp, — nie zauważyliśmy nikogo w pobliżu. — A potem znów skok w dół i chyłkiem kładką przez szumiącą w czarnych przerebłach rzekę. Resztką tchu przebiegliśmy przez pole, dopadliśmy drzew pnących się pod ostatnie nasze wzgórze. Nie, nie dano nam odpasać; Hiszpanie jak gończe psy podpędzali w górę w gęsty, stromy las, aby czym prędzej oddalić się od niebezpiecznego koryta doliny i nie zdradzić miejsca przeprawy. Dysząc ciężko, trzeba się było znowu przebijać przez kopny, zbity śnieg. Pełne jego były buty, ręce, włosy. Co chwila ktoś przewracał się, klnąc cały świat. Niemców, Francję, Hiszpanów.

— Pst, pst! — ucichliśmy, — w dole maszerował szosa patrol Niemców. Z dala dobiegały pogwizdywania i beztroskie głosy.

— Pies wam mordę lizał — syknął przez zęby lwowski weterynarz. Parsknąłem śmiechem. Zapytał czy rozumiem. — «Coś, niecoś» — odparłem.

Jeszcze godzinę wspinaliśmy się w najwyższym trudzie do tej, nie pierwszej co prawda, ale i nienajłatwiejszej granicy. Wreszcie, w poświęcenie księżycy, koło 9-tej wieczorem, dobrnęliśmy do grzbietowej linii leśnej. Ten wycięty pas drzew — to właśnie kres okupowanej Europy. Odetchnęliśmy z dobrze zasłużonym poczuciem ulgi, pod którą każdy z nas podkładał podobną, ale odmienną jednak treść. Dla uciekinierów z obozów jenieckich była to swoboda, dla ochotników z Francji początek wielkiej przygody, ku której się rwali młodzieńczo, dla Hiszpanów ciężkie srebrniki za przeschmuglowany towar, dla kapitała Anglika szybka możliwość połączenia się z żoną, dla niefortunnych lotników amerykańskich przeniesienie na front Pacyfiku po krótkim urlopie, dla doktora ucieczka od zmyru ghetta, dla mnie zaś szansa wywiązania się z poruczonego zadania.

Jeszcze dobre pół godziny szliśmy granicą, gdyż zejście do Hiszpanii było niemożliwe ze względu na strome, dzikie urwisko. Oczywiście w wypadku pojawienia się narciarskiego patrolu niemieckiego, musieliśmy tam skakać na złamanie karku.

Przewodnicy obiecywali tradycyjnie, że tylko jeszcze kawaleczek, mała chwila, a znajdziemy się w komfortowym hotelu z gorącą wodą i wspaniałym żarciem. Nie wierzyłem łobuzom ani trochę. Nogi szły w dół po szerokich, łagodnie wreszcie spadających, śnieżnych zboczach. Hiszpanie błagali, by nie robić hałasu, bo łaćno skończyć by się mogła nasza wyprawa w fałangistowskim więzieniu lub obozie koncentracyjnym a da Miranda, im zaś groziła nawet rzekomo kara śmierci, no i oczywiście likwidacja dobrze zarobkowego przedsiębiorstwa.

Wlekliśmy więc swoje zmęczenie, nadzieję i wdzięczność wobec Opatrzności w jasną, księżycową noc górską. W dali migały nieprzyciemnione światełka, neutralnych w wojnie, ludzkich osiedli, ukoronowanych smukłymi konturami kościelnych wież. Dobiegały nas ujadania psów. I znowu wróciła mi nieprzeparta nostalgia za Sławskiem, za Bieszczadami, za długimi, podkutymi hikorami, na których śmigałbym teraz christianie, prosząc śniegiem, w szalonym, radosnym pędzie ku dolinie.

— Ten Szkot cholera, to przynajmniej zmartwień nima — usłyszałem za sobą — wraca spasyony jak świnia do domu, ledwo się wlece niezgula i nie go tam żaden Lwów, czy Wilno nie obchodzi, do mamy hula i do taty.

Gorycz ścisnęła mi gardło. Co ty wiesz bracie — myślałem. — Matka moja i brat gdzieś po świecie, cudem przeszli Rosję, przyjaciele najbliżsi w coraz dalszej Warszawie i Lwowie. Czekać, być może, przy głośnikach następując w ukryciu, czy udało mi się już przedrzeć do Londynu.

Mimo hiszpańskich obietnic, — Cyganie są wobec nich szczerze, tem prawdomówności i rzetelności, — przyszło się wlec jeszcze niemal całą noc. Szedłem półdrzemając, mijaliśmy uśpione wioski, na przelaj idąc polami. Każda następna miejscowość miała

już być celem naszej włóczęgi. W chorej ze zmęczenia wyobraźni roily się fantastyczne zwidy bajkowego hotelu i przede wszystkim ciepłego, wygodnego łóżka. Wreszcie około czwartej nad ranem wprowadzono nas do jakiejś skrytej za dużym murańcem szopy.

Stajnia przeznaczona na zimę dla owiec okazała się owym obiecany «hotelem». Przewodnik tłumaczył długo i szeroko, że ze względu na częste rewizje żandarmerii, bezpieczniej niż w wygodnych łóżkach (których zapewne wogóle w tym zapadłym kącie świata nie ma) będzie dla nas przecierpieć jeszcze dobrą i przenocować w owczarni. Jechał ich sek — myślałem, — byle dali ciepłą zupę i trochę siana do spania. Jesć przyniosła nam piękna, miedziano-ruda señorita. Byliśmy tak znużeni, że nie nie mogło nas wyrwać z odrętwienia. Pokładaliśmy się na brudnej, zagnojonej ziemi, nie pozwolono pogasić światła, bo owce niezwykle po ciemku nocować. Co chwila budziło mnie ze snu jakieś bydlę, tarabaniące się na mój brzuch lub głowę i podlewające nas hałaśliwie w tym piekielnie zimnym «hotelu».

W południe przyniesiono wysmienite żarcie, — paprykarz gorący z winem, karczochami, czekoladą, bananami i pomarańczami. Oczywiście nie pozwolono nam wystawiać nosa poza drzwi. Jeden z przewodników pojechał rzekomo do Barcelony, by zgłosić w konsulacie brytyjskim naszą grupę i sprowadzić samochody. W międzyczasie postanowiliśmy uporządkować swój wygląd zewnętrzny, nastąpiło generalne mycie, golenie i co najważniejsze, opatrywanie odmrożonych kończyn. Weterynarz i doktor mieli pełne ręce roboty. Okazało się, że prawie nie ma, między nami ani jednego, który by wyszedł cało z przeprawy. Miałem poważnie odmrożoną stopę, dłoń i nos, ale było to wszystko niczym wobec innych. Trafiały się doszczętnie szczytnie nogi i palce. Biednemu 17-letniemu Rexowi spod Lille trzeba było później amputować w Barcelonie obie stopy, jeden z chłopaków stracił rękę, nie wiem co stało się z doktorem, który również zagrożony był amputacją. Głęzki haracz płacili Polacy za drogę na wolny świat.

W dzień było jako tako, ale na noc wracał nasz kierdel tych przeklętych owiec. Zrozumiałem wreszcie głęboki sens pewnego wojskowego przekleństwa, kończącego się na ty owieczko. Mróz dokuczał coraz bardziej. A te hiszpańskie huncwoty zawieruszyły się gdzieś w dziwkami w Barcelonie. Po pierwszym znikli następni. Jedyną pociechą było wyborne jedzenie, przynoszone do śmierdzącego chlewu na wytwornej hotelowej zastawie.

Wreszcie zarządzono pogotowie. Nie obyło się bez małego sporu kompetencyjnego pomiędzy polskim i brytyjskim dowództwem. Nasz pocziwy rotmistrz ustąpił dla świętego alianckiego spokoju, mimo że całe bractwo sarkano przeciw temu. Po północy opuściliśmy tę wspaniałą stację klimatyczną, gnani bez nadziei przez nowych hiszpańskich opiekunów. Odważyliśmy

drogą nowe trzy godziny marszu, mimo że nasze limuzyny miały czekać tuż tuż za wioską.

Na rozdrożu zatrzymano kolumnę i polecono nam wkopać się głęboko w stóg siana. Po drabinie wylazłem na górę pod daszek i zaszyłem się tak, by zapomnieć o świecie. Stóg był wielki i za chwilę chrapał na 38 różnych głosów i półtonów. Obudziło nas schrypione trąbienie jakiegoś pojazdu mechanicznego. Opośdaliśmy prychała staromodna ciężarówka, nakryta szczelnie brezentowym płótnem. Mimo że była to niewątpliwie pozostałość po handlu świniami, przemarnięci do szpiku kości, z radością rozkopywali siano i ładowali się jak śledzie do beczki na ten zbawienny automobil. Do dziś nie jestem w stanie pojąć jak mogliśmy się tam wszyscy pomieścić. Pamiętam, że nie mogłem przez 12 godzin wykonać żadnego, choćby najmniejszego ruchu zdrętwiała i obolała lewą stopą. Trzęsło niemiłosiernie. Jechali bocznymi drogami, omijając większe miejscowości i główne arterie. Raz zatrzymał nas jakiś patrol, ale zadowolono go zdawkową odpowiedzią. Obyło się bez wyspy i strzelaniny, na którą nasi opiekunowie byli dobrze przygotowani.

W Barcelonie wyladowali nas w garażu. Było słonecznie, naprawdę ciepło i wiosennie. Prawdziwymi, żółtymi taksówkami odstawiono nas do jakiegoś podejrzanego hotelu. Po godzinie pojawili się pierwsi, po europejsku ubrani, ludzie — byli to przedstawiciele brytyjskiego konsulatu. Zanim zdążyłem otworzyć usta, piękna, wytworna lady odezwiała się, dając mi porozumiewawczym uśmiechem.

— *Hallo Mr. George Carson, we know all about you, czekają na pana niecierpliwie w Londynie.*

Rozstaliśmy się z polskimi towarzyszami drogi. Poprosiłem na boku rotmistrza, by we właściwym momencie powiedział im o mnie i przeprosił tych zacnych chłopaków, którzy taką natchnęli mnie dumą i otuchą za brzydkie, ale nie przeze mnie zawinione kawał z ukrywaniem narodowości.

Z kapitanem i yankesami zostaliśmy zabrani do konsulatu. Kazano nam wykopać się w autentycznej łazience i ściągnąć absolutnie całą, raczej zauszoną, a w każdym razie zupełnie przemarniętą odzież i obuwie. Dostaliśmy nową, czystą, wyprawę, zastępcze dokumenty i powieszono nas na tymczasowe locum w pensjonacie bogatego restauratora. Jeszcze tej nocy kupiliśmy z Samem po kilo czekolady, 5 kilo pomarańczy i 5 kilo bananów na paszczę, było też wino. Jak się bawić, to się bawić. Sam odgrażał się nawet na temat dziewczynek, ale była to, po przejściach ostatnich 10 dni, amerykańska przesada. Wystarczył europejski fryzjer z wszelkimi szyskanami no i do brze zasłużona, bieluchna pościel na miękkim jak marzenie łóżku.

.... W trzy dni później pruliśmy w żywej, pogodnej Barcelonie wykwinutą limuzyną ambasady brytyjskiej do Madrytu. Droga wiodła środkiem całego iberyjskiego półwyspu przez gó-

rzystą Katalonię, Aragon, zakurzoną Saragossę, płaskowyżami Kastylii.

Kilka razy chcieliśmy wysiąść by zobaczyć kawałek kraju. Nasz hiszpański szofer bardzo był uprzejmy, ale pogwizdując i pospiewując miłym, ciepłym tenorem hiszpańskie tanga i passo double, udawał, że nie rozumie, kiedy namawialiśmy go na mały postój. Prowiant mieliśmy ze sobą. Jechaliśmy więc bez ustanku, mimo turystycznych zachcianek. Był w tym jakiś sens. Nie należało pokazywać zagranicznego żywego towaru. Co chwilę zabiegały nam drogę patroli policji w zabawnych, archaicznych mundurach i napoleońskich czapkach. Salutowali na widok *Union Jack* powiewającego na masce naszego samochodu. Mieliśmy pokryć tego dnia około 800 km. Mimo wybornej asfaltowej szosy i coraz bardziej fascynujących widoków, byliśmy już bardzo zmęczeni, kiedy poprzez historyczną Guadalu-jarę dojeżdżaliśmy do przedmieść Madrytu. W pałacyku ambasady spotkaliśmy kilkudziesięciu młodych lotników brytyjskich i amerykańskich. Przyszło mi tu się rozstać z trójką kompanów.

Wreszcie zostałem znowu sam w śródmiejskim hotelu, rozkoszując się życiem i pięknem Madrytu. Biegałem od rana do nocy, by jak najwięcej zobaczyć i co najważniejsze załatwić wyjazd do Anglii. Musiałem przejść przez cały alembik przeróżnych pośredników, Anglików, białych Rosjan, Francuzów, Hiszpanów — by wreszcie otrzymać wizę wyjazdową i jako południowy Afrykańczyk, Mr. George Vincent, po kilku małpio złośliwych kawałach ze strony hiszpańskiej policji, wyjechać późniejszym, niewłaściwym pociągiem poprzez Nową Kastylię i zielony już kraj Andaluzji w stronę brytyjskiego Gibraltaru. Oficerowie hiszpańscy okazali się weale miłymi i uczynnymi towarzyszami podróży.

Niespokojny o dalsze koleje losu, oszołomiony długą podróżą i niesamowicie barwnymi widokami, wysiadłem na nakazanej, małej stacji wraz z tłumem wojskowych i cywilnych pasażerów. Podszedł do mnie jakiś młody człowiek w elegancko skrojonym sportowym garniturze. Przywitał mnie serdecznie, mówiąc czystym oksfordzkim akcentem:

— *How are you George!*

Poprzez ostatnie hiszpańskie szlabany przejechałem na ziemię brytyjską. W mroku zapadającej marcowej nocy rozpoznałem charakterystyczne kontury skały Gibraltaru. — Długo nie mogłem zasnąć, słuchając na swej kwaterze przeciągłych, pełnych nostalgii, monotonicznych śpiewów znudzonego forteczną służbą, wojska angielskiego. Wiadomo, talentów wokalnych ta szlachetna nacja nie posiada.

Mój gospodarz nie omieszkiał zapowiedzieć, obejrzawszy mnie od stóp do głów, żeby nie ruszał tej czarnej, przystojnej hiszpańskiej posługaczki. Na drugi dzień przeprosił za pomyłkę, ale myślał że jestem Francuzem. Starałem się mu wytłumaczyć, że Francuzi okazali się również pierwszorzędnymi konspiratorami. Jako Polaka (nareszcie byłem sobą) potraktował mnie wspa-

niałą herbatą. Przyrządziłem ją sam na polski sposób. Była to pierwsza autentyczna herbata od chwili wylotu z W. Brytanii.

Z dumą pokazałem memu gospodarzowi przeniesione z Warszawy amulety i pamiątki. Byłem nimi obładowany niczym sklep z dewocjonaliami. Ponadto przyniosły mi niewątpliwie szczęście: czterolistna koniczyna od Dziuni, portmonetka od Magdaleny, kotek od Krystyny, słoń od p. Zosi. Bardzo to Anglikowi za imponowało.

W drugą noc byłem już na pamiętnym dla Polaków lotnisku. Zabrało nam ono człowieka, którego byłem krajowym wysłannikiem. Cieszył się na Zachodzie dobrym imieniem i niehyle jaką pozycją.

Wysmukłym Vikingiem wraz z grupą wyższych oficerów brytyjskich i amerykańskich wybieciałem na Północ. Migwały w dole beztrudne światła neutralnej Lizbony. Lot był spokojny. Zasnąłem, ale nad ranem, kiedy mijaliśmy bretoński brzeg Francji, zaczęło bujać. Różowe, białe i niebieskie chmurki przestaniały raz po raz widok wzburzonego morza. Dołatywałem do zabawnego archipelagu w pobliżu Kornwalii. Siedzący przede mną *Air Commodore* brytyjski obudził się z drzemki. Zrobiło mi się niedobrze. Nie, bardzo nie lubię podróży samolotem.

— Jak miłą, spokojną mamy drogę — zwrócił się w moją stronę.

Musiałem wyglądać arcyzielono, gdyż obrócił się nagłym ruchem, poblądłszy nieco. Modliłem się, by nasz lotnik usiadł na pierwszym lepszym lotnisku. Zmierzaliśmy tymczasem na Wschód w stronę Londynu, by przysiąść w okolicy Swindon na soczyscie zielonej ziemi angielskiej.

Nikt mnie tu nie czekał, gdyż lądować mieliśmy na Hendon w Londynie. Po skomunikowaniu się z odpowiednimi komórkami, pozwolono mi jechać do stolicy. I chociaż droga wiodła na Wschód, ja dalej «jechałem» na... północ.

Z Pałacem starożytności, londyńską taksówką udałem się do Rubensa. Nic się tu nie zmieniło. Od razu poczułem się mały, nieważny i zawadający całemu światu w urzędowaniu. Tylu świetnych dostojników, tyle gwiazdek, rogatywek, szlifów, szurań nogami, tyle niezmiennych od początku wojny przyburek, paragrafów i załączników. Już po pół godzinie doprosiłem się zaferowanego żandarma, by do jasnej cholery zameldował mnie w Oddziale VI-tym, że przybył z Warszawy emisariusz por. Jur. Patrzone na mnie zapewne z uśmiechem politowania, posadzając o bliskie pokrewieństwo z londyńskim «królem Polski».

Szóstka przeniosła się do gmachu opodał. Za chwilę meldowałem się u płk. Protasewicza. Jego zastępcą, niejaki p. Utnik, dwukrotnie przy biurku wyawansowany w ciągu półtora roku mojej nieobecności — na pytanie co słychać dowiedział się, że Maciej i inni skoczkiwie dziwią się dlaczego to pan kapitan, — przepraszam, nie wiedziałem że pan major już został panem pułkownikiem, — tylu ludzi wysyła a sam mimo obietnicy i po-

trzeby nie raczy zaszczyścić kraju swoją obecnością. Pan pułkownik oświadczył, że teraz to już będzie trudno, bo tyle spraw «narosło» w Londynie. Pewnie sobie szykował już wówczas gniazdo u komunistów. Pułk. Protasewicz szczerze tym wzruszony, że najpierw zameldowałem się w szóstce, podwiózł mnie uprzejmie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i uspokoił po drodze, że materiały i poczta krajowa są już w Londynie. Właśnie teraz są wywoływane. Więc przybyłem na czas. Niepokojono się o mnie od dwóch tygodni.

— Nie dziwnego, ja się też niepokoiłem.

Na schodach nowego gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (porósł polski Londyn w międzyczasie w pióra), dowiedziałem się od razu nim zdolałem głębiej otworzyć, że Panie Dzieciu pan Gawel z panem Pawłem, choć w jednym stoją domu, mocno pokłóceni, obaj nawzajem, nie bez podstaw, oskarżając się o brak pewnych intelektualnych kwalifikacji. A poza tym, Panie Dobrodzieju, ile trzeba oddać Rosji, by się z nią ugodzić. (Nie zrozumiałem). — Poczułem się bardziej zagubiony w Londynie niż w mroźnych Pirenejach.

A wieczorem zziębnięty, zmordowany, ledwie żywy, zaprowadzony zostałem na gorąco do Premiera Mikołajczyka. Pamiętam, że nie byłem w stanie od razu wysypać ze siebie wszystkiego w syntetyczny i hieratyczny sposób. Nie zapomnę jednak nigdy pewnego fragmentu rozmowy.

— «Dlaczego oni tam w Kraju tak sztywno upierają się wobec żądań sowieckich?»

— «Nie widzą najmniejszych przyczyn do innej polityki».

— «To znaczy?»

— «To znaczy, że Delegat, Rada Jedności Narodowej, Komenda A. K. i własne Pana stronnictwo, Panie Premierze, nie widzi absolutnie żadnej racji, dla której Polska miałaby cokolwiek płacić Rosji w wyniku tej wojny».

— «Nie godzą się na żadne ustępstwa terytorialne?»

— «Nie chcą wogóle o nich słyszeć».

— «Czy wiedzą, jakim naciskom ja tu wraz z Rządem jesteśmy poddani ze strony Churchilla i Edena?»

— «Nie wiedzą, bo ich nikt o tym nie informuje, byłem przed 14-ma miesiącami ostatnim emisariuszem Rządu w Londynie. Zaniósłem od Pana, jako wicepremiera i Nacz. Wodza Premiera Sikorskiego niezwykle optymistyczną ocenę sytuacji na podstawie przyrzeczeń Roosevelta».

— «To się niestety zupełnie zmieniło. Lada dzień poleci do Kraju pan Rettinger, wytłumaczy im konieczność ustępstw».

— «Czym Pan tłumaczy tak mało realistyczną postawę Kraju?»

— «Kraj uważa za swoje zadanie dostarczać argumentów swą walką, ofiarą i postawą polityczną Rządowi Polskiemu, prowadzącemu naszą politykę w myśl znanych, i niezmiennych chyba, celów wojny i zgodnie z polską racją stanu. Kraj włącznie ze Stronnictwem Ludowym skarży się na brak elementów

z Londynu, na złe funkcjonowanie aparatu łączności i informacji. Dotychczas poza optymistycznym przemówieniem Pana Premiera, nie są nam znane decyzje teherańskie».

— «Czy nikt nie zajmował bardziej ugodowego i kompromisowego stanowiska w sprawie Ziemi Wschodnich?»

— «Poza PPR i pokrewnymi mu organizacjami jak RPPS — nikt. Tylko dwóch ludzi poleciło mi przekazać inne, różne od najwyższych czynników Polski Podziemnej poglądy. Pan Knoll, któremu przed rokiem przekazałem nominację gen. Sikorskiego na Dyrektora nowopowstałego departamentu Spraw Zagranicznych, oświadczył, iż widzi w razie nieuniknionej konieczności, możliwość wytyczenia linii demarkacyjnej, pozostawiającej bezwzględnie po stronie niesowieckiej Zagłębie Naftowe, Lwów i Wilno z całym obszarem Litwy przy zastosowaniu całkowitej wymiany ludności polsko-ukraińskiej i polsko-białoruskiej».

Natomiast pracownik akowskiego BIP-u, docent Wierszal, doradza Panu Premierowi całkowite zaufanie polityce brytyjskiej i przyjęcie tych wszystkich postulatów, które Anglicy będą stawiać. Uważa, w czym jest zresztą najzupełniej odosobniony, że Anglicy krzywdy nam żadnej nie robią i w polityce swej przechrząną w końcu Rosję».

— «Może Pan być pewien, że uczynię wszystko co się da, by uratować Lwów i Wilno. Niemniej jednak bez wojny Anglosasów z Rosją, której nie przewidują przed upływem dwudziestu do trzydziestu lat — musimy zastosować politykę kompromisów w stosunku do Rosji — po to, by uratować jak największą część Polski od sowietyzacji i zniszczenia biologicznego. Musimy w tym celu wykazać wobec nacisku Wielkiej Trójki, — dobrą wolę wobec naszego wschodniego sąsiada».

Byłem tym, co usłyszałem, ogromnie zaskoczony. Takie założenia polityczne wydały mi się bez porównania bardziej złudne niż bezkompromisowa, twarda postawa Kraju.

Gdy skończyliśmy pierwszą odprawę, już dniało. Drzewa Hyde Parku tryskały wczesną, wiosenną zielenią. Szumiało mi w głowie nadludzkim znużeniem.

... Kiedy kładłem się spać, przypominała mi się taka śmieszna dewiza, wypisana na stacjach kolei brytyjskiej i wagonach — «Is your journey really necessary?» — Czy podróż Twa jest na pewno niezbędna? — a potem powiedziałem sobie, że przecież przyjadą z Polski nowi ludzie i znajdziemy tu na pewno szeroki zespół dusz pokrewnych atmosferze i postawie Kraju, wyrażonej tak dobrze w uchwalonej właśnie Deklaracji Rady Jedności Narodowej. Z dotarciem do Londynu nie kończy się, lecz zaczyna prawdziwa służba polityczna na rzecz Niepodległości i Demokracji Polski. — Zасыpiając, uspokojony częściowo czulem, że znajduję tu również wielu podobnie myślących ludzi. I podróż moja okazać się może mimo wszystko pożyteczna.

Ścieżki

Z powodu wystawy, której nie widziałem

Jest powiedzenie sowieckie «tiekuczka zajedaje». Wyraża to ten nieustanny nurt płynących, ciekących zdarzeń, wypadków, wypadeczek, drobnych, drobnutkich, ale koniecznych obowiązków «zjadających» człowieka, miliona spraw, które trzeba załatwić zaraz, bo inaczej tworzą się zatory, poza które już w ogóle człowiek przejść nie jest w stanie. I to właśnie zjada każdego, podcina poczucie hierarchii, świadomość tego co mniej a tego co bardziej ważne, skłania nawet do odwracania tej hierarchii z naciskiem na to jedynie, co najbliższe aktualne.

Myślałem o tym, czytając w «Kuznicy» i w «Nowinach Literackich», że Jan Cybis ma swoją w Poznaniu zbiorową wystawę, jeżeli się nie mylę, pierwszą wystawę tych rozmiarów. Wystaw jest dużo na całym świecie, ale *tej wystawy* nie można pominąć milczeniem, może ona *znaczyć* w historii malarstwa polskiego.

Tych parę uwag w pośpiechu wśród «tiekuczek» spraw i sprawek chciałbym Janowi Cybisowi poświęcić.

W 1889 roku w «Galerie Petit» w Paryżu Monet wystawił 140 swych płócien; była to pierwsza jego zbiorowa wystawa. Rząd nagrał Moneta Legią Honorową, której reszta nie przyjął, a redaktor «Figaro» — («szaleńcami tkniętymi obłędem ambicji» nazywał impresjonistów jeszcze w 1876 r.) zaprosił go na obiad, ale i na obiad potężnego redaktora Monet się nie stawił. Zaproszenie to jednak było znamienne, dopiero wtedy, a więc 15 lat po pierwszej wystawie impresjonistów, Monet narzuca szacunek dla swej pracy przeciwnikom, narzuca swą wizję nie tylko garstce wyznawców i wtajemniczonych, ale światu.

Możebyśmy nie mieli naszego impresjonizmu, może nie byłoby tego przerzutu na Polskę, gdyby nie tamta wystawa, oglą-

dana przez dwóch wówczas nikomu nieznanych młodych chłopców, ledwo z Polski przybyłych: Podkowińskiego i Pankiewicza.

Kto dzisiaj w Poznaniu patrzy na obrazy Cybisa, może znowu jaki nowy Pankiewicz czy nowy Podkowiński?

A impresjonizm polski: «Targ na kwiaty» Pankiewicza, «Pani z parasolką» Podkowińskiego — to etap bardzo istotny tego wątku malarskiego, który się już potem nie urwie: poprzez Pankiewicza, a przede wszystkim szkołę Cézanne'a, przez polski postimpresjonizm pewnego okresu malarstwa Kapistów — doprowadzi do tego, co dość niejasno w Polsce nazywa się dziś «Kapizmem», a co jest budowaniem płótna kolorem.

Nie widziałem obrazów Jana Cybisa od 9 lat, poza jednym, na wystawie UNESCO. W artykule pełnym entuzjazmu Wolffa, malarza i przyjaciela artysty, w «Nowinach Literackich», za mało znajduje faktów, nie wiem nawet ile płócien Cybis wystawił, jaka jest różnica między płótnami nowszymi a przedwojennymi, czy pokazał także swoje rysunki i ile wystawił akwarel. Tą techniką się zaczął dopiero podczas wojny zajmować. Poza krytyką Wolffa, natrafiam na krótką notatkę o tej wystawie w «Kuznicy». Napisana jest w tonie pochlebnym, ale wstrzemięźliwym. Uznanie za przeszłość, zakłopotanie gdy chodzi o teraźniejszość. Malarstwo Cybisa «nie posunęło się zbyt daleko w poszukiwaniu nowych dróg i rozwiązywaniu nowych problemów artystycznych» (czy chodzi może o stosunek oporny do soc-realizmu?). Jest w tej notatce cień łaskawego lekceważenia: no tak, nie się Cybis nie zmienił w założeniu swoim od wojny, czy aby to malarstwo nie jest już dziś wsteczne, bo nie ma tam żadnej *nowej* problematyki, tylko kolor i kolor. Jakże mi się przypomniało to, co mówiono o Bonnardzie po tamtej wojnie, gdy nowe «izmy» gasiły sławę głębokich i subtelnych płócien Bonnarda. Zdaje mi się, że jest wielkie niebezpieczeństwo dla sztuki w jednostronnym kulcie aktualności, coraz to nowych, koniecznych corocznych «rewolucji». Nie jestem pewny, czy częściowo nie ponosi za to odpowiedzialności Picasso. Obok wielkiego talentu tkwiła w tym artyście zawsze nieukrywana chęć «epatowania». Te ciągłe skoki i zmiany Picasso miały w sobie coś z psychologii świetnej modystki: co roku nowy kapelusz który w początku gorszy, ale w bardzo szybkim czasie każda kobieta musi nosić właśnie taki kapelusz, żeby go po roku odrzucić jako niemodny. Tkwi w tym wielkie niebezpieczeństwo splotenia sztuki z niedolnością *dopracowania* się do swej wizji.

Jeżeli chodzi o Jana Cybisa trudno o bardziej wrogie i obce takiemu nastawieniu ustosunkowanie do sztuki. Trudno o bardziej przeciwny typ malarza. Sztuka Cybisa roznosi się po malutku nieznacznie, jak piękne drzewo, nurt jego pracy jest długofalowy, nie łączący się z czasem, a już tym bardziej z efektem, który wywołuje. Tak musiał pracować Courbet, tak pracował Corot, realizowali oni całe życie swoją jedyną wizję świata, tylko ją pogłębiając i wzbogacając.

Właściwie Cybis był zawsze ten sam. Naturalnie, że i on miał załamanie, miał lata, w których się bardzo męczył, były to okresy, kiedy nawet przestawał malować. Jak tylko jednak nurt malarzski powracał, obrazy Jana Cybisa harmonijnie się łączyły z obrazami jego przeszłości i mógłbym przysiąc, że ostatnie płótna Jana Cybisa można powiesić obok jego aktów z Akademii Krakowskiej z 1922 r. i że każdy czujny widz zrozumie jak bardzo te obrazy ze sobą się wiążą, jak są sobie bliskie.

Kiedy Jan Cybis przyjechał do Krakowa w 1921 r., nie znał jeszcze Francji, nie widział prawie wielkich galerii, ale kochał już Van Gogha i Cézanne'a, malował gęsto i miał już wtedy jakąś absolutną wrażliwość na kolor. Jego rysunki węglem, grubą kreską robione i za tamtych czasów posiadały czujność wobec której niełatwo do entuzjazmu Pankiewicz chrząkał z prawdziwym uznaniem. «Ibis ptak ponury», jakśmy go nazywali, był wtedy tak samo spokojny, tak samo nieznośnie nigdy się nie śpieszył, a kiedy nie miał z czego żyć, to tłumaczył najspokojniej: «jest bardzo trudno umrzeć z głodu — ludzie nie dadzą».

Nie istniało jeszcze wówczas pojęcie «kapizmu», które nierozdzielnie z imieniem Cybisa musi być związane.

Teraz w każdym artykule o malarstwie w Polsce mówi się o kapizmie, pozytywnie lub negatywnie. Dobrze byłoby jednak sformułować o co chodzi, już Jerzy Wolff w «Nowinach» zaznaczył, jak to pojęcie się dzisiaj rozplątało, jak straciło kontury.

Jeżeli chodzi o okres krystalizacji świadomości malarzkiej tzw. kapistów, lata 1924 (wyjazd do Paryża) po 1930 — (pierwsza wystawa w Polsce po powrocie z Paryża), trzeba mówić przede wszystkim o dwóch ludziach, wpływ ich na myślenie malarzkie i reagowanie malarzkie całej grupy, był wówczas decydujący. Tymi dwoma ludźmi byli Cybis i Waliszewski, ich ściąganie się, przyciąganie i odpychanie najwięcej oświeśla istotę ówczesnego Kapizmu.

Waliszewski przy pierwszym spotkaniu w Akademii Krakowskiej był dla Cybisa rewelacją «prawie Rafaelem». Bajeczna pomysłowość, genialna wrażliwość, chłonność na wszystko, na zło i na dobro tego nerwowego, wychudłego o palących oczach młodzieńca z Tyflisu, ośniewała nas wszystkich. Poprzez niego poznawaliśmy i tanią manieryczność sangwiny Jakowlewa i cudne miniatury perskie, poznawaliśmy ludowe malarstwo gruzińskie, a la Donatier Rousseau, kubizm i futurizm. Ten malarz znał już wtedy wszystkich wielkich malarzy. Przywiózł nam do Krakowa poprzez Tyflis Picassa, Grosza i Szagala, kochał się jednocześnie w Manecie i Rafaelu. Na każdym płótnie ówczesnym Waliszewskiego, w każdym jego rysunku znać było prawie chorobliwą mimikrę. Jego obrazy ówczesne jak te czerwone pierzyny na parkanie z domami o czarnych dachach (coś za herezja z punktu widzenia zasad czystego impresjonizmu, których nas wówczas uczyli), jego fantastyczne obrazy à la Donatier Rousseau, gdzie malował siebie z paletą wśród skrzydlatych

aniołów, albo księcia Poniatowskiego na romantycznym i fantastycznym białym koniu z różą w ręku, jego portrety rysowane kolorową kredką, którymi zarabiał na życie, myśląc o linearnych rysunkach Ingres'a ośniewały nas, a przecież Cybis wówczas miał jedną kolosalną nad Waliszewskim przewagę. Malował o wiele mniej, bez żadnych tematycznych efektów, był nieskończenie mniej błyskotliwy i nieoczekiwany, ale miał już wtedy kulturę kolorystyczną, wiedzę koloru i czujność na kolor wyższą niż Waliszewski. Gama Waliszewskiego wówczas była nierówna, podpatrzona nieraz u innych, niezawsze śpiwna. Dopiero wyjazd Waliszewskiego do Paryża rozpoczął drugi etap jego twórczości, Waliszewskiego kolorysty. Ile go kosztowało dotarcie i przyswojenie sobie kolorystycznej tradycji Francji XIX wieku, a poprzez nią wogóle dotarcie do głębokiej czujności kolorów, jak się męczył, że aż był bliski samobójstwa, pamiętają jego koledzy. To przejmował się Holendrami, tak że niektóre jego obrazy wydawały się pastiszem na malarstwo holenderskie, to podkładał się pod Utrilla, Moneta czy Maneta, to kopiował niebieską Madonnę Rafaela techniką pointillistyczną. W tym wszystkim była bujność i prawie picassowska pasja efektów, ambicja i do tego jeszcze chorobliwy pośpiech.

«No wy, to się możecie nie śpieszyć — powiedział kiedyś siostrze mojej i mnie — bo wy to będziecie żyli 70 lat, ale ja się muszę śpieszyć...» — i zamilkł.

Rzeczywiście, umarł mając 37 lat, po pięciu kolejnych amputacjach.

Jakże inaczej pracował Cybis. Miało się poczucie, że on to na pewno będzie żył nie 70, ale prawdopodobnie 700 lat. Nigdy śladu pośpiechu. Pozorna bezczynność przy nieustannym intensywnym trudzie świadomości, myśleniu o malarstwie. Ale to u Waliszewskiego było natychmiast widoczne na jego płótnie, każdy wpływ najróżniejszych w stylu swoim malarzy, każde obserwacja wzięta z ulicy; natychmiast przeniesiona na płótno, to wszystko Jan Cybis przetrwał dłużej, w myśli, w świadomości i przestrzeni dzielącej jego obraz od bezpośredniego wrażenia z zewnątrz była o wiele dłuższa. Była ona już transpozycją, zupełnie indywidualną przeżycia samego Cybisa wobec natury. Waliszewski od początku swej pracy nadawał również płótno gwałtownie własne swym płótnom. Niemniej jednak wiele lat przeszło, aż stworzył swój pełny styl malarzski.

W miarę lat, indywidualność Cybisa coraz bardziej waży w zespole kapistów. Pamiętam jego pokój na rue de Rennes, jego bardzo żółtą twarz. Żył w warunkach tak trudnych, chorował, bo nie jadł prawie tłuszczu i na pewno zginąłby marnie, gdyby nie opieka i gdyby nie nieustanna walka o byt świetnej malarki i jego żony Rudzkiej-Cybisowej. Czy w jakikolwiek sposób te warunki trudne zachęcały Jana do szybszego zorganizowania wystawy, bo przecież tylko przez wystawę można się było dać poznać, można było znaleźć «marchanda», żyć w warunkach mniej ciężkich. Ale Cybis słyszeć nie chciał w przeciągu długich

pięciu lat naszego pobytu w Paryżu o wystawie, a na pierwszy nasz pokaz w Gallerie Zak w 1929 r. trzeba było Cybisa wprost zgwałcić. Zawsze było to samo zdanie: «Nie mamy nic do pokazania, nie jesteśmy jeszcze gotowi». I jakże Cybis miał rację. Dało nam to możliwość paru lat pracy bez widzów. Wtedy gdy w Paryżu było po 200-300 wystaw równocześnie w różnych galeriach, wystarczyło pożyczyć trochę pieniędzy, poprosić jeszcze o protekcję Polską Ambasadę i już były obrazy wystawione, najdrobniejszy sukces usłużył korespondencji polscy reklamowali i rozdmuchiwali w naszej prasie jako «wielki sukces Polski», a jako skutek — można było liczyć na jakieś stypendium czy na jakąś pomoc. Nigdy tego rodzaju argumenty nie istniały w głowie Cybisa, ale też dlatego atmosfera tak czystej bezinteresowności malarskiej otaczała go zawsze.

Lata francuskie były chyba w życiu Cybisa okresem największego wysiłku świadomości malarskiej, odkrywał on wówczas nie tylko dla siebie wieczny elementarz prawd malarskich, coraz głębiej przenikał w matematykę działań barw i to była jego jedyna *idée fixe*. Kiedy mu rano w tamtych czasach żona mówiła, że mają już wszystkiego tylko 15 fr. w portmonetce, odwracał się do ściany i mówił: «to mnie nic nie obchodzi».

Już wtedy był nie tylko malarzem, ale świetnym pedagogiem. I w tym zajęciu nie żałował godzin i godzin swego czasu. Tutaj znowu jakże się różnił od Waliszewskiego, od którego wszyscy również tak wiele się uczyli. Waliszewski umiał błyskawicznie ocenić płótno, utrafił jednym słowem w najstarszy punkt malarstwa kolegi, zdruzgotał jednym dowcipem, ale umiał również być niezmiernie niesprawiedliwy. Zawsze w zależności od własnej pasji malarskiej, która się zmieniała co parę miesięcy. Zdarzało mu się wygłaszać niszczącą ocenę malarzy, których po latach cenił. Ale przede wszystkim różnica między Waliszewskim a Cybisem polegała na tym, że Waliszewski bardzo łatwo uważał każdego kolegę za «patałacha», a płótna jego za bezna-dziejne. Cybis na odwrót, *wierzył* że każdy malarz, najbardziej niezdarny, może dojść do malarstwa, byle naprawdę chciał myśleć, pracować, a przede wszystkim *patrzeć* (to co według Goncourtów jest nauką najcięższą dla każdego artysty). Już malarzy uratowała od rozpaczliwej ufności Cybisa w człowieka. Tu muszę sięgnąć do wspomnień osobistych, bo tak dobrze charakteryzują Cybisa. Byłem jednym z tych kolegów, których uczył poprzez długie dyskusje, a nawet przy płótnie z pędzlem w ręku, bez śladu zniecierpliwienia. Jeszcze w 1924 r., przed wyjazdem do Paryża, pokazałem mu portret własny w zielonych i czerwonych kolorach, wówczas zdawał mi się bardzo ważny, a wiele lat potem patrzyłem nań, zgrzytając zębami, tyle w nim było fałszywych zestawień. Cybis długo patrzył milcząc, a ja czekałem na jego słowa jak na wyrok. Nareszcie się odezwał: «Twoje obrazy nigdy nie mogą być jałowe (najgorszy to był wyraz w ustach Kapisty), bo one są potworne». Odczułem to jako pierwszy u Cybisa komplement. W jakieś 10 lat później, po rocznym

chyba niewidzeniu, odwiedził mnie Cybis w pracowni. Miałem wtedy wiele płócien. Przez parę godzin Jan Cybis je oglądał, przejrzał wszystkie, i bardzo mu się spodobały, cieszył się nimi. Na drugi dzień, przy przebudzeniu powiedział żonie: «Wiesz, mam takie wrażenie, jakby mi się syn narodził». Te obrazy były zupełnie różne od obrazów Cybisa, ale tu była właśnie wielka miara tego artysty, że nie szukał wcale «podcybisów» i umiał zachęcić kolegów, by szli własną drogą. O jedno mu chodziło tylko, by ta droga była naprawdę malarska. Takim był dla wszystkich kolegów. Cybis i Waliszewski mieli jedną cechę wspólną — nigdy w ich ocenach malarskich nie było «waty», tych słów, którymi się zapycha rozmowy o malarstwie na to, by mówiąc o obrazach które się lekceważy, nie zrobić przykrości rozmówcy lub prędzej nie zrobić *sobie* przykrości, mówiąc prawdę.

Indywidualność jednak Cybisa była na tyle silna, swoją widać, bardzo abstrakcyjną, tak urzekal przyjaciół, że nie jestem pewien, czy w niektórych wypadkach nie mógł być nawet szkodliwy wbrew własnej woli. Myślę tu właśnie o Waliszewskim. Były okresy, gdy Cybis ciążył na Waliszewskim może niezawsze szczęśliwie. Ten ostatni miał wspaniały dar «opowiadania». Równie dobrze mógł «opowiadać» o Don Kichocie, jak malować uczył renesansowe, portret Delacroix, czy nawet ilustrować Bacha. Wszystko co dosłyszał, co przeżył, krystalizowało się u niego w obrazie. Atomatyczność Jana Cybisa, stwarzała u Waliszewskiego poczucie, że jego tematyka jest świadectwem swojego rodzaju «art mineur». Nie było to wcale wyrozumowane, bo sam Cybis nigdy tak nie hierarchizował sztuki. Była to najprościej nadwrażliwość Waliszewskiego na ciężar; absolutna konsekwencja, ciągłość pozbawiona wszelkiej błyskotliwości obrazów kolegi, które ciążyły nad nim jak skały.

Chciałem tu poruszyć sprawę tematyki obrazu. Cybis wydawał mi się zawsze jednym z najabstrakcyjniejszych malarzy, których znam. Nie chodzi o to, czy na obrazie są nie nie przypominające zawijasy, czy parę figur geometrycznych zestawionych, czy na obrazie jest portret kobiety w tonach pomarańczowych i szafirowych czy zielone jabłka, na tle butelki chudej z bleu de Prusse i z twardym kożuchem kraplaków. W obrazach Cybisa, to zaczepienie o naturę, to pierwsze doznanie wobec danej rzeczywistości jest zawsze wyczuwalne, lecz chodzi mu w płótnie ostatecznie tylko o budowę poprzez działanie barwne, o jeszcze nową, nieoczekiwaną, jedyną kombinację kolorów. Jakże mało rozumiał malarstwo Słonimski, kiedy przed laty, pisząc o Kapistach, mówił, że Rywka układająca w sklepie na Nalewkach parę kolorowych chustek osiąga to, czego się oni doszukują w malarstwie. Tak samo można by twierdzić, że fuga Bacha albo kompozycja Debussy'ego nieczym się nie różnią od miłego dźwięku fujarki wiejskiego pastuszka.

Właśnie fuga najbardziej mi określa sztukę Cybisa. Fuga kolorystyczna. Jeszcze dziś pamiętam kombinację szafirów i różu

na płótnie «Kobieta przy stole» reprodukowanym w «Nowinach Literackich» i ostrą zielenią jabłek na płótnie «Stół». Nie w tym nie było z łatwej wypadkowości, a naprawdę odkrywcza matematyka barw.

Dzisiaj malarstwo polskie jakimi by drogami nie szło, nie może pominąć dorobku Jana Cybisa; powiedziałbym więcej, każdy malarz polski powinienby zaczynać od Cybisa jak od pieca, przejść jego surową, bogatą i trudną szkołę koloru, bo wtedy dopiero może się poczuć naprawdę wolny i dążyć na to, że jego fantazje, marzenia czy zainteresowania nie wyrzuca go na pozamalarskie manowce, na których zablądziły malarze historyczni XIX wieku z Matejką na czele. Malarzom, którzy przeszli tę szkołę, nie jest groźna ani literatura surrealistyczna w rodzaju Daliego, ani teorie soc-realizmu, który zniszczył malarstwo w Rosji, chciałby zniszczyć malarstwo i w Polsce.

Każdy malarz wie, ile w jego technice, w jego późniejszych nawykach, a nawet w jego wizji, jest skutków takich czy innych warunków życia, nawet takich czy innych gatunków pendzli, czy gruntów płótna do których przywykł. W okresie paryskim, a także i późniejszych polskich, gdzie warunki pracy Cybisa były zawsze bardzo ciężkie, Jan przywykł malować bez końca na jednym i tym samym płótnie. Czy podłożem tego nie było najprościej to, że każde płótno kosztowało, że o płótno było trudno. Obrazy jego stawały się ciężkimi przedmiotami, grube kołuchy farb leżały jedne na drugich. Sam pamiętam niektóre z nich w kilkunastu fazach i nie daruję Cybisowi martwej natury z gołębiem w delikatnych szarych, perłowych tonach, która po paru latach zamieniła się na inną o dominujących, ciężkich czerwieniach. To był już obraz zupełnie inny. Gdyby na miejscu Cybisa był Matisse, zrobiłby przynajmniej dwanaście płócien z jednego obrazu Cybisa. Jest obraz Chelmońskiego w Muzeum Narodowym w Krakowie, gdzie czajka lecąca na niebieskim niebie ma trzy skrzydła zamiast dwóch. Jedno skrzydło, zamalowane przez Chelmońskiego, ukazało się z powrotem po paru latach. Może Jan Cybis lekceważył ten moment, jak jego obrazy będą wyglądały za parę lat, co spod czego mu wydziej i znacznie nieoczekiwane grać, bo jedną z cech najbardziej charakterystycznych tego malarza jest, że proces poszukiwania jest dla niego zawsze ważniejszy od rezultatu. Obraz dla niego nigdy nie jest skończony. Ale tak nie mogą rozumować ludzie, którzy rozumieją całą wartość jego osiągnięć. Cybis wydaje mi się dzisiaj nie tylko najwybitniejszą postacią malarstwa w Polsce, ale chyba jedną z najświetniejszych i znaczących w Europie.

Dwa, trzy obrazy na zbiorowych i przeważnie wypadkowo dobranych wystawach zagranicą nie mogą pokazać czym jest Cybis. Dzisiaj zbiorowa wystawa tego malarza mogłaby być odkryciem dla Europy.

Józef CZAPSKI.

JÓZEF PIŁSUDSKI

1867-1905-1906-1914-1918-1920

1926-1935

*Pobladła noc doczesna. Widzę was na przestrzał
Jak małość wam obłazi czaszkę robaczywą,
Bledną pola bitewne, gdzieś z konia obwieszczal
Wolność i dumę waszą, i powiewał grzywą,
Płaski mrok chce mnie urzec, mrok co obłaskawi
Piorany przeznaczone, by zło tropić na dnie.
Żołnierze! Widzę trud wasz, pobici i krwawi,
Widzę kto zdradzi pierwszy, ostatni kto padnie,
Daję wam, co się we mnie do bólu natęży
I co zostanie potem dla was do zdobycia:
Moje góry ogniste, gdzieś błyskał z oręża
I rozcinał nim przyszłość. Góry mego życia.*

*Siałem wiatry śmiertelne. Jestem czoło burzy.
Lecę na niej, świat niosę i żyję bezdomnie.
Mój mił kurczawę wzbija. Gromem się powtórzę —
Biada, jeżeli pustym! Pustym dźwiękiem — po mnie.*

*Nie dam wtedy pardonu. Kto odstał, niech ginie.
Jak zbójcę zesła na was wyrok po wyroku,
Napadnie was złoczyńca i w ciemne jaskinie
Strąci, przeklnie i zniszczy. Uduście się w mroku.*

*Jeśli to będzie szatan — będzie sprawiedliwy,
Jeśli anioł — miecz włożę do ręki cheruba.
Konie moje, zarzyjcie! Wysoki i mściwy.
Skazuję was na wielkość. Bez niej zewsząd zguba.*

Kazimierz WIERZYŃSKI.

Najnowsza historia Polski

Na rumuńskim rozdrożu

(Fragmenty wspomnień)

...Droga ze szkoły w Kutach do mostu nad Czeremoszem nie jest długa. W normalnych warunkach wystarczyłoby kilku minut nawet na marsz pieszy. Teraz jednak — choć «jedziemy» autem — ten niewielki kilometr wydłuża się bez końca. Mija kwadrans za kwadrans, a my ciągle tkwimy jeszcze wśród domków i ogrodów ostatniego polskiego miasteczka. Jest już chyba godzina druga po północy, gdy zbliżamy się wreszcie na tyle do granicznego mostu nad Czeremoszem, że widać już wątle światła rumuńskiej Wyżnicy.

Po wielu dniach męczącego upału jest wreszcie zimno. Mży drobny deszczyk — ciemność nieprzenikniona. Posuwamy się wolno, krok za krokiem, zatrzymując się na długo co kilka metrów. Nie widać nic, czujemy jednak, że przed nami, za nami, obok nas — ścisł niewiarogodny. Przeladowane bagażem, przepełnione ludźmi wozy różnego typu — od olbrzymich ciężarówek i autobusów do małych motocykli — stłoczyły się w ciemności na drodze, jak ogromne stado owiec przed wąską bramą. Ktoś przyniósł z góry, z czoła naszej niesamowitej kolumny, niepokojącą wielu wiadomość, że Rumuni przepuszczają przez szlaban graniczny tylko po kilka aut naraz, — zatrzymują je za szlabanem, sprawdzają dokumenty, robią szczegółową rewizję — jak za najlepszych pokojowych czasów! Trwa to długo i stąd ten tłok na drodze, i to powolne tempo naszego posuwania się naprzód.

Poruszając się w ścisłku i ciemności — każdy co krok spotyka się z przeszkodą i sam z kolei staje się przeszkodą dla wozów, idących z tyłu i z boków. Ludzie, przybici nieszczęściem — wyszarpani moralnie, znużeni i zmęczeni fizycznie — nie panują już nad nerwami. Co chwila wybuchają awantury i wzajemne wymyślania. Oto sypie się gdzieś w pobliżu grad soczystych, ordynarnych przekleństw. Trochę dalej ktoś obiecuje ko-

goś «wyrzucić w pysk», ktoś inny radzi «nie pchać się tak na przód» i grozi «pobiciem mordy». Ktoś klunie szpetnie, bo w ciemności i tłoku uszkodzono mu wóz; chce to obejrzeć, zapala światło, wywołuje jednak zgodną falę protestów: — «co to za cholera, gasić, psiarew, gasić!...» Jakaś pani błąka się długo wśród wozów, zwalając pogubione w ciemności dzieci. Brzmienia początkowo w jej głosie irytacja przeradza się stopniowo w niepokój, w trwogę, w rozpacz. Po kwadransie jeszcze słychać, jak bezradna już i zrozpaczona, głosem łkającym tłumaczy komuś, że zgubiła nie tylko dzieci, ale i męża, który poszedł szukać i zginął w ciemności, nie wraca!...

Awantury i wzajemne wymyślania nie trwają długo. Wybuchają i gasną szybko, jak szczypta podpalonego prochu. W przerwach słyszę urywki rozmów, przeważnie na temat szlabanu granicznego. Wszyscy chcieliby przekroczyć ten szlaban jak najprędzej. Są w tym jednak pewne odcienie i jaskrawe nawet różnice. Oto słyszę, jak pani jakaś mówi smutnie, że ta chwila przejścia granicy przypomina jej ciężki moment śmierci kochanego brata. Siedzący przy niej mężczyzna dziwi się: dlaczego? skąd takie porównanie? «O, mój drogi, — odpowiada pani — gdy ktoś bliski umiera w męczarniach, na które leków ani rady nie ma, to przecież nad naszym żalem i rozpaczą, nad pragnieniem, by został z nami i żył jeszcze, — góruje westchnienie, by skonał i przestał się męczyć, skoro ratunku nie ma!... Tak samo jest w tej chwili — nie ma dla nas innego wyjścia, nie ma powrotu, więc chciałabym jak najprędzej przestąpić ten straszny, fatalny próg!... Ale pani ta w otaczającym nas tłumie stanowi raczej wyjątek. Wielu wzdycha do szlabanu, bo po dwóch tygodniach najtragiczniejszej wędrówki, zmęczenia, utrapień — chciałoby się wyrwać wreszcie z koszmarnego kręgu oszalałych, wstrząsów i ciosów, — chciałoby swobodnie, po ludzku, odetchnąć, odsapnąć, odprężyć się nerwowo i fizycznie — łaskniać do dachu nad głową, do jakiejś kąpieli i czystego łóżka, do nieba wreszcie, na którym nie będzie nekających samolotów niemieckich. Odzywa się przy tym wszystkim obawa przed zbliżającymi się Moskalami. Krążą tu niesprawdzone plotki i zażajacymi się domysłami. Ktoś boi się przy tym, czy ludność ukraińska nie złakomi się na wywożone z Polski «takie bogactwa», ktoś inny — a takich jest chyba najwięcej — ze strachem myśli o świecie: czy nie nadlecą samoloty niemieckie i czy nie zbombardują tego skupienia ludzi i wozów? Obawy te, podsycane co chwila, wyrażają się w rosnącym zniecierpliwieniu, w coraz głośniejszych pretensjach do Rumunów: czego «ci dranie» — «te dziady» tak marudzą? i czy w ostatniej chwili granicy nie zamkną?

Wszystkie te rozlegające się dokoła westchnienia i pragnienia, troski, obawy i niepokoje nie budzą jakoś we mnie żadnego

oddźwięku. W bardzo powolnym i przerywanym ruchu ciężarówki znajduję trochę ulgi dla siebie. Jest w tym coś w rodzaju wdzięczności — nie wiem nawet już dla kogo — dla «marudzących» Rumunów, czy dla stłoczonych przed nami wozów? Siedząc w głębi ciężarówki — patrzę uparcie przez jakąś szparę w czarnej noc. — «To jeszcze Polska!»... — powtarzam sobie w duchu. Tak mi trudno, tak boleśnie ciężko oderwać się od ziemi ojczystej, że chwilę pożegnania z nią chciałbym przedłużyć jak najbardziej.

Czuję zresztą, że mijając powoli te ostatnie skrawki polskiej ziemi, — żegnam się nie tylko z Ojczyzną. Z uczuciem bolesnego rozdarcia w sercu — z lękiem nawet oczekuję ukazania się w ciemności szlabanu granicznego. Mój Boże — ileż to razy, jakżeż często w wygodnym samochodzie, w łagodnie kołyszącym polskim pulmanie, czy też w cichym, wystanym dywanami międzynarodowym sleepingu przekraczałem linię granicy Polski. Zawsze pod warstwą uczuć, wywożonych wówczas z kraju, tkwiła w głębi mocno, jak kamień węgielny w gmachu i jak ten kamień niedostrzegalna pewność, że po kilku dniach czy po paru tygodniach wrócę do siebie, do swego domu, do swej rodziny i przyjaciół, do ukochanych ksiązek i przerwanych prac...

A teraz? Teraz szlaban graniczny urasta do rozmiarów tragicznie ponurego symbolu. Nie tylko stanie się olbrzymią i nieustępliwą przeszkodą na drodze powrotnej do mego «domu», do wszystkiego, czym dotąd żyłem, co uważałem za najbliższe dla siebie, za najdroższe i niezastąpione. Streszcza on w sobie przeraźliwie okrutną prawdę o tych siedemnastu dniach września i kryje tajemnicę nowego, zgoła innego, jutra. Innego i nowego nie tylko dla mnie i nie dla tego tłumu biednych ludzi, stłoczonych przed granicznym mostem, lecz dla paru żyjących dziś pokoleń, dla całego narodu, dla całej Polski!...

Tak, — zaraz za szlabanem otworzy się przed nami nowa droga. Droga ciernista, daleka i, co najcięższe — długa! Nie sądziłem w owej chwili, by sojusznicy nasi wobec naszego militarnego załamania się chcieli i mogli wycofać się z wojny. Ani cienia takiej wątpliwości nie miałem, niepokoiłem się jednak, że Anglicy swój wojenny wysiłek rozłożą na kilka lat. Natrętnie przypominały mi się fragmenty krzemienieckich jeszcze z kochanym Sewerem rozmów i wrażeń, które — jak wiem to dziś — były wiernym, choć niepełnym echem dramatycznej rozmowy ministra Becka z obu sprzymierzonymi ambasadorami: obowiązek udzielenia Polsce natychmiastowej pomocy nie został wykonany, — jest tylko «plan długofalowy» i zapowiedź wojny co najmniej na trzy lata. Trzy lata! Jezus, Mario! Trzy lata z dala od kraju! — jak to przeżyć? jak wytrzymać? Z żalem, który przeradza się chwilami w jakieś tkliwe współczucie dla samego siebie, myślę o tym, jak to uparcie chciałem wrócić do Warszawy, jak próbowałem płynąć przeciw prądowi. Niestety, prąd czy los porywał mnie, niósł z powrotem! Jak tonący

krzaków, chwytalem się wszystkiego, by się prądowi oprzeć. Na próżno! Zaniósł mnie oto do rumuńskiego szlabanu, a teraz gdzie poniesie?

...Muszę zawrócić wspomnieniem wstecz, cofnąć się o kilkadziesiąt godzin. Kuty — sobota 16 września. Dziś — gdy z oddalenia, już po kilku latach, patrzę w treść tamtych dni, sądzę, że to tylko silne odruchy samoobrony wewnętrznej nie pozwalały mi dostrzegać tam smutnego, bolesnego, przynębiającego obrazu strzępów naszej państwowości. Wewnętrznie nastawiony byłem w innym kierunku. To, co się już stało, odbiegało tak potwornie daleko od najgorszych nawet przewidywań, było tak diametralnie różne od wszystkiego, czego się można było spodziewać, że instynktownie odwracałem się od rzeczywistości, która mogła i musiała przecinać najbrutalniej ostatnie wątle korzenie złudzeń. Z jakąś nieprawdopodobnie upartą siłą — zapewne siłą rozpacz — podtrzymywałem oburącz swe nadzieje, wierzyłem, wmawiałem w siebie, że wszystko to się zmieni musi, że nastąpi szczęśliwy zwrot na naszym froncie, że do diabła! — ruszą się nareszcie nasi sprzymierzeńcy na zachodzie!...

...Rozstawione na skrzyżowaniach dróg posterunki policji i żandarmerji pilnować miały, by nieuprawnione wozy i osoby nie przenikały do Kut, Kosowa i okolic, zajętych przez naczelne urzędy państwowe. Mimo to do Kut przedarło się różnymi drogami i pod różnymi pretekstami dużo ludzi, niewiele lub zgoła nie wspólnego nie mających z naszym ministerstwem. Jest już wielu dygnitarzy, wielu różnych dyrektorów, posłów na sejm i senatorów, wielu obcych nam urzędników z innych resortów, poza tym sporo dziennikarzy, kilku aktorów, paru literatów, wreszcie niemało uchodźców z różnych stron Polski, bo spotykam wśród nich i swoich znajomych z Krynicy, z Krakowa, z Warszawy. Małeńkie domki przepelnione są po brzegi. Niewielka miejscina, nieprzygotowana na taki nagły najazd, została szybko ogołocona ze swych zapasów. Już w drugim dniu naszego pobytu brakowało chleba, nie było papierosów, ani zapalek, w kawiarniach i cukierniach nie już poza wstrętą lurą nie można było zdobyć, bawiące zaś swoją nazwą «pokoje do śniadań» — małe restauracyjki — wydawały już w ograniczonych ilościach tylko gotowane jarzyny lub kluski, skąpo polane słoniną. W mieście, zwłaszcza na rynku i w uliczkach, wiodących do mostu granicznego, pełno aut różnego typu. Ludzie pomęczeni, niewyspani, zdenerwowani, źli — błędzili niespokojnym wzrokiem między niezachmurzonym niebem, skąd ciągle oczekiwano niemieckich nadołów, a leżącym tuż rumuńskim brzegiem Czeremoszu, oddychającym równo, spokojnie, bez ucisków tej przeklętej zimy z powietrza...

...U nas, wewnątrz ministerstwa, coraz większy, niestety,

rozkład, coraz głębsza dezorganizacja, coraz jaskrawszy upadek dyscypliny. Nie przestaje z tym walczyć energiczny, ruchliwy i — jak zawsze — niezmordowany dyrektor Drymmer. Tłumi też, gdzie może, nierzad w sposób gwałtowny, może brutalny, objawy małości ducha, defetyzmu, nawet paniki. Jest w naszym zespole dużo kolegów, mocnych wewnątrz, opanowanych, spokojnych w obliczu nieszczęścia, zawsze gotowych do największego wysiłku i pracujących dużo, bez niemądrych problemów kompetencyjnych, pracujących wszędzie, gdzie jest coś do zrobienia. Jest jednak również sporo ludzi, albo wyczerpanych już doszczętnie i nie panujących nad nerwami, albo po prostu ludzi teńszych, i ci, i tamci podchwytyją każdą plotkę, rozdmuchują ją, wyolbrzymiają — w ośpieniu czy ze zwlerzęciem raczej strachem patrząc wciąż w błękit nieba, oczekując każdej chwili nalołu i wyrwijając się całą duszą na rumuńską stronę.

O jakiegokolwiek sensownej pracy mowy właściwie nie ma. Pracuje w gruncie rzeczy tylko minister wraz z najbliższym swoim sztabem. Dział paszportowy, znacznie powiększony, obłożony przez tłum, od świtu do nocy wystawia paszporty zagraniczne i wizy wyjazdowe dla tych, którzy muszą czy chcą wyjechać do Rumunii, lub dalej na zachód. Gruchnęła panikarska wiadomość, że bez paszportów zagranicznych Rumuni «nikogo nie przyjmą» — nawet stali mieszkańcy Kut stoją godzinami w tym tłumie! Poza tym jeśli się coś u nas robi — to dorywczo, w sprawach, wyrastających na tle lokalnych warunków i potrzeb. Oczy wszystkich zwrócone są na nasze ministerstwo, najrozmaitsi ludzie przychodzą z mnóstwem różnych spraw, przynoszą żądania najprzedsiewzięjsze. Niektórzy tylko wykazują tu umiar i takt. W tym morzu próśb, żalów, pretensji, pływa bez wytechnienia garstka kolegów. Większość urzędników wałęsa się lub sterczy po korytarzach Sądu Grodzkiego, gdzie próbowano zorganizować nasze biura dla normalnej pracy, inni wleczą się po mieście, szukają lepszych dla siebie kwatery, wygrzewają się na słońcu, przesiadują godzinami po ogłotoczonych euklierniach, odwiedzają się wreszcie po kwaterach, pocieszając się nawzajem lub karmiąc najdziwniejszymi plotkami.

... W sobotę 16 września, w popołudniowych już godzinach, dowiedziałem się, że nasz konsul w Czerniowiecach, p. Buynowski, zgodnie z otrzymanym poleceniem, omówił już z władzami rumuńskimi sprawę przyjęcia uchodźców z Polski. Uchodźcy cywilni przyjmowani być mogą na wszystkich punktach granicznych. Otrzymać tam mają pozwolenie na pobyt w oznaczonych miejscowościach, do których przewiezieni mają być pociągami — bezpłatnie. Zastrzeżenia zrobiono, niestety, dla Żydów, Rumuni przyjmować ich nie chcą i dotąd nie udało się złamać ich twardej niechęci. Buynowski donosił ponadto, że władze rumuńskie zgodziły się na przyjęcie i skupienie w jednej z wybranych miejscowości żon i rodzin urzędników naszego ministerstwa. Dowiaduję się też niebawem o ostatnich zarządzeniach, które mówią, że w istniejących warunkach i tu —

jak poprzednio w Krzemieńcu — nie można zatrudnić wszystkich, ale też nie może być tak, by ludzie tkwili w demoralizującej bezczynności. W zredukowanym z konieczności ministerstwie pozostać muszą tylko ci, co mają ściśle przydzielone zadania. Nieprzydzieleni, nie mający konkretnej pracy, muszą Kutę opuścić — z tym, że będą traktowani jako rezerwa i — w miarę potrzeb i możliwości — będą powoływani do pracy. Kto chce — może ewakuować się do Rumunii, komu to nie odpowiada — ten otrzyma kilkumiesięczny urlop płatny; może zamieszkać w dalszej nieco okolicy Kut, może — jeśli czuje się na siłach — wracać w głąb kraju. Dowiaduję się też ku swemu zmartwieniu, że należą — do zespołu, który w Kutach pozostać musi.

Jednocześnie jednak z tą zapowiedzią ewakuacji nadleciała do Kut wieść o zwycięstwie Sosnkowskiego pod Lwowem. Wieść mówiła o rozbiciu kilku dywizji niemieckich, o tysiącach wziętych jeńców, o dwustu czołgach i wielu działach, zdobytych lub zniszczonych. Dla wszystkich właściwie staje się to źródłem radosnego podniecenia — czuje się dokoła powiększoną ufność. Niektórzy jednak i teraz nie ukrywają swego sceptycyzmu: «za dobre to wiadomości, aby w nie wierzyć!»... Osobiście odczułem to — w swej upartej wlerze — jako szczęśliwy dla nas zwrot — jako pierwsze drgnienie wskazówki wydarzeń w kierunku na naszą korzyść. Cóż za ulga!

W radosnym podnieceniu wpadam na parę minut do swej kwatery, by podzielić się z Marysią tymi wiadomościami i raz jeszcze powziąć wspólną decyzję. Co robimy? Oczywiście — odrzucamy zgodnie możliwość wyjazdu do Rumunii. Więc cóż? Zastosować się do zarządzenia i trwać tu — w Kutach — na wyznaczonym posterunku? Odzywa się poczucie obowiązku i służbowej dyscypliny, tym silniejsze, że widzę, jak wielki już jest rozstrój i zamęt. Jednocześnie jednak — w tych nowych warunkach — widzę możliwość innego rozwiązania. W ciągu tych dziesięciu upiornych dni, na koszmarnym szlaku ewakuacji — biernego, bezradnego uchodźstwa przed toczącą się lawiną — narastał we mnie bunt. Nie mogłem znieść tego obmierzłego i upokarzającego poczucia! Kilkakrotnie — w Nałęczowie, Chelmie, Krzemieńcu — szarpałem się ze swoimi władzami, żądając zwolnienia lub co najmniej dłuższego urlopu. Zanim zostałem urzędnikiem — byłem zawodowym porucznikiem artylerii i właśnie teraz, gdy kraj mój stoi w ogniu, za najpilniejszy swój obowiązek uważam powrót do koni i armat. Władze wszakże słuchały tego niechętnie, przedłużając się dyskusję zamykającą stwierdzeniem, że jestem w ministerstwie potrzebny. W najlepszym razie kazano mi czekać. Tak — klóć się i czekać — dotoczyłem się do Kut. Spróbuję więc wrócić do tej sprawy dziś — skoro tylu kolegów odchodzi na urlop lub wyjeżdża do Rumunii. Plan mój nie jest zbyt skomplikowany, choć nie jest łatwy. Celem głównym jest dotarcie do broniącej się jeszcze Warszawy. Zdaję sobie sprawę z przeszkód,

jakie tu spotkać mogę, to też w najgorszym razie chcę dostać się do Lwowa lub jego okolic. Mam tam siostrę, mam wielu przyjaciół i znajomych, bo przez szereg lat służyłem tam w pułku artylerii. Mam nadzieję, że zawierucha wojenna nie wszystkich wygnała z domu na wędrowną. Kogoś przecież znajdzie — zostawię Marysię pod pewną opieką, po czym zaraz zgłoszę się do wojska...

Z tym postanowieniem idę szukać Drymmera. Znałem go od osmiu lat — od chwili, kiedy pracować zacząłem w ministerstwie. Zawsze miałem z nim stosunki jak najlepsze. Nigdy nie był on moim szefem bezpośrednim, nie uchylałem się jednak od przyjęcia na siebie dodatkowych ciężarów, jakie mi nieraz podrzucał. Współpracowałem z nim niewiele wewnątrz ministerstwa, znacznie szerzej i poważniej poza jego obrębem. Tak było np. z wielką encyklopedią o *«Polsce i Polakach w cywilizacjach świata»*, której redakcję objąłem i prowadziłem przez parę ostatnich lat na skutek jego żądań i nacisków i przy stałej, rzetelnej z jego strony pomocy i całkowitym poparciu w wypadkach spotykanych trudności. Teraz szedłem do niego z silnie grającą pretensją i niezadowoleniem. To on przecież decydował o tych Kutach dla mnie! Niosłem w sobie ładunek dynamitu. Zaraz mu to rzucę! Wobec poprzednich niepowodzeń w tej sprawie, byłem przygotowany na rozmowę długą i ciężką. Ale ku memu radosnemu zdziwieniu Drymmer tym razem «walczyć» nie chciał. Wystuchawszy mnie — po krótkiej chwili namysłu odpowiedział zgodą. Zamknąwszy drzwi na klucz, by nikt nam nie przeszkadzał, zaczął mówić o sytuacji. Jest ciężka, szczerze mówiąc — już prawie beznadziejna. On sam nie traci jeszcze nadziei na pomyślny dla nas zwrot, ale trzeba się liczyć z możliwościami najgorszymi. Zwycięstwo lwowskie Sonsnkowskiego podnosi na duchu — ale czy to przechyli szalę wydarzeń? Sojusznicy nasi na zachodzie wciąż nie robią nic. Wypowiedzenie przez nich wojny jest wciąż aktem symbolicznym. Wbrew zawartym umowom i przyjętym zobowiązaniom, bezczynnie przyglądają się naszej walce — naszemu rozpaczliwemu, w całkowitym osamotnieniu borykaniu się ze straszliwą niemiecką przewagą. Przez swoich tu przedstawicieli zapowiadają — poufnie, rzecz jasna, — że ich generalna ofensywa rozpocznie się 17 września, to znaczy jutro. Daj Boże! ale były już z ich strony inne zapowiedzi, niedotrzymane niestety. Pozostawieni w dalszym ciągu sami sobie tylko — zdolamy jeszcze czas jakiś bronić się tu, w tym kącie Małopolski. Ale i ten opór nasz może być złamany. Wówczas Prezydent, rząd, a z nimi i nasze ministerstwo będą musieli opuścić Polskę, by w oparciu o sojuszników prowadzić walkę dalej. Może zdolamy jeszcze utrzymać się dłużej na tym skrawku Małopolski; może zdolamy go rozszerzyć, ale liczyć się trzeba z tym, że jeśli nie wszystkie władze państwowe, to Prezydent z częścią rządu i naszym ministerstwem będzie musiał opuścić terytorium Polski, bo tu w niestychanie trudnych warunkach wojennych nie-

możliwe jest prawie kierowanie sprawami państwowymi.

Drymmer nie mógł jeszcze przedstawić mi swego planu w pełni, nie dlatego, by ze względów konspiracyjnych musiał coś przede mną ukrywać, lecz po prostu dlatego, że wypadki toczą się zbyt szybko — nie wiadomo jeszcze, jak się warunki ułożą, nie wiadomo też, gdzie będzie nasze ministerstwo — tu, na tym skrawku ziemi polskiej, czy zagranicą, na zachodzie. Zasadniczo wszakże celem jego dążeń jest skupienie w kraju, w ramach jakiejś tajnej organizacji ludzi, którzy chcieliby pod okupacją, w najcięższych warunkach, pracować w dalszym ciągu dla Państwa, i którzy przy tym byłiby zdolni do śmiałych, a nawet i niebezpiecznych wysiłków. Okupant niemiecki jest naszym wrogiem śmiertelnym — dopóki panoszyć się będzie na zajętych obszarach, dopóty trwać musi rozważna walka o naszą wolność — walka nieprzerwana, nieustępliwa, zacięta. Zadania będą podzielone. Może z czasem w pewnym odłamie organizacji będzie to w stosunku do okupanta praca bojowa, walka orężna, może w innym dywersja polityczna i wojskowa. Zasadniczym jednak celem jest praca polityczna dla Państwa, pod sztandarem z nazwiskiem Marszałka Piłsudskiego. Niektórzy piłsudczycy — nawet najszczerzy — są pogrążeni w biernej kontemplacji, w atmosferze uwielbienia i kultu dla wielkiej postaci. My — nie wychodząc z tej atmosfery kultu — powinniśmy być jak najbardziej czynni. Musimy z poświęceniem wszystkich sił pracować w duchu wskazań Marszałka — wskazań zawsze żywych, a dziś przecież jeszcze bardziej aktualnych.

Przechodząc do szczegółów, Drymmer stwierdził, że z myślą o takiej pracy, akcję rozsiewania ludzi w kraju, rozpoczął już nazajutrz po opuszczeniu Warszawy i rozszerzał ją w miarę. Jak front nasz przesunął się na wschód. Już z Kazimierza skierował w tym celu do Warszawy kilku ludzi — moich kolegów z ministerstwa. Paru odeszło z Krzemieńca. Teraz — z Kut — ma zamiar wysłać jeszcze kilku. Sam też bardzo pragnie wrócić w głąb kraju i tam pracować. Na razie jednak — z rozkazu ministra — wobec niepokojącego rozstroju i dezorganizacji w ministerstwie — musi pozostać jeszcze w Kutach. Moje ściślejsze zadania wyłonią się z czasem, w zależności od warunków i potrzeb. Na razie rola moja polegać by miała na stworzeniu w Warszawie tajnej «centrali adresowej» — do mnie przychodziłoby wysłannicy, łącznicy i nowi ludzie, przeze mnie utrzymywano by łączność z innymi punktami, poza tym miałem sam ciągnąć sieć tajną na wszystkie strony — wciągać stopniowo ludzi pewnych, przede wszystkim kolegów, którzy w ogóle Warszawy nie opuszczali. Traktując te zadania bardzo poważnie — Drymmer apelował, bym zrezygnował z myśli wstąpienia do wojska. Próbowałem jeszcze bronić tej swojej ostrej tęsknoty i szukałem drogi, która pozwoliłaby pogodzić jedno z drugim. Drymmer nie nalegał, ale i swej nowej propozycji nie cofał. Rozmowę naszą zamykaliśmy akcentami pojednawczości. Otrzymałem więc — wraz z pseudonimami — adresy osób, wcią-

niętych już do powstającej sieci, podałem kilka adresów swoich — głównego w Warszawie i pomocniczych we Lwowie, Krakowie i na prowincji. Wymyśliłem na poczekaniu pseudonim dla siebie, ustaliliśmy z grubsza zasady korespondencji konspiracyjnej, przyjęliśmy szereg hasel, ponadto otrzymaliśmy znak rozpoznawczy: małą, łatwą do ukrycia czy zniszczenia szmatkę białego jedwabiu z wyciśniętą na niej najmniejszą pieczęcią ministerstwa i z wypisanymi tuszem w jednym roku tajemniczym: «K. 7» oraz charakterystyczną parafą Drymmera.

Reszta tego pamiętnego dla mnie wieczoru utonęła w kłopotliwej sprawie wyszukania parokonnej bryczki i w pożegnalnych rozmowach z kolegami. W Kutach Starych, gdzie się ulokował Gabinet Ministra, koledzy żegnali mnie z odcieniem ni to zdziwienia, ni to podziwu dla mojej determinacji. Może niejedynemu posadzał mnie w duchu o demonstrację tylko, chociaż co prawda wszyscy byli tu pod wrażeniem najświeższych szczegółów o zwycięstwie Sosnkowskiego, które — otwierając jaśniejsze perspektywy — musiało zmniejszyć i stopień tej mojej «determinacji». Powiedziano mi tu, że oprócz mnie, wyrusza jutro do kraju pani Jadwiga Prażmowska, kilku woźnych i paru nieznanych mi bliżej urzędników. Przedzierać się do kraju ma również ambasador Lipski, który — nie od razu wypuszczony z Berlina — daleką, okrężną drogą dotarł dopiero wczoraj do Kut, by tu — na ostatnim skrawku Rzeczypospolitej — zameldować panu Prezydentowi swój powrót po wypełnieniu powierzonej mu misji. Sądziłem, że nie powinienem odjechać bez pożegnalnego meldunku u ministra. Ale sekretarz rozwiódł bezradnie ręce: jak ma to zrobić? kiedy i jak mnie «wcisnąć»? Pokazał mi swój notatnik — od rana było już u ministra wielu obcych dyplomatów i naszych dygnitarzy, teraz wieczorem — czekają lub mają być przyjęci nuncjusz papieski, ambasador Francji, ambasador Biddle, potem Arciszewski, Jędrzejewicz, Raychman, Raczkiewicz.

Gdy przez tonące już w ciemności i zatłoczone uliczki wróciłem do domu — przywitał mnie głos przemawiającego poprawną polszczyzną niemieckiego speakera z Wrocławia. Mówił — zachłystując się wprost radością — że naczelne władze polskie przygotowują się już do przekroczenia rumuńskiej granicy. Stwierdził poza tym, że Prezydent jest w Śniatyniu, minister Beck w Kutach, marszałek Rydz-Śmigły w Kołomyi. Wylawszy kubły błota na temat «panicznej ucieczki rządu polskiego» — podawał na zakończenie znaną już nam wiadomość o ogłoszonej «wielkiej mobilizacji» w Sowietach, z nowym dodatkiem o poważnej koncentracji wojsk sowieckich nad polską granicą. Z nieukrywana satysfakcją bełkotał: wiadomo, jakie należy wyciągnąć stąd wnioski — powodów do radości nie ma tu tylko rząd polski!...

ko, o bladoróżowym świetle. Miasteczko — spowite lekką, chłodną mgłą — spało jeszcze. Zapowiadał się znów dzień piękny, słoneczny. Nasz młody Hucul niespokojnie rozgląda się wciąż po błękitie bez chmurki. Chłopak boi się zresztą nie tylko samolotów niemieckich. Raz po raz stwierdza, że na północ — w naszym kierunku — nie jedzie nikt, natomiast często, bardzo często mijają nas auta, przeładowane ludźmi i walizkami, zakurzone, obłoczone, oblepione świeżymi lub zeschniętymi już gałęziami. Myślą — podnieconą i rozradowaną — błąkam się między swoim zamkniętym już «wczoraj» a czekającym niewiadomym «jutrem». Wydarłem się przecież z tego ewakuacyjnego koszmaru! Z lekkim, uskrzydlałym uczuciem — jak po zrzuconiu z ramion nieznosnego ciężaru — wkraczam na nową ścieżkę... Którędy też pobiegnie i gdzie mnie zaprowadzi?

Niestety!... Po paru godzinach jazdy — gdy słońce było już wysoko — od strażników granicznych, którzy zatrzymali nas dla sprawdzenia dokumentów, dowiedziałem się o wystąpieniu Rosji. Uczulem w owej chwili jakby powiew otwierającej się przed nami otchłani!...

...Strażnicy nie wiedzą nie poza tym, że kawaleria i czołgi sowieckie przekroczyły granicę. Starostwo w Śniatyniu kazało im być w pogotowiu i czekać dalszych rozkazów. Próbuje kilkakrotnie połączyć się z Kutami, tam jednak wszystkie telefony są stale zajęte. Nie odpowiada również Śniatyn. Co robić? Wracać do Kut za nic w świecie nie chcę! Trudno jednak kontynuować podróż, gdy się nie wie, co nas czeka za najbliższym zakretem. Strażnicy radzą wracać, przepowiadając, że bolszewicy w najlepszym razie obedrą nas ze wszystkiego. Nie, wracać nie będę! Postanawiamy tedy wstąpić do znajomych państwa J., właścicieli folwarku w odległości kilku kilometrów stąd — dalej na północ.

Gdy dziś, przez zwąły przeżyć wojennych, przebijam się wspomnieniem do tego dworu — widzę zalewającą nas przez radio i telefony falę fatalnych wiadomości. Chaotyczne spłoty różnych, nieraz sprzecznych szczegółów układają się przecież w obraz ciemny, ponury, jak najbardziej złowróżbny. Czołgi sowieckie, przeciągwszy naszą drogę, wkroczyły już do Czortkowa. Niektóre oddziały polskie witają wkraczających Mongołów ogniem i walczą, inne nie stawiają oporu, nie są jednak ani brane do niewoli, ani rozbrajane. Krąży dzika pogłoska, że Sowiety śpieszą Polsce z pomocą i idą walczyć z Niemcami. Ale radio niemieckie wita czerwoną szarancę jak swoich sojuszników. Moskwa zaś stwierdza, że «bohatera armia sowiecka» wyzwala Ukraińców z «polskiego pańskiego jarzma». Wiemy również, że żydowska ludność w miasteczkach, prowadzona przez ujawniających się komunistów, buduje na powitanie bramy triumfalne, wywiesza masowo czerwone chorągwie. Po wsiach przeważnie panuje jeszcze spokój, ale mamy też już wiadomość, że gdzieś pod Zabłotowem zamordowano w bestialski sposób parę rodzin uchodźców z Polski zachodniej — a były tam kobiety i

... Wyruszyliśmy z Marysą w niedzielę, 17 września, raniut-

nawet dzieci! Pod Czortkowem zginęło śmiercią męczeńską kilku oficerów i żołnierzy, napadniętych o świcie zniemacka przez komunistów, Ukraińców i Żydów. Z sąsiednich dworów nadbiega wiadomość o agresywnej postawie wsi ukraińskiej — o coraz śmielszych żądaniach, Zabójstw tu jeszcze nie ma, ale porozbijano już śpichrze, podzielono obory. Dwór, w którym jesteśmy, miał ponoć zawsze jak najlepsze stosunki ze wsią, ale i tu chłopci zgłaszają się już z szeregiem żądań, ostaniając je jeszcze stwierdzeniem, że to przecież będzie «sprawiedliwiej», jeśli dobytek dziedzica przejdzie do ich rąk, a nie stanie się łupem czerwonych żołnierzy.

W strasliwym zamęcie myśli i uczuć, szukamy gorączkowo drogi dla siebie. Co robić? Cała rodzina państwa J. powstrzymuje nas przed dalszą jazdą na północ. Tu, we dworze, również nie powinniśmy zostać. Po długich rozważaniach znajdujemy wreszcie wyjście: jechać bezzwłocznie w okolice Żabiego. Pan J. ma tam zaufanego człowieka, który przez wiele lat był tu, we dworze, gajowym, a teraz siedzi w górach na jakiejś rządowej leśniczówce. Możemy tam przeczekać pierwszy najgorszy tydzień, potem zjechać w dół lub górami przedzierać się na Stanisławów — i dalej. Pan J. ma pisać do tego gajowego list, ostatecznie jednak decyduje się jechać razem z nami. Pani J. i córki proszą go o to ze łzami w oczach. Z chłopami na wsi zawsze żyło się tu w zgodzie, im — kobietom — i ze strony bolszewików nie nie grozi, a wiedzą, naczytały się i nasłuchiwały dość o stosunku Moskali do oficerów. Pan J. był przecież pułkownikiem w armii Hallera. — Niech więc teraz jedzie w góry, pod Żabie, a po tygodniu się zobaczy: jeśli będzie można — to wróci. Pan J. długo ze sobą walczy. Ale panie decydują za niego. Choć ręce im drżą, a łzy płyną z oczu — starają się pamiętać o wszystkim. Mamy jechać stąd małym, czteroosobowym autem. Następuje najcięższa chwila pożegnania. Panie i dzieci płaczą. Pan J. stara się, jak może, panować nad sobą, ale i jemu ręce drżą, i jemu łzy kręcą się w oczach. Wreszcie — ruszamy! Pani J. żegna nas znakiem krzyża.

We wsi gromadki chłopów w odświętnych — niedzielnych — strojach, stoją na drodze. Widząc przy kierownicy pana dziedzica — rozstępują się powoli, ociężale. Pędzimy w kierunku na Kosów. Tu jednak nagła przeszkoda. Stojąca przy wjeździe do miasteczka policja zatrzymuje nas i każe zawracać. Rozkaz premiera nie pozwala nikogo wpuszczać do Kosowa. Na próżno proszę, tłumaczę, pokazując swoje dokumenty i zaświadczenia. Policjanci są niewzruszeni. Radzą mi się udać do Kut i postarać się tam w ministerstwie o zaświadczenie, stwierdzające wyraźnie, że muszę jechać do Żabiego, właśnie przez Kosów. Nie wiem, co się dzieje w Kutach, nie wiem — czy zastanę tam jeszcze kogokolwiek, ale wobec nieustępliwości policjantów i niemożności zwrócenia się do jakiejś wyższej władzy — postanawiamy nie tracić czasu i jechać do tych Kut. Nie jest to

przecież daleko. Za godzinę możemy być tu z powrotem...

W Kutach zmieniło się bardzo wiele. W ciągu dnia spłynęło tu mnóstwo ludzi. Przy wjeździe i w bocznych uliczkach, gdzie rano było jeszcze zupełnie pusto, zatory i ścisk. Nie ma mowy o wjeździe do miasta. Zatrzymujemy się więc przy pierwszym z brzegu domku. Idę do ministerstwa — postaram się wrócić jak najprędzej. Tracę jednak dobry kwadrans na to, by wśród ścisku autobusów, samochodów, motocykli, powozów i bryczek konnych dotrzeć do głównej ulicy, a stąd do gmachu sądu grodzkiego. Tu jednak nie ma już nikogo. Przykre uczucie zawodu łączy się z niepokojem. Nie tracę jednak nadziei — nie ma tu, mogą być jeszcze w Kutach Starych.

Nie omyliłem się. Przed niewielką, piętrową willą, zajęta przez ministra i jego sztab, zatrzymuje mnie kilku policjantów, ale mój paszport otwiera mi drogę. Willa za drewnianym parkanem cofnięta jest nieco w głąb. Na drodze przed małą furtką parę limuzyn i kilka mniejszych aut, zwracających uwagę swoim czystym wyglądem. Za parkanem — na dziedzińcu czy trawniku przed willą — też jest dość gęsto od różnych wozów. Spotykam tu już kolegów z wydziału prasowego i departamentu politycznego. Na werandzie dostrzegam Kobylańskiego, Michała Łubieńskiego, Tadeusza Schaetza. Za chwilę pokazuje się i Drymmer. Witając się, przeprosza z góry, że może mi poświęcić najwyżej kilka minut. Streszczam więc szybko — w paru zdaniach — swe dzisiejsze przejścia i proszę o zaświadczenie, wymagane przez policjantów w Kosowie.

— Jednak? — zapytuje Drymmer — chcecie się jeszcze do kraju przedzierać? Kochani! — ściska mnie za łokieć — wystąpienie Rosji zniewczyliło resztki naszych szans obronnych. Prezydent i rząd mają dziś jeszcze opuścić Polskę. Sytuacja jest dziś zgoła inna, niż była wczoraj. I warunki także inne. Radzę wam — rezygnujcie z przedarcia się i przechodźcie do Rumunii. Umowa nasza obowiązuje nas nadal. Nie udało się z Kut — będziecie wracać do kraju z Rumunią...

Nie! Nie chcę przyjąć takiego rozwiązania. Los ze ślepą brutalnością odrzucił mnie z powrotem do tych Kut — jeszcze jednak nie chcę mu się poddać, nie chcę skapitulować, muszę przez to nieznane Żabie dobrać do swego celu! A zresztą wogóle nie mogę się pogodzić z myślą o opuszczeniu Polski!...

Drymmer już mnie nie powstrzymuje. Obiecuje wydać zaraz potrzebne zaświadczenie. Uprzedza mnie, że będzie tu jeszcze godzinę, może najwyżej dwie. Jeśli w tym terminie namyślę się i zrezygnuję — mam przyjść jeszcze tu. Jeśli jednak ruszę do Żabiego i jeśli po drodze spotkam zbyt wielkie przeszkody — mam pamiętać, że nie wolno mi narażać się nierozsądnie na niebezpieczeństwo. W tym wypadku mam — gdzie się da — przekraczać granicę i szukać Drymmera w Czerniowcach lub w Bukareszcie.

Rozmowa nasza jednak rozciągnęła się nieco poza ramy zapowiedzianych kilku minut. Dziś, gdy to piszę, nie potrafiłbym określić ściśle jej zasięgu. Nie odróżnię już tego, co usłyszałem wówczas od Drymmera, a co w kwadrans potem dowiedziałem się dodatkowo od innych kolegów. Nie sądzę też, by te połączone informacje złożyć się mogły na pełny obraz — wiele spraw dopiero później odsłoniło się zarówno przed kolegami, jak i przede mną. Tu, w tym wyjątkowym wypadku, odbiegając od metody ściśle pamiętnikarskiej — spróbuję kwestię tę wyczerpać, przedstawić ją w tych kształtach, w jakich widzę ją dziś.

Sprawa przeniesienia najwyższych władz Rzeczypospolitej na zachód, na teren aliantów, nie wyłoniła się w Kutach w ostatnich dniach czy godzinach pobytu na ziemi polskiej. Bynajmniej! Kwestia ta niezmiernie ciężka w swej treści, przykra, bolesna, upokarzająca i jakżeż tragiczna — była omawiana już na początku drugiego tygodnia wojny. W pewnych, bardzo poufnych nie naradach, ale szczerych wymianach zdań, już w dniu 9 września kampanię w Polsce uważano właściwie za przegraną; przewidywano, że straszliwa niemiecka przewaga w ludziach i sprzęcie może, mimo naszych bohaterskich wysiłków i rozpaczliwych prób zatrzymania najazdu, doprowadzić w krótkim czasie do całkowitego rozbicia naszego zorganizowanego oporu, to też szukano — na razie w myślach tylko — dróg, które po klęsce naszej w kraju pozwoliłyby nam prowadzić wojnę gdzie indziej, w ramach wielkiej koalicji — aż do momentu jej zwycięstwa. W konsekwencji wyrastało stąd przeświadczenie o nieuniknionej, nie natychmiastowej, ale bliskiej — niestety — konieczności przeniesienia z kraju na zachód naczelných władz państwa w oparciu o precedens belgijski z r. 1914 oraz podjęcia wysiłku dla odbudowy wojska poza krajem. Inicjatywa w tej sprawie wyszła wszakże ze strony francuskiej. Właśnie 9 września, w Krzemieńcu, ambasador Léon Noël w rozmowie z wiceministrem Szembekiem — po raz pierwszy wystąpił z ogólną, ale wyraźną i poważną sugestią, by na wypadek naszego militarnego załamania się, rozpocząć przygotowania do przeniesienia naczelných polskich władz państwowych do Francji. Sprawa ta odezwiała się znów po dwóch dniach, 11 września, w tymże Krzemieńcu, w rozmowie przybyłego z Brześcia ministra Becka z ambasadorem Noëlem. Dla Polaka ciężar problemu był potworny. Beck podejmował go w poczuciu silniejszego w nim obowiązku, że jako minister spraw zagranicznych, musi paść na trzeci najdalej i przewidywać nawet najcięższe możliwości. Tak też ujmował to w rozmowach z Prezydentem Mościckim i Marszałkiem Śmigłym — w Brześciu, potem w Olyce, wreszcie w Kołomyżach: «jako Polak i żołnierz — mówił — będę szczęśliwy, jeśli to nie będzie potrzebne, ale jako minister spraw zagranicznych mam obowiązek to przygotować». Później — już w obliczu klęski niewątpliwej — mówiąc o tej sprawie przeniesienia do

Francji Prezydenta i naczelných władz — podkreślał, że trzeba utrzymać nasze miejsce w ramach koalicji — miejsce partnera, a nie obiektu, i zerwać z tą nieszczęsną polską tradycją zaczynania za każdym razem wszystkiego od nowa, co — jak określał — miałyby mniej cech giovinezzy, a więcej znamion lekceważenia własnej przeszłości i wartości zarazem. W swej krzemienieckiej rozmowie z Noëlem 11 września prosił go, by zechciał porozumieć się w tej sprawie z Paryżem, stwierdzić, czy rząd francuski w razie naszej klęski gotów będzie udzielić Prezydentowi i rządowi polskiemu prawa pobytu i suwerennego działania — na zasadzie pełnej eksterytorialności, tak, jak to załatwiono z Belgami na jesieni r. 1914. Ambasador zobowiązywał się do formalnego załatwienia tej sprawy — aż do układu ze szczegółami technicznymi włącznie, podkreślał jednak, że nie ma w tej dziedzinie ani cienia wątpliwości: rząd francuski stać będzie na stanowisku jak najbardziej lojalnego sojusznika, na pewno wszystko ułatwi i na pewno wykaże tu maksimum życzliwości i przyjaźni. Przewidywano — już w tej rozmowie — przejazd lądem przez Rumunię, a potem morzem z portu rumuńskiego na okrętach francuskich lub angielskich. Strona polska poinformowała o tej rozmowie ambasadora brytyjskiego, z prośbą, by zechciał powiadomić o tym swój rząd. Ambasador Noël, zaniepokojony rozwojem wydarzeń na naszym froncie (Niemcy mogli, omijając Lwów, przeciąć drogi, biegnące z Krzemieńca na południe), obawiając się zbrojnej interwencji sowieckiej pod pretekstem sztucznie wywołanych rozruchów ukraińskich w Małopolsce, próbował sugerować, by minister Beck nie zwlekał z ewakuacją ministerstwa z Krzemieńca dalej na południe — przy bezpośrednim oparciu o granicę z sojuszniczą Rumunią. W nocy z 13 na 14 września przybył z jego polecenia z takimiż sugestiami gen. Faury. Sugestie te wszakże uchylono i ministerstwo wyewakuowano dopiero na rozkaz premiera z Łucka. W Kutach — w sobotę 16 września — trzeba było już konkretnie omówić tę sprawę i z Rumunami: układ o «droit de résidence» z Francją wymagał uzupełnienia w postaci umowy z Rumunami o «droit de passage». Ale w sobotę ambasador rumuński p. Grigorcea w Kutach nie było, gdyż na wezwanie swoich władz musiał się udać do Rumunii. Zgłosił się on do ministra Becka 17 września — już po wystąpieniu Rosji, i zaoferował w imieniu króla dla Prezydenta i rządu polskiego «l'hospitalité» lub «droit de passage». Beck, dziękując za gościnę, ograniczał oczywiście swe żądania tylko do «droit de passage». Ambasador Grigorcea w odpowiedzi swej podkreślił, że wobec wystąpienia Rosji Rumunia, związana z Polską sojuszem obronnym, musiałaby wystąpić zbrojnie po naszej stronie przeciw agresorowi ze wschodu, ale niestety — w istniejącej sytuacji wojenno-politycznej — Rumunia nie będzie mogła tego wykonać. Prosząc o zwolnienie Rumunii od tego obowiązku, ambasador Grigorcea nie skąpił daleko idących zapewnień, że sprawa przejazdu naczelných polskich władz państwowych oto-

czona zostanie przez Rumunów tym głębszą życzliwością. Przyjmował też bez jakichkolwiek zastrzeżeń za podstawę dla tego tranzytu postanowienia konwencji haskiej z r. 1887 i 1907, mówiące wyraźnie, że przejazd głowy państwa i członków rządu kraju prowadzącego wojnę przez terytorium państwa neutralnego jest zawsze dopuszczalny i nie narusza w niczym zasad neutralności. Po południu jeszcze — amb. Grigorcea po telefonicznym porozumieniu się z ministrem Gafencu — stwierdził w jego imieniu, że Rumunia wyraża zgodę na nieoficjalny przejazd Prezydenta i rządu polskiego do czarnomorskiego portu w Constanzy — prosi tylko, by przejazd przez jej terytorium trwał możliwie najkrócej, bez dłuższego zatrzymywania się gdziekolwiek. Także w Kutach ambasador francuski raz jeszcze zapewnił o pełnym zrozumieniu rządu francuskiego dla tragedii Polski oraz o jak najbardziej lojalnym stanowisku i o całkowitej jego życzliwości i przyjaźni. Podkreślał również, że tylko przeszkody w komunikacji telegraficznej nie pozwoliły na ściśle ustalenie w tak krótkim czasie szczegółów technicznych układu o «droit de résidence». Składną jednak wiedzieliśmy już w Kutach o stanowisku premiera Daladiera, który w jednej ze swych depech wyrażał w imieniu rządu francuskiego zgodę na przeniesienie się rządu polskiego do Francji i jego tam dalsze urzędowanie na zasadzie pełnej suwerenności i eksterytorialności. Dodam wreszcie, że tegoż 17 września z polecenia ministra Becka, wiceminister Szembek udał się mial do Budapesztu celem omówienia z regentem Horthy'm sprawy przyjęcia i potraktowania tych naszych oddziałów, które przekroczyły granicę węgierską. Oczekiwać tam można było jak największej życzliwości, tradycyjna bowiem przyjaźń dla Polski jest na Węgrzech równoznaczna niemal z pojęciem narodowego honoru. Mieliśmy też wiadomości, że w czasie naszej wrześniowej walki Węgry odrzuciły żądania niemieckie — nie zgodziły się na tranzyt oddziałów niemieckich, mających uderzyć na Polskę od południa, — i były gotowe w razie gwałtu ze strony Niemców — wysadzić tunel pod Koszycami.

Tyle, jeśli chodzi o zewnętrzną — międzynarodową stronę tej sprawy. W stronie wewnętrznej — polskiej — głęboką wymowę ma przede wszystkim fakt, że zarówno Prezydent Mościcki, jak i marszałek Śmigły — nie powstrzymując ministra Becka w wykonaniu jego ciężkiego obowiązku «najdalszego przewidywania» — nie okazywali skłonności do omawiania tego problemu. Był zbyt tragiczny, zbyt ciężki, zbyt bolesny! Dopiero w Kutach musieli i oni spojrzeć nieszczęściu w oczy. Wystąpienie Rosji stworzyło sytuację, w której zanikała możliwość dalszego skutecznego oporu. Na tyły naszej armii, od trzech już prawie tygodni zwartej w śmiertelnym uścisku z niemiecką przewagą i w ponadludzkim znużeniu i wyczerpaniu borykającej się już między Wisłą, Bugiem i Sanem — wlewa się teraz nowa potęga. Dywizje i czołgi sowieckie, po złamaniu słabego stosunkowo oporu oddziałów naszego Korpusu Ochrony Pogranicza

— spotkać się mogły tylko z obeznaną reakcją jakichś luźnych oddziałów marszowych, słabych ośrodków etapowych czy służb pomocniczych. Ostatnie — sprzed paru jeszcze dni — rozkazy Naczelnego Dowództwa mówiły o konieczności zmniejszenia obszaru obronnego, ograniczenia go do czworokąta, jaki tworzą na Pokuciu linie Dniestru, Stryja i granicy rumuńskiej¹⁾. Tu spłynąć miały — oddziały, przewidywane dotąd w szerszym

1) Należy podkreślić, że na wiosnę i w lecie r. 1939 w rozmowach z przedstawicielami sztabów francuskiego i brytyjskiego, strona polska niejednokrotnie dawała wyraz swemu głębokiemu przekonaniu, że pierwsze, najsilniejsze uderzenie niemieckie bezwzględnie większością sił skierowane zostanie na nas, i że w tych warunkach nie może być mowy o jakichś zasadniczych sukcesach polskich w początkowej fazie wojny. W konsekwencji zdecydowano u nas, że w pierwszym okresie walki będziemy się tylko bronić, w razie konieczności cofać się stopniowo w głąb kraju, zadając przy tym nieprzyjacielowi straty możliwie największe i najdotkliwsze. W obronie takiej armia polska wytrwać miała aż do chwili czynnego wystąpienia naszych aliantów na zachodzie, co — odciażając nas od olbrzymiej przewagi Niemców — stwarzało warunki jeśli nie do działań ofensywnych, to przynajmniej do skuteczniejszej obrony. Protokół, podpisany 19 maja 1939 r. w Paryżu przez gen. Gamelina i gen. T. Kasprzyckiego — ustalał, że w wypadku napadu niemieckiego na Polskę — armia francuska bezwzględnie, bo automatycznie, przystąpi do działań wojennych; strona francuska zobowiązywała się tu wprowadzić natychmiast do akcji swoje lotnictwo, w trzecim dniu francuskiej mobilizacji przeprowadzić ograniczonymi siłami atak na wybrane obiekty (na przedpolu linii Zygfryda dla zajęcia pozycji wypadowych), wreszcie — w 15-tym dniu mobilizacji rozpocząć głównymi siłami ofensywę generalną na froncie zachodnim. Równoległe do prac misji gen. Kasprzyckiego w Paryżu, toczyły się w Warszawie rozmowy wojskowe polsko-brytyjskie, w których stronę brytyjską reprezentowali gen. Clayton, komandor Rawlings i płk. Davidson; stronę polską zaś generałowie W. Stachiewicz i Ujejski, kontradmirał Świrski, oraz kilku oficerów sztabowych. W rozmowach tych (23—24 maja 1939) delegaci angielscy na prośbę strony polskiej o wyjaśnienie odpowiadali, że ich lotnictwo bombowe, mające działać z baz angielskich i francuskich, stanowić ma gotową do natychmiastowego użycia «siłę uderzenia». Pomoc, udzielona napadniętej Polsce przez to lotnictwo, wyrazi się w bombardowaniu niemieckich obiektów wojskowych; przy tym Anglicy (zaznaczając, że chcą uniknąć możliwości oskarżenia ich przez kogokolwiek, że to oni, a nie Niemcy, rozpoczęli bombardowanie ludności cywilnej) oświadczały, że w wypadku bombardowania przez Niemców obiektów cywilnych w Polsce, odpowiedzą, po uprzedniej konsultacji z aliantem polskim, represjami w formie bombardowania w Niemczech takich samych obiektów, nawet wtedy, jeśli Niemcy nie będą jeszcze bombardowali terytorium brytyjskiego. Przybyły do Warszawy nieco później (15 lipca 1939 r.) gen. Ironside też dawał wyraz przekonaniu o konieczności zwalczania niemieckich sił lotniczych przez natychmiastową, a silną lotniczą akcję francusko-brytyjską. W sierpniu 1939 r. omawiano jeszcze sprawę stworzenia w Polsce wysuniętej angielskiej bazy lotniczej. Niestety, mimo tych wszystkich umów i zapowiedzi, Polska we wrześniu w całkowitym osamotnieniu borykała się z wielokrotną przewagą niemiecką. Komunikaty z frontu zachodniego (stynne «rien à signaler» lub w najlepszym razie wzmianki o działaniach patroli) świadczyły o całkowitym tam bez-

planie obrony Wołynia i Małopolski. Warszawa, Modlin, Hel, Polesie tworzyć będą wyodrębnione ośrodki oporu, wiązać poważne siły niemieckie i przedłużać okres działań wojennych w Polsce centralnej. Tu — na rumuńskim przedmościu — w oparciu o południową granicę — można ze skupioną siłą oczekiwać się ciągle zapowiadanej i stale odkładanej ofensywy sojuszniczej na zachodzie, a z nią i zwrotu w tak ciężkiej dla nas sytuacji. Ale do dnia 17 września oddziały, spodziewane tutaj, nie zdążyły jeszcze nadejść. Jedyną, jakżeż nikłą zaporą dla wlewających się czołgów są słabiutkie nasze oddziały, pilnujące mostów i brodów na Dniestrze. Poza tym — jest w Kutach trochę policji, kilkunastu żandarmów i — gdzieś dalej, nie wiadomo zresztą gdzie — kilkudziesięciu żołnierzy z kompanii przybocznej Prezydenta. Jakaś szczupła ochrona z żandarmów miał Wódz Naczelny. To wszystko. Tymczasem — koło godziny czwartej po południu — nadbiegła telefoniczna wiadomość, że przed paru dopiero godzinami opuszczony przez Prezydenta Śniatyn został już zajęty przez oddziały sowieckie, które przede wszystkim obsadziły granicę i zamknęły przejścia do Rumunii. Rosjanie mogą być w Kutach już za parę godzin.

W tych najtragiczniejszych warunkach, w ponurym cieniu najboleśniejszej prawdy o nagłym, katastrofalnym potopie, zalewającym nas z zachodu i ze wschodu — odbyła się w Kutach — u Prezydenta — w godzinach popołudniowych ostatnia narada. Wzięli w niej udział marszałek Śmigły, premier Skład-

ruchu, na Niemcy — zamiast obiecywanych bomb — spadały zrzucone z samolotów ułotki. Strona polska w obliczu rozwijającej się szybko katastrofy na próżno domagała się od aliantów przyspieszenia przewidzianej w umowach akcji lądowej i rozpoczęcia akcji lotniczej. Dramatyczne w przebiegu treści rozmowy z przedstawicielami państw sojuszniczych: wojskowymi w polskim Naczelnym Dowództwie i dyplomatycznymi w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych (zwłaszcza w Krzemieńcu 11 września 1939) oraz stanowcze, bardzo ostre wystąpienie naszych ambasadorów w Paryżu i Londynie — nie dały niestety spodziewanych rezultatów. Jedynym wynikiem tych nacisków była depesza gen. Gamelin'a, doręczona marsz. Śmigłemu za pośrednictwem gen. Faury 15 września, a zapowiadająca, że zgodnie z zawartą umową generalna ofensywa na froncie zachodnim rozpocznie się 17 września. Ponadto — jak ujawnił płk. H. Piłkowski w swej broszurze o «Kampanii wrześniowej» — nazajutrz, 16-go września, tenże gen. Faury doręczył Szefowi Sztabu polskiego depeszę, zapowiadającą, że ofensywa francuska, która wyruszyć miała 17-go, rozpocznie się dopiero 20 września. Nie ma konkretnych podstaw do kwestionowania szczerości tych telegraficznych zapowiedzi, wydaje się jednak, że nawet w wypadku ich realizacji — byłyby to działania na bardzo nikłą skalę — bez wpływu na przebieg kampanii w Polsce. W przekonaniu tym utrwala nas dziś sam gen. Gamelin, który w pamiętniku swym («Service, tom I i II») stwierdza z całą szczerością, że dopiero na wiosnę r. 1940 miał być gotów do przyjęcia bitwy obronnej i nigdy nie sądził, by ofensywę o decydującym charakterze przeprowadzić można było wcześniej, jak za 2 czy 3 lata, a więc nie we wrześniu 1939, tylko w r. 1941 czy nawet w 1942 r.

kowski i minister Beck. Wobec beznadziejności sytuacji zapadła decyzja opuszczenia granic Państwa przez Prezydenta i rząd; opuścić w ostatniej chwili, pod bezpośrednim naciskiem nieprzyjaciela, po przekroczeniu przezeń linii Dniestru. Wódz Naczelny, wyjeżdżając po tej naradzie z Kut do Kosowa, zapowiedział, że pozostanie w kontakcie z Prezydentem i powiadomi go na czas o sytuacji nad Dniestrem. Tu też — na tej ostatniej naradzie w Kutach — przyjęto opracowany przez p. Łepkowskiego projekt orędzia Prezydenta do narodu.

(d.c.n.)

Władysław POBÓG-MALINOWSKI.

„POD PRĄD”

Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii
(wychodzi 3 razy w miesiącu)

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
FRIBOURG 2, case postale 10, SUISSE.

DO NABYCIA:

FRANCJA: «Libellat», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV.
Librairie T. Pajor, 47, rue de l'Université, Paris VII* (cena 15 fr.).

W. BRYTANIA: Centralna Skł. Książek S.P.K., 57, Edbrooke Road, London W. 9 (cena 6 d.).

BELGIA: Księgarnia Polska, 42, rue Defacqz, Bruxelles (cena 7 fr.).

WŁOCHY: J. Miecznikowski, Via dei Villini 18, int. 4, Roma (cena 25 lir.).

Książki

Poezja i nie-poezja w literaturze polskiej XVIII-go w.

Szeroki zakres treści, oryginalność ujęcia, odkrywczość poszczególnych spostrzeżeń, mistrzostwo sformułowań — wszystko to razem czyni nową książkę Wacława Borowego *O poezji polskiej w wieku XVIII* (Kraków, Polska Akademia Umiejętności, 1948; str. 4 nl. i 398 i 2 nl.) zjawiskiem szczególnej doniosłości w naszym piśmiennictwie.

Pierwszą, zaczątkową redakcją książki był rozdział, opracowany dla drugiego tomu *The Cambridge History of Poland*. Potem, w ostatnim roku przed wojną, przyszły wykłady w Uniwersytecie Warszawskim o poezji polskiej XVIII w. Ostatnia, trzecia redakcja, powstała w latach wojny. Książka jest więc dziełem wielu lat pracy i gruntownych przemyśleń. Obejmuje ona poezję polską całego w. XVIII, nie tylko okres stanisławowski, ale i czasy saskie. Pomija zupełnie tło historyczne i kulturalne, nie zajmuje się też charakterystyką prądów literackich. Na czym wyłącznie skupia uwagę, to na indywidualnościach pisarskich. Od razu, na pierwszej stronie pierwszego rozdziału, wkraczamy in medias res: w charakterystykę poezji Chrościńskiego. Ostatnia zaś strona jej tekstu to omówienie osobowości pisarskiej Niemcewicza, tak jak się ona zarysowuje na podstawie tych jego utworów, które napisał jeszcze w XVIII w. Ani na początku, ani na końcu nie ma żadnych ogólnych charakterystyk, rozdziałów syntetycznych. Książka rozpada się więc na szereg charakterystyk pisarskich. Należy jednak pamiętać, że w sumie dają one dla w. XVIII pełny obraz poezji (w tych granicach, w jakich autor rozumie to słowo) oraz że pomiędzy poszczególnymi rozdziałami-charakterystykami bardzo skrupulatnie zachowano proporcje. Poetae minores czasów saskich i «schyłku wieku» zostali scharakteryzowani w dwóch osobnych rozdziałach zbiorowych. W rozdziale «Schyłek wieku» omówiono też tłumaczenia.

W charakterystykach pisarzy pominięto zupełnie biografie. Uwaga autora skupiona jest wyłącznie na dziełach. Autorzy dawniejszych książek o literaturze XVIII w. żywo interesowali się wartościami patriotycznymi i kulturalnymi literatury. «Funkcja narodowo-kulturalna literatury — pisze Borowy — w zainteresowaniach niektórych z nich nawet wyraźnie dominuje nad jej funkcją artystyczną». Tutaj będzie inaczej: «w zarysie niniejszym chodzi wyłącznie o wartości artystyczne».

Czy jednak naprawdę wyłącznie? Zapowiedź wstępu została tu sformułowana trochę zbyt radykalnie. Weźmy taki przykład. Mówiąc o Naruszewiczu, Borowy wybrał go przed zbyt ryczałowymi oskarżeniami jego ód o panegiryzm przez niektórych dawniejszych krytyków. Solidaryzując się tutaj z Chmielewskim, tłumaczy, że w rzeczywistości «przeważnie są one zwrócone do najznakomitszych osobistości epoki». Podobnie — czytamy zaraz dalej — «wiersze (do króla) są istotnie pełne pochwał, ale pochwały te nie są bez uzasadnienia». Rzecz prosta, nie jest to już ocena estetyczna sensu stricto. W gruncie rzeczy bowiem wartościami patriotyczno-obywatelskimi dzieł literackich Borowy nie tylko się interesuje, ale i bardzo żywo się przejmując, chyba nie mniej żywo niż Chrzczanowski. W czym się od niego różni, to w tym, że rygorystycznie stara się — najlepszymi przykładami mogą tu być rozdziały o pieśniach konfederatów barskich i o Trembeckim — aby ocena obywatelsko-moralna nie zamącała mu estetycznej.

Książka poświęcona jest «poezji», a nie po prostu «literaturze». Według jakich kryteriów wyodrębnił Borowy to, co w literaturze jest poezją, od tego, co nie jest? — Warto przyjrzeć się tej sprawie bliżej, bo to jest właściwie kluczowy problem książki.

Nie są to kryteria czysto formalne. Nie każdy wiersz jest tu «poezją». Przeciwnie, przy licznych wierszach słyszymy, że są one właściwie rymowaną prozą, retoryką, że do poezji w gruncie rzeczy nie należą. Należą natomiast do «poezji» powieści. Myliłby się jednak ten, kto by na podstawie takich przykładów sądził, że rozgraniczenie między «poezją» a «nie-poezją» da się przeprowadzić przy pomocy pojęcia «fikcji literackiej». Owszem, kryterium to odgrywa tu pewną rolę; dzięki niemu np. mamy tu rozdział o Bohomolecu, mimo iż czytamy w nim, iż «poeta nigdy nie jest Bohomolec», czy też że «jest on niepospolitym przykładem energii — przedpoetyckiej» — rola tego kryterium nie jest jednak decydująca. Gdyby bowiem odgrywało ono rolę decydującą, Borowy musiałby wykluczyć ze swego przedstawienia publicystykę. Tymczasem w książce zostały omówione — co prawda w drodze wyjątku — takie utwory publicystyczne jak *Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego* i *Przestrogi dla Polski* Staszycza, mimo że — jak Borowy podkreśla — są to przecież utwory «nie o intencji poetyckiej». Dlaczego w takim razie zostały omówione? — Dlatego, że Sta-

szyc potrafił w nich «wyrazić wielkie uczucia z siłą większą niż ktokolwiek inny w literaturze polskiej XVIII wieku».

I oto tu docieramy do istotnego kryterium. Poezja jest tu wszystko to wyrażone w słowie pisanym, co przemawia do uczuć i wyobraźni. Albo, ujmując nieco inaczej: poezja to ekspresja uczuć. Jest to zatem kryterium crocejańskie: «la poesia è il linguaggio del sentimento; la prosa, dell'intelletto». I mimo że Croce jest tu wspomniany tylko raz, i to przy całkiem ubocznej okazji, cała ta książka jest wyraźnie z ducha Crocego. Te crocejańskie założenia tłumaczą, dlaczego np. «Zeitgeist» został tu potraktowany tak pogardliwie. To bowiem jak człowiek reaguje uczuciowo na otaczającą go rzeczywistość, jest, oczywiście, w rzeczach istotnych uwarunkowane przede wszystkim taką a nie inną indywidualnością reagującego. To co tu jest uwarunkowaniem historycznym, jest w gruncie rzeczy nieistotne. Dlatego książka rozpada się na szereg portretów literackich, tak samo jak książka Crocego o poezji XIX wieku *Poesia e non poesia* odbywa się również bez syntetycznych rozdziałów. I tak samo jak u Crocego ważną rolę odgrywa tu pojęcie «nie poezji». I jak u Crocego, jednym z kluczowych terminów słownika krytycznego Borowego jest słowo «ekspresja». Tak samo też jak u Crocego o baroku pisze się tu z niechęcią.

Na współczesną krytykę uniwersytecką w świecie Croce wywarł wielki wpływ, i na ogół błogosławiony. Cenną zwłaszcza rzeczą w jego estetyce jest to, że skierowuje ona badacza ku istotnym, zasadniczym problemom twórczości, a nie pozwala — jak to się z historykami literatury niestety często zdarza — błądzić po peryferiach. Zanim Niemiec nie załazi brunatne barbarzyństwo, niemiecka krytyka uniwersytecka, w znacznej mierze właśnie dzięki silnym w niej wpływom Crocego, miała w osobach Vosslera, E. R. Curtiusa, Lercha, Spitzera, Klemperera, rzeczy bez porównania bardziej twórcze, odkrywcze i świeże do powiedzenia na temat literatury francuskiej niż współczesna jej krytyka uniwersytecka samych Francuzów. Trudno by wśród prac francuskiej krytyki uniwersyteckiej (uniwersyteckiej, a więc z wyłączeniem rzeczy Thibaudeta i Thierry Maulnier) ostatnich lat trzydziestu wymienić rzeczy, które by mogły dorównać książce Vosslera o La Fontaine'ie czy Curtiusa o Balzaku.

Należy się zatem cieszyć, że książka *O poezji polskiej XVIII wieku* powstała pod tak dobrą gwiazdą. Tylko czy Borowy w swym stosowaniu kryterium «poetyckości» nie jest tu czasem bardziej crocejański od samego Crocego, czy nie stosuje kryterium tego za rygorystycznie? W rozdziale o Krasickim, zgodnie z naszym powszechnym odczuciem stwierdza on, iż «najznakomitsze swoje dzieła [dał Krasicki w bajkach]». Kilka jednak stron dalej czytamy u niego, że «dużo jest bajek [które]... są, oczywiście, tylko doskonałą rymowaną prozą», tym razem już wbrew naszemu powszechnemu odczuciu i w oczywistej sprzeczności do poprzedniego stwierdzenia.

Bajki i przypowieści okazały się tu ciężkim orzechem do

zgrzyżenia: areydzioło poezji, w którym jest tak mało liryzmu! Toteż omawiając bajki Krasickiego, Borowy szczególnie dużo uwagi poświęca wyszukiwaniu i charakteryzowaniu ich akcentów lirycznych, które mają stanowić legitymację ich przynależności do poezji. Kłopot polega na tym, że bajki o podkładzie lirycznym, to — jak łatwo sprawdzić — wcale jeszcze nie są bajki najlepsze, akcenty liryczne nie decydują więc o ich wartości literackiej. A poza tym, energicznie doszukując się tych akcentów, nie ustrzegł się tu Borowy i innego niebezpieczeństwa, mianowicie doszukiwania się ich tam, gdzie ich nie ma.

Na ogół stwierdzenia krytyczne Borowego są nie tylko bardzo subtelne i bystre, ale także i sformułowane w sposób wyjątkowo prosty i precyzyjny. Dlatego są one wszystkie komunikatywne. Książka Borowego dlatego właśnie jest takim ogromnie pocieszającym zjawiskiem w dziedzinie krytyki literackiej, iż unaoacza w sposób wyjątkowo przekonujący, że z dobrym krytykiem de gustibus est disputandum. Nie ma on w sobie nic z tych krytyków, przy czytaniu których myśli się: tak, być może, odczuwa on to bardzo subtelnie i głęboko, ale co mi z tego, skoro jego sądy estetyczne zostały sformułowane w sposób tak nieuchwytny czy pogmatwany, że są dla mnie niesprawdzone.

Otóż przy bajkach spotykamy się wyjątkowo z przykładem, kiedy mamy wrażenie, że Borowy wmawia poecie to, czego w nim nie ma. Przytacza on mianowicie bajkę Krasickiego *Słońce, obłoki, ziemia*:

Skarżyła się przed słońcem ziemia na obłoki:
Cóż po tym, że po świecie lot wiedziesz wysoki,
Kiedy cię obłok kryje i wilgoć zachmurza?
Dopieroż kiedy z chmury uczyni się burza,
Noc ze dnia! Słońce rzekło: Darmo się rozwodzisz,
Nie skarż się na obłoki, ty je sama rodzisz.

I pyta się: «czyż nie dominuje atmosfera nad alegorycznym znaczeniem w bajce *Słońce, obłoki, ziemia*?» — Wydaje się, że z czystym sumieniem można na to pytanie odpowiedzieć: nie.

Zdaje się, że zawiniło tutaj ujęcie przez Borowego ekspresji poetyckiej trochę już zbyt romantyczne (pisze przecież w swojej książce przy innej okazji o kryteriach poetyckości «w duchu zdrowych pojęć, utworzonych przez romantyzm»). Bajki Krasickiego są w dziejach poezji pewnym wypadkiem krańcowym. Ich niezwykła kondensacja treści i wyjątkowa ekonomia środków wyrazu poetyckiego przy wspaniałej precyzji nadają im dynamikę, która sprawia, że w tym wyjątkowo wypadku te drobne, nieuchwytnie elementy liryzmu, jakie zawierają, wystarczają jednak, aby mimo wszystko dostąpiły one zbawienia poetyckiego, i aby nie trzeba ich było spychać do czyśćca rymowanej prozy.

Wpływu romantycznych uprzedzeń w ujęciu ekspresji literackiej doszukiwać się można jeszcze gdzie indziej. Dlatego

mianowicie Borowy do «poezji» w swym rozumieniu zaliczył tylko tę publicystykę, która daje wyraz uczuciom gwałtownym? Ujęcie Crocego jest tutaj elastyczniejsze, liberalniejsze od jego. W dalszym ciągu cytowanego już wywodu o poezji i prozie mówi on: «...ale ponieważ intelekt także jest uczuciem w swej konkretności i realności, każda proza ma swoją stronę poetycką. Stosunek wiedzy intuicyjnej, czyli ekspresji, do wiedzy intelektualnej, czyli pojęcia, sztuki do nauki, poezji do prozy nie może być inaczej określony jak przez powiedzenie, że jest to stosunek stopniowania» (tłumaczenie Crocego ze względu na swoiste znaczenie, jakie nadawał pewnym terminom, jest zawsze rzeczą trudną, dlatego może nie od rzeczy będzie przytoczyć tu cały wywód według czwartego wydania *Estetica come scienza dell'espressione*: «La poesia è il linguaggio del sentimento; la prosa, dell'intelletto; ma poiché l'intelletto, nella sua concretezza e realtà, è anche sentimento, ogni prosa ha un lato di poesia. Il rapporto tra conoscenza intuitiva o espressione, e conoscenza intellettuale o concetto, tra arte e scienza, tra poesia e prosa, non si può significare altrimenti se non dicendo ch'è quello di un doppio grado»).

Granica między prozą a poezją jest więc w gruncie rzeczy konwencjonalna, i Borowy miał swoje prawo po temu, aby np. prozę publicystyczną uwzględnić tylko w wyjątkowym wypadku. Wolno jednak mieć tu do niego jeśli nie pretensję, to trochę żalu, że nie okazał się dla prozy łaskawszym. Idzie tu bowiem o losy tego postępowanego przez historię literatury kopciuszka, jakim jest polska proza artystyczna.

Nasza historia literatury zajmowała się co prawda prozą sporo, ale przeważnie ze względów pozaliterackich: dlatego że wyrażała pewne cenne myśli, że odegrała ważną rolę w dziedzinie kształtowania poglądów politycznych (jak *O skutecznym rad sposobie*, albo np. w dziejach formowania się nowożytnych poglądów na historiografię (jak *Historia narodu polskiego* Naruszewicza). Wyrzucenie przez Borowego prawie że całej prozy za burtę jest reakcją na taki do niej stosunek. Tylko czy to jednak nie jest reakcja zbyt radykalna? Zasadniczym pytaniem jest tu przecież: czy taki lub inny utwór prozy bez względu na swoje wartości poznawcze, użytkowe, obywatelskie nie jest równocześnie utworem prozy artystycznej? Jeśli zaś tej artystyczności prozy nie będzie się pojmowało w sposób płytko formalny, tj. jeśli się nie będzie przez nią rozumiało kaligrafię stylistyczną, ale zdolność przemówienia do wyobraźni i uczucia czytelnika, jej «żywość», to w tym sensie jej artystyczność będzie równoznaczna z «poetyckością» w rozumieniu Borowego.

W Ameryce ukazała się niedawno wyjątkowo świeża i pobudzająca książka Emery Neffa o historiografii nowożytnej od Woltera do Toynbee'go *The Poetry of History*, poświęcona charakterystyce takich właśnie «poetyckich» — w szerokim znaczeniu tego słowa — wartości wybranych dzieł wybitnych historyków. Można się z góry założyć, że takiej «poezji» w *Historii* Naru-

szewicza będzie bardzo ale to bardzo niewiele. Ile by się jednak dało za to, żeby mieć jej ocenę pióra znawcy tak kompetentnego i subtelnego jak Borowy. Albo — pozycja to dużo bardziej ważna — taki np. Koltłataj. W książce wspomniany jest on tylko przelotnie, dla swoich błahych wierszy. Czy jednak jego proza to tylko dokument historyczny, czy toute proportion gardée nie należy on do dzieł literatury pięknej należą proza Buffona i proza Woltera, albo do angielskiej — Gibbon i lord Chesterfield (ten ostatni zresztą temperamentem bliski Koltłatajowi)?

Przelknawszy jednak żal do autora za to, czego książka jego nie daje, trzeba od razu powiedzieć, że przynosi ona bardzo dużo nowego i cennego. Opracowując pierwsze rozdziały, Borowy zadał sobie trud przeorania się przez całą drukowaną, a częściowo i rękopiśmienną literaturę czasów saskich. Książka nie ma w sobie nic z ostentacji erudycyjnej, i tylko czytelnik trochę zorientowany w przedmiocie zdaje sobie sprawę z tego, jaka to była wielka praca. I nie jest chyba rzeczą przypadku, że westchnienie «w literaturze polskiej tyle jest banalistów, nudziarzy, naśladowców» znalazło się akurat w jednym z rozdziałów, omawiających literaturę tych czasów.

Czasy saskie bowiem, nie będąc zupełną pustynią literacką, były jednak okresem literacko jałowym, dla historyka zaś literatury tym niewdzięczniejszym, że ich wierszopisowie z reguły odznaczali się wielką płodnością. Musi się tu więc brnąć przez stopy wierszy i wierszydeł w poszukiwaniu szczypty poezji. Toteż jeden tylko historyk literatury był równie rozległy jak Borowy czytany w literaturze tego okresu — Brückner. Ale Brücknera literatura ta interesowała głównie jako materiał dla historyka kultury i obyczajów. Borowy pierwszy systematycznie przeszedł ją okiem badacza poezji. I dlatego tam, gdzie dotychczas mieliśmy chaos, po raz pierwszy wprowadził ład.

Potocznej opinii o czasach saskich jako okresie najgłębszego upadku literatury i kultury literackiej, książka ta nie zmienia. Przeciwnie, dopiero taki przykład jak zanalizowany przez Borowego ustęp z komedii Wacława Rzewuskiego *Dziwak*, pozwala nam w całej pełni — lepiej niż to wiedzieliśmy dotychczas — zdać sobie sprawę z przerażającego upadku tej kultury.

Znalazła się jednak tutaj i dla tych czasów bardzo ciekawa trouvaille: poważne wiersze mistyczno-religijne Baki. Wiersze te ogłosił w r. 1936 Stanisław Estreicher, ale dopiero Borowy poznał się na ich wartości literackiej i dopiero on pokazał, jak ciekawe perspektywy literackie wiersze te rzucają przez swe wyraźne związki z wielką mistyczną poezją hiszpańską, w książce starannie prześledzone. Rzecz zabawna, na krótko przed wojną wyszło nakładem Akademii Umiejętności obszerne studium p. Stefani Ciesielskiej-Borkowskiej, poświęcone *Mistycyzmowi hiszpańskiemu na gruncie polskim*. Świeżo wydane wiersze Baki p. Ciesielska-Borkowska miała w ręku, ale przez dziwne roztargnienie krytyczne nie zorientowała się w tym, co

za pierwszorzędną materiał przynoszą one dla jej książki. Nie umiając wyzwolić się spod utartych opinii o Bace — jeśli idzie zresztą o *Uwagi o śmierci niechylnej*, usprawiedliwione — zbyła je króciutką, pogardliwą wzmianką.

Ani nawet takiej wzmianki nie ma w książce p. Ciesielskiej-Borkowskiej o Konstancji Benislawskiej, autorce niezwykle ciekawych ekstatycznych wierszy religijnych już z czasów stanisławowskich, które również ukształtowały się pod wpływem mistyki hiszpańskiej. Ta Benislawska, której poezja jest tak niepodobna do tego wszystkiego, co znamy z epoki stanisławowskiej, i która dlatego też przeszła niemal że niepostrzeżona, to duże odkrycie Borowego. Wiersz jej oraz młodzieńcze erotyki Książnina, każące nam zupełnie inaczej patrzeć na jego klasę jako poety, należały do najcenniejszych niespodzianek przedwojennej antologii Borowego *Od Kochanowskiego do Staffa*. Podczas jednak gdy jeśli idzie o Książnina, odkrycie swe skonsumował podówczas Borowy także i w osobnym studium krytycznym, Benislawska doczekała się tu właściwie po raz pierwszy obszerniejszego omówienia i po raz pierwszy pokazano jej oryginalną fizjognomię pisarską.

Obok odkrycia nowych wybitnych poetów mamy w książce także i egzekucje pewnych uznanych sław. Najradzykalniejsza z nich to rozprawienie się z Kajetanem Węgierskim, który do tychczas w historiach literatury — np. u Chrzanowskiego — zajmował jedno z poczesnych miejsc i do którego jako do złośliwego paszkwilanta czuł słabość Nowaczyński, a który starannie udokumentowanym zdaniem Borowego «jest jedną z legend historii literatury polskiej». Surowo obszedł się również Borowy i z pieśniami konfederatów barskich. Ostro potraktował *Śpiewy historyczne* Niemcewicza (monotonia, rymy najłatwiejsze, zdawkowe «poetyzmy», przeplatane najpospolitszymi prozaizmami). Józef Szymanowski, który za życia cieszył się wielkim uznaniem i z którego we wspomnianej wyżej antologii Borowy zamieścił aż trzy wiersze, tutaj potraktowany został jako figura zdecydowanie drugorzędna. Z autorów dramatycznych Zabłocki otrzymał tu lokatę niższą niż zazwyczaj, tak jak znów, na odwrót, nieco wyższą od tej do jakiej przywykliśmy, dostała się Bohomolcowi. Krasiecki pozostał tu w tradycyjnej roli centralnej figury literackiej czasów stanisławowskich, ale w ramach jego twórczości znalazło się miejsce na pewne w porównaniu z tradycyjnymi wcale istotne przetasowania. Tak więc *Pan Podstoli*, który nie bardzo wiadomo dlaczego cieszy się względami autorów podręczników, został tu usunięty na zdecydowanie dalszy plan, ponad niego zaś Borowy wysunął *Historię na dwie części podzieloną oraz Rozmowy zmarłych*: «Jest to najlepsza proza Krasieckiego. Z naturalnością i nieskazitelną jasnością łączy się w niej wartość i więźność». (Warto tu przypomnieć, że dobry specymen tej prozy, *Rozmowę między Bolesławem Chrobrym a Kazimierzem Wielkim*, przypomniał przed dwoma laty w *Balaście serdecznym* Grydzewski).

Byłoby jednak niesprawiedliwością wobec książki i pewnym trywializowaniem jej osiągnięć sprowadzanie ich tylko do takiego przesunięcia perspektyw na Parnasie polskim XVIII wieku, do ustalenia tylko, kto «większy» a kto «mniejszy». Główna bowiem wartość książki i główny urok jej lektury polegają nie tyle na podsumowaniach ocen, ile właśnie na charakterystykach poszczególnych dzieł i indywidualności twórczych. Uderzają one tą faculté maitresse urodzonego krytyka, jaką jest zdolność świeżego spojrzenia. Przy lekturze charakterystyk nie jednego ze znanych, oklepanych, zdawałoby się, dzieł, ma się takie wrażenie, jakby się uczestniczyło przy operacji oczyszczania starych obrazów z werniksu i obserwowania jak spod tego werniksu restaurator odsłania naszym oczom obraz w całym blasku i harmonii jego naturalnych kolorów. Ile też utworów literatury stanisławowskiej chciałoby się teraz, po Borowym, jeszcze raz przeczytać, ile z nich pokazał on nam w nowym świetle. Jakże odkrywcze i trafne są takie sformułowania krytyczne Borowego, jak określenie «młodzieniaszkowości» dyryki erotycznej Książnina czy też do Książnina również odnoszące się stwierdzenie, że w poezji swej «z elementu konwenansu czyni element dyskrekcji». Albo stwierdzenie «gospodarczej orientacji wyobraźni Karpińskiego». Albo — żeby przytoczyć większy ustęp — taka charakterystyka *Sielanek* Karpińskiego:

«Dużo tu mdłych słodczy, manierycznej czułości, prawda; ale raz po raz silniejszymi, przekonującymi słowami przemawiają i prawdziwe uczucia: rozkochanie, tęsknota, smutek rozstania, niepokój. Są to uczucia elementarne. Nie znajdujemy w nich ani subtelności, ani głębokości; stale natomiast jawny jest w nich pierwiastek zmysłowy».

Wszystkie te stwierdzenia krytyczne wyrażone są — jak o tym świadczą choćby przytoczone przykłady — językiem bardzo prostym. Nie brak jednak temu stylowi w potrzebie bujnej synonimiki: «w porównaniu z naturą La Fontaine a natura Trembeckiego jest jakby bardziej kudława, mięsista, zębata, pazurzysta i kopytna, więcej i rozmaitszych wydaje głosów».

Książka, jak już wspomniano, nie zajmuje się zupełnie tem literackim dzieł poetyckich. Natomiast bardzo starannie i precyzyjnie charakteryzuje ona kulturę literacką poszczególnych poetów. Sprawy wpływów, zależności, wzorów literackich potraktowane tu zostały z wielkim taktem i dyskrecją, ale w oparciu o bardzo rozległą i gruntowną erudycję. Nie trzeba wielkiej orientacji w naszej literaturze naukowej na temat poezji XVIII w., aby sobie zdać sprawę z tego, ile tu jest poszczególnych stwierdzeń nowych, ile odkryć. W jednym szczególe wywody książki proszą się tutaj o uzupełnienie. W książce zacytowano sławny ustęp z *Przestróg dla Polski* Staszyca, opisujący nędzę chłopską. Otóż warto tu dodać, że swoją wstrząsa-

jącą wymowę artystyczną ustęp ten zawdzięcza w dużej mierze La Bruyère'owi, na którym jest wyraźnie wzorowany. U Staszycy czytamy:

«Widzę miliony stworzeń, z których jedne wpół nago chodzą, drugie skórą albo ostrą siermięgą okryte, wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe. Oczy głęboko w głowie zapadłe. Dychawicznymi pierśmi bezustannie robią. Posępne, zadurzane i głupie, mało czują i mało myślą: to ich największa szczęśliwość.

Ledwie w nich dostrzec można duszę rozumną. Ich zwierchnia postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza niżeli do człowieka. Chłop — ostatniej wzdargi nazwisko mają. Tych żywonością jest chleb z srota, a przez ćwierć roku samo zielisko; napojem — woda i paląca wnętrzości wódka...».

A oto odpowiedni tekst La Bruyère'a (z trzynastego rozdziału *Les Caractères*):

«L'on voit certains animaux farouches, des mâles et des femelles, répandus par la campagne, noirs, livides et tout brûlés du soleil, attachés à la terre qu'ils fouillent et qu'ils remuent avec une opiniâtreté invincible; ils ont comme une voix articulée, et, quand ils se lèvent sur leurs pieds, ils montrent une face humaine; et en effet ils sont des hommes. Ils se retirent la nuit dans des tanières, où ils vivent de pain noir, d'eau et de racines...».

Później oba teksty się rozchodzą. La Bruyère spina swoje rozważania mocną pointą, Staszyc szerzej rozprawdza w szczegółach liryczny opis.

Trzeba też koniecznie podkreślić Borowego mistrzostwo w cytowaniu. Dzięki niemu potrafi wydobyć nawet z wierszy poetycko obojętnych zaskakujące zupełnie fragmenty, czasem nawet pojedyncze linijki, jak np. ze *Świątyni Sybilli* te przytoczone przezeń zwiersze, które w swej peryfrastycznej strukturze mają jakiś dowcipny wdzięk i swoisty wymysłny koloryt. Czasem znów, odwrotnie, zręcznie dobrane cytaty samym już swym zestawieniem doskonale charakteryzują naiwność, dętość czy inne mankamenty artystyczne utworu. W odpowiednim zestawieniu — jak np. wypowiedzi cnotliwej Emilianny, bohaterki *Zółkiewskiego* Wacława Rzewuskiego — potrafią one dać nie byle jaki efekt komiczny.

Przy wszystkich wybitniejszych pisarzach mamy też charakterystyki indywidualnych właściwości ich języka. Dano też przeglądy co ciekawszych czy charakterystyczniejszych opinii krytycznych o nich. Są one bandzo interesujące: w ich bowiem świetle ze wszystkich historyków literatury najlepiej prezentuje się, jeśli idzie o smak i rozeznanie artystyczne, troszkę dzisiaj

ośmieszony, nie czytany i nie przedrukowywany od lat Stanisław Tarnowski. Książka przynosi pewną rehabilitację Tarnowskiego jako historyka literatury.¹⁾

W artykule niniejszym, jak czytelnik widzi, dano wyraz wszystkim nasuwającym się zastrzeżeniom, od zasadniczych do najbłaższych.

Wszystkie te jednak wątpliwości w niczym nie mogą zmienić zdania o wartości książki pięknie napisanej, harmonijnie i przejrzysto skomponowanej, przynoszącej mnóstwo nowych i świeżych spostrzeżeń i ustalającej na przyszłość w historii literatury polskiej nowy kanon poezji osiemnastowiecznej.

Kto ustali taki kanon dla prozy?

Wiktor WEINTRAUB.

Muza w cieniu oreza

Druga Wojna światowa zaprzeczyła wielu najbardziej pewnym aksjomatom. Między innymi zaprzeczyła i temu, że «inter arma silent musae». W tej wojnie polskie muzy śpiewały pełnym głosem tylko w cieniu oreza polskiego. Idąc śladem książki polskiej czy polskiego pisma, ba idąc śladem szkoły polskiej, trafia się na ślad gąsienic i podkutych butów.

Największym polskim koncernem wydawniczym był Drugi Korpus. Miał on cały wielki aparat i «gospodarkę planową». A jednak nie założenia polityczne, ale potrzeba była matką roli wydawniczej jednostek wojska polskiego. Najlepszym tego dowodem są dzieje Pierwszej Dywizji Pancerniej.

Pierwsza Dywizja wyruszyła na inwazję Kontynentu w r. 1944 z jednym powielaczem i to bardzo niechętnie widzianym przez «wyższe dowództwo». Wprawdzie już w r. 1940 w Szkoci powstał «Dziennik Żołnierza 10 Brygady Pancerniej», ale w następnych latach stał się on najpierw dziennikiem ogólnowojskowym w Wielkiej Brytanii, a potem został połączony z «Dziennikiem Polskim» w Londynie i rozplynął się w nim. Na inwazję więc pojechał jeden powielacz z dwoma piszącymi, i wszystkim, co żołnierz polski dostawał w dniach bitwy w Normandii i toczącego się równocześnie powstania warszawskiego, była jedna powielana kartka z najważniejszymi wiadomościami. W dwa lata potem Pierwsza Dywizja Pancerna wydawała: dużego formatu dziennik, popularny tygodnik, poważny miesięcz-

¹⁾ Dwa — błahe — szczegóły prosiliby się o sprostowanie: Boy tłumaczył prozą «Britannicus» Racine'a, a nie «Mitydatesa»; zacytowany wiersz Malherbe'a brzmi «Et rose, elle a vécu ce que vivent les roses», a nie «ce que vit la rose».

nik i tygodniową agencję prasową. Nakłady tygodnika przewyższały znacznie liczbę żołnierzy dywizji. Pierwsza Dywizja nie wydawała dla siebie.

Pierwszą podniętą do akcji wydawniczej byli wyzwoleni Polacy we Francji, drugą Francuzi i Belgowie. Zanim jeszcze Dywizja zaczęła wydawać sama cokolwiek drukiem, wtargnęła na łamy prasy francuskiej i belgijskiej. Zwłaszcza prasa belgijska bardzo chętnie zamieszczała wszelkie materiały dostarczone przez «De zwaarte Division» i pisała nie tylko o żołnierzach, ale i o sprawie polskiej bardzo obszernie. Powodzeniem także cieszyły się odczyty żołnierzy Dywizji, wygłaszane po miastach belgijskich i francuskich. Toteż już na pierwszym dłuższym postoju, po zdobyciu Bredy, konieczność akcji wydawniczej narzuciła się sama. Prawie równocześnie «Dziennik Żołnierza Pierwszej Dywizji Pancernej» ukazał się drukiem, powstał tygodnik «Defilada», kolportowany także wśród ludności polskiej w Belgii i Francji i wydana została książka «Combats en France, Belgique et Pays-Bas» — La première Division blindée polonaise.

W parę miesięcy później wyważyliśmy tylne wrota Domu Niewoli i... zalała nas fala rodaków. Prasa, mająca już w tym czasie obok łory z powielaczem także jednego jeep'a, zaczęła szaleć. Redaktor «Dziennika» Wękowski zasiadł za biurkiem naczelnego redaktora hitlerowskiego dziennika w Wilhelmshaven. Na biurku położył tylko dwie książki: «Polnische Greuelthaten» i księgę adresową Generalnego Gubernatorstwa. Redaktorzy i drukarze, patrząc na jego mundur i na te książki, pocili się dosłownie, mówili tylko z pozycji na Hab-acht i wszystkie życzenia spełniali biegiem lekkoatletycznym. Lotnicy polscy zabierali «Dziennik» i rozrzucali z samolotów nad obozami niewolniczymi. «Defilada» wydawać zaczęła numery kilkudziesięciotysięczne. Do prasy dobrano kilkunastu wyzwolonych dziennikarzy polskich. Ale wojna się skończyła i «Narody Zjednoczone» położyły kres szaleństwu polskiej wolności słowa.

Osiedliśmy w małym starożytnym miasteczku Quakenbrueck i stworzyli tam ośrodek słowa polskiego na północne Niemcy. Obok «Dziennika Żołnierza» i «Defilady» powstała w początkach 1946 «Informacja Prasowa». Ona to jedyna pozostała do dziś dnia na terenie Niemiec i wydała dotąd przeszło sto biuletynów¹⁾. W drugiej połowie 1946 powstał miesięcznik «Salamandra». Zdolał on w ciągu rocznej działalności skupić grono autorów-poetów, nowelistów, essayistów, publicystów, recenzentów — wcale poważne i złożone przeważnie z ludzi nie występujących w prasie emigracyjnej, wydobytych z terenu Nie-

¹⁾ Głównym tematem «Defilady» stała się walka w obronie wysiedleńców polskich, walka z Misją Repatriacyjną, Unrrą, Milgovernem, samorządem niemieckim. Pismo było oficjalnie zakazane w obozach a nawet palone. Ale jak było czytowane! Było ono wyrazem jedności żołnierza z wysiedleńcem, dawało temu ostatniemu prawdziwe wiadomości i poczucie, że na pustyni europejskiej ktoś walczy o jego prawa przynajmniej słowem.

miec. Pisali więc: Sławomir Dunin-Borkowski, Mieczysław Wnorowski, Stanisław Vincenz, Andrzej de Vincenz, Konstanty Jeleński, Witold Olszewski, Adam Nechay, Andrzej Onyszkiewicz, Marian Tuczyński, Wojciech Wasiutyński, Andrzej Dobrowolski, Wacław Iwaniuk, Jacek Stwora, Jerzy Szeptycki, Jerzy Gawenda, Henryk Tyszyński, Tadeusz Heinrich, Piotr Wyszniowski.

«A teraz książki. Było ich sporo o samej dywizji. Dowództwo wydało zbiorową wielką księgę «Pierwsza Dywizja Pancerna w walce». Prawie każdy pułk wydał swoją książkę pamiątkową. Niektóre z nich, jak księgi 24 pułku ułanów, 10 pułku Strzelców Konnych czy 1 Pułku Pancernego odznaczały się piękną szatą graficzną. Własnym nakładem wspomnienia wydali Jamar («Śladami gasienic Pierwszej Dywizji Pancernej»), A. Połozynski i St. Krasicki («Na froncie zachodnim 1944»), o dywizji wspomnienia wydali także korespondenci wojenni Feldhuzen i Nagórski.

Najciekawszym jednak, moim zdaniem, z wydawnictw o Pierwszej Dywizji była mała broszurka «1 Dywizja Pancerna na okupacji pomaga rodakom». Podaje ona suche fakty i cyfry za lata 1945-1947 z zakresu działalności społecznej Dywizji. Należy pamiętać, że na każdego żołnierza Dywizji wypadało mniej więcej dziesięciu wysiedleńców polskich w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemiec. Z tej książeczki zapamiętajmy tylko jedną cyfrę: w r. 1945 i 1946 wozy Dywizji dla obsługi wysiedleńców zrobiły 2.751.888 mil, nie licząc «prywatnych» przejazdów w tych sprawach. Odpowiada to całkowitemu zużyciu wozów jednej pełnej kompanii transportowej. Dywizja była w północnych Niemczech konsulatami, kuratorium szkolnym, składnicą sanitarną, centralą pocztową, towarzystwem autobusowym, ministerstwem opieki — dla stukilkudziesięciu tysięcy ludzi.

Książki ludzi z dywizji, książki ludzi dokoła dywizji... Z pomocą Dywizji wydał Ojciec Paweł (ks. Warszawski T. J.) swoją bardzo oryginalną i głęboką pracę «Myśl Jest Bronią». Bez pomocy Dywizji ale z wykorzystaniem możliwości technicznych jej prasy wyszły: Jasa (S. Dunin-Borkowski), «Strzały spod ziemi», Bogusławskiej «Ludzie Walczącej Warszawy». W czasie swego pobytu w Dywizji wydali: Wacław Iwaniuk dwa tomiki poezji («Dni białe i dni czerwone» oraz «Czas Don Kiszota»), Mieczysław Eizenman powieść «Między jedną bitwą a drugą» i «Fraszki wojenne», Wojciech Wasiutyński «Tysiąc Lat Polityki Polskiej» i «Ruiny i Fundamenty», Adam Nechay «Rozmowa przed kurtyną»¹⁾.

Cechą wyróżniającą tej wojskowej prasy, może dlatego tro-

¹⁾ Po formalnym zlikwidowaniu Dywizji a przed wyjazdem ostatnich żołnierzy z Niemiec, przez parę miesięcy następcą «Dziennika» i «Defilady» były ukazujące się trzy razy w tygodniu «Nowiny». Na kontynuację ich nie zezwolono i Polacy w strefie brytyjskiej pozostali bez pisma polskiego.

chę, że powstawała w miarę potrzeb, był liberalizm. Były to jedyne pisma polskie na świecie, nie podlegające cenzurze ani obcej ani własnej, ani wstępnej ani następnej. Mimo to, a może właśnie dlatego, była to prasa bardzo ostrożna i umiarkowana, podająca informacje a nie podająca żadnych sloganów ani nie «podnosząca na duchu». Wielu ludzi spoza Dywizji uważało ją nawet za «przyziemną» i nieco cyniczną. Wyrobiła ona sobie jednak duże zaufanie u czytelnika i przygotowała go na przyjęcie tego co przyszło, oszczędziła mu podnieceń, rozczarowań, i załamień. Kazała mu wierzyć w przyszłość ale nie w najbliższą przyszłość. Nie propagowała nigdy osób.

Wolność panowała jednak nie tylko na zewnątrz tej prasy ale i na wewnątrz. To, że pracowali w niej ludzie bardzo różnych poglądów i typów, jest rzeczą w takich warunkach normalną. Nienormalne jak na polskie stosunki było to, że nikt nie usiłował tej różności przykryć «wspólną czapką» eklektycznej «linii». Jeżeli nie było przy tym rażących rozbieżności w wystąpieniach publicystycznych, to dlatego, że działała najbardziej wewnętrzna cenzura, która się nazywa «ojalnością».

Wszystko tym razem jest historią dość dziwną: kilkanaście tysięcy Polaków, z których jeden przyszedł z Polski przez Węgry, drugi z Francji, trzeci z Rosji przez Afrykę, czwarty z Argentyny a piąty ze Śląska przez Algier, ponieśli polskie słowo drukowane paruset tysiącom rodaków wywiezionych do Niemiec i przez dwa lata władowali w teren kilka milionów egzemplarzy różnych gazet i książek; a jeszcze może dziwniejsze, że w mieście Quakenbrueck wychodził miesięcznik, który najstaranniej z całej prasy polskiej podawał recenzje o nowych książkach polskich, francuskich, angielskich, amerykańskich, słowackich. I dopiero w tym roku sine armis silent musae.

Wojciech WASIUTYŃSKI.

W Nr 6 «Kultury» do artykułu Stanisława Gryziewicza pt.: «Cywilizacja materialna» wkradły się dwie omyłki, mianowicie na str. 5 w 4 wierszu zamiast «Tomasza Moore» winno być «Tomasza More» i na str. 7 w 13 wierszu zamiast «przed rokiem 1790» winno być: «przed rokiem 1760».

Polemiki

Czy imperializm?

Essay Jana Ulatowskiego o inteligenckich herezjach politycznych (Nr 5-ty «Kultury») przynosi twierdzenie o charakterystycznym dla inteligencji gubieniu klucza do wydarzeń i w wyniku utraty kontroli nad (ja powiedziałbym: «kontaktem z») rzeczywistością polityczną, stanowiącą najczęściej pewną formę tyranii siły, zastępowanie jej sobie tyranią doktryny.

Gdy jednak autor podchodzi do zilustrowania swojej tezy przypadkami zaczerpniętymi z «życia», gdy mówi np. o «ideologii jednego świata» jako o bojowym hasle amerykańskiego imperializmu, gdy ten imperializm wykrywa w koncepcjach, nie posiadających dotąd ani korzeni wśród społeczeństwa amerykańskiego, ani oficjalnych sankcji odpowiedzialnych polityków, sam narzuca czytelnikowi doktrynę, która z rzeczywistością polityczną, tak jak ją znamy, dalibóg nie właściwie nie ma wspólnego.

To rzekłszy, spróbuję skonfrontować sąd Ulatowskiego o tendencjach polityki zagranicznej Ameryki z rzeczywistością, tak jak się ona przedstawia na zasadzie wszystkich wiadomych, a w każdym razie łatwo sprawdzalnych faktów.

Pojęcie imperializmu definicji dziś chyba nie potrzebuje. Konsekwentna i z określonym celem agresywnej ekspansji polityka zagraniczna jest pierwszym z jego warunków; podtrzymująca tę politykę opinia społeczeństwa, jako rezerwuariusz siły, stawiającej się do dyspozycji, względnie dynamiką swoją pchającej polityków ku wszelkim formom podboju, wydaje się drugim warunkiem na to, by którąkolwiek z istniejących potęg świata określić mianem imperialistycznej.

I od razu stwierdzić wypada, że w Ameryce i jej dotychczasowym stosunku do reszty świata brak tych dwóch «niezbędników». Poza naturalną ale nie agresywną troską o własne bezpieczeństwo i dość nieokreśloną tendencją utrzymania w świecie pokoju, konkretne cele polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych nie wyszły. Konserwatyzm tych zasad tłumaczy zre-

szłą nieustanne polityczne porażki, jakie Stany Zjednoczone, mimo wygranej wojny, odniosły i do bardzo niedawna nie przedstawiały odnosić, zwłaszcza w Europie, gdzie polityka tej wielkiej militarnej potęgi, jakimi Stany były w dniu zakończenia wojny, objawiała się daleko idącą ucieczką od przyjęcia na siebie odpowiedzialności, a już tym bardziej zapuszczenia korzeni na tym nowym dla Ameryki gruncie. Pod presją opinii publicznej Stany wycofały pośpiesznie gros swoich wojsk i instalacji wojskowych z terenów jakie zdobyły, pozostawiając jedynie kadłubowe i pozorujące obecność raczej niż prawdziwie obecne siły w rejonach, przydzielonych jako strefy okupacji. Co więcej: przystąpiły u siebie do natychmiastowej i zupełnej demobilizacji, nie wykorzystując nigdzie nawet politycznego awantażu, jaki dawało im posiadanie bomby atomowej. Nawet jednak współpraca z Rosją i rodzaj stosunku do niej, jako do wojennego alianta w ostatecznym podsumowaniu udzielonej temu partnerowi pomocy, w niczym nie przypomina metod ani tendencji które określić by można mianem imperialistycznych. Przesłanki, prowadzące do takiego stosunku były różne: należało do nich wrażenie, jakie na społeczeństwie amerykańskim zrobił wymiar udziału Rosji w wojnie¹⁾, przekonanie Roosevelta, że się po przyjacielsku dogada ze Stalinem, ale przede wszystkim, jednak myśl o zmniejszeniu powojennych zobowiązań Ameryki poza jej granicami, co znowu charakteryzuje ją jako potęgę nie myślącą bynajmniej kategoriami imperialistycznymi.

Od chwili zaistnienia sytuacji na zachodzie Europy, którą Ameryka mogłaby dawno wykorzystać dla własnych celów, wchodząc na kontynent ze swoim kapitałem i ustalając w nim na dobre swoją preponderancję ekonomiczną razem z monopolem na eksploatację, kłopoty świata nie polegały bynajmniej na powstrzymaniu zbyt śmiałych jej zapędów w Europie, ale przeciwnie, były wynikiem trudności obudzenia i pchnięcia amerykańskich czynników decydujących, a więc przede wszystkim opinii publicznej w kierunku udzielenia pomocy Europie, aby pozwolić jej stanąć na nogi.

Inny przykład: w sprawie Palestyny. Czynniki polityczne

¹⁾ Cyfry oficjalnych strat niemieckich wykazują za pierwszych siedemnaście miesięcy wojny na wschodzie: 548 tysięcy zabitych, w tym 18.500 oficerów, jeden milion 999 tysięcy rannych w tym 52.000 oficerów i 355 tysięcy jeńców, w tym 11.500 oficerów. Razem blisko trzy miliony ludzi. «Wzajemnie» Rosja otrzymała w formie lend-leasu od Stanów Zjednoczonych: 7.000 tanków, 14.500 samolotów, 455.400 pojazdów motorowych (przeszło 50% zaopatrzenia frontu rosyjskiego poruszało się na kołach i przy pomocy motorów amerykańskich), 52.000 jeepów (do 1 lipca 1945), 1.500 lokomotyw, 109.000 wagonów towarowych, 546.000 ton szyn, 116.000 ton kół kolejowych i osi, 8.200 dział przeciwlotniczych, 135.000 ręcznych karabinów maszynowych, 7.600 Diesli dla marynarki, 105 ścigaczy, 47.700.000 stóp kwadratowych stalowych mat do budowy lotnisk itd...

Stanów Zjednoczonych pominęły wszystkie swoje interesy polityczne w tej części świata, ryzykując dla celów czysto wewnętrznych (poparcie wyborcze przez Żydów) rozdrażnienie przeciw sobie Arabów, a tym samym zagrożenie źródłom ropy na Bliskim Wschodzie, i dopiero pod presją ewenementów trwożliwie zmieniły stanowisko.

Polityka amerykańska od niedawna dopiero zaczyna krystalizować się około zrozumienia, że własne jej bezpieczeństwo narażone być może w świecie zdeorganizowanym i pozbawionym ośrodków siły, mogących przeciwstawić się istniejącemu dynamizmowi ekspansji rosyjskiej.

O ile zaczyna być jasne, że podstawą polityki zagranicznej Stanów musi stać się przyjęcie zasad, które dziś sformułować można jako 1^o porządek przez prawo i 2^o rządy prawdziwej większości dla wszystkich wszędzie (for everyone, everywhere) o tyle formy i metody polityczne, jakie doprowadzić mogą do tego celu są nadal tematem ścierania się różnych poglądów i wpływów. W tej rozgrywce bierze udział grupa ludzi, która wierzy w możliwość zrealizowania «jednego świata». Pozostaje jednak w tak znacznej mniejszości, że nikt z polityków nie przypisuje jej w tej chwili żadnego praktycznego znaczenia¹⁾. Opinia amerykańska natomiast z dużym powątpiewaniem odnosi się nawet do wykonalności programu pomocy Europie, a co dopiero do gigantycznego planu organizacji świata. Aktualnym problemem Ameryki nie jest więc znalezienie zastosowania dla jakiegokolwiek idei imperializmu, ale przeciwnie: obudzenie społeczeństwa amerykańskiego do przyjęcia rzeczywistości, nakładającej na Amerykę odpowiedzialność za przywództwo w organizowaniu spontanicznie tworzącej się pod wpływem presji ze wschodu, koncepcji świata zachodniego, przed którym raczej wzdraga się niż się do niego garnie.

W tym ogromnym kraju wielu sprzeczności, gdzie dla każdej, najbardziej fantastycznej idei znajdują się entuzjaści i gdzie co dzień zadrukowuje się dziesiątki tysięcy gazet, pozwalających na zilustrowanie albo poparcie prasowe każdej opinii, teorii i tezy, są oczywiście grupy i wpływy, które pragnęłyby bez-

¹⁾ Prasa donosi np., że powstał Komitet Redakcyjny Konstytucji Świata pod egidą uniwersytetu w Chicago. Wypracował on projekt Konstytucji (której wejście w życie wymagałoby zgody jakich 50 narodów), ale nawet wewnątrz Komitetu różnice zdań były tak ostre, że jego przewodniczący, filozof Richard McKeon, odmówił podpisania projektu.

Działą poza tym pod przewodnictwem jednookiego weterana z II wojny, Cord Meyer'a juniora, organizacja «United World Federalists», dążąca do osiągnięcia rządu i federacji światowej razem z Rosją poprzez pokojową ewolucję organizacji Narodów Zjednoczonych. W ostatnim numerze pisma tej organizacji, znajdujemy wiadomość, że także Henry Wallace jest za «rządem światowym» jako drugi po Stassenie kandydat na Prezydenta, który opowiada się dziś po stronie prób rozwiązania zagadnień pokoju i wojny w skali światowej. A chyba nikt Wallace'a nie zaliczy do reakcjonistów. Są to jednak manewry wyborcze i nie należy ich traktować zbyt serio.

względna hegemonię Ameryki ustalić na całym świecie. Jednak ewentualność militarnych gwarancji i poparcia siłą zainaugurowanej niedawno wobec Europy polityki, nie jest wynikiem działania owych wpływów — ale raczej wyciągnięciem wniosków z klęsk, jakie Stany Zjednoczone od czasu wojny ponosiły na każdym odcinku, na którym jako ich kontrpartner występowała Rosja. Nie jest więc przedsięwzięciem agresywnym ani nawet rezultatem wewnętrznej dynamiki tutejszego *par excellence* nie militarnego społeczeństwa, ale raczej na prędce skleconym środkiem obrony.

Wiem dobrze, że Stany Zjednoczone nie są ani idealną demokracją, ani nie stosują w praktyce wszystkich tych zasad, jakie uważają za kamień węgielny swojego systemu. Nie łatwiejszego jak znaleźć powody do bardzo krytycznych ocen zarówno ich polityki (pod kątem słabości, niezdecydowania i braku konsekwencji) jak i postępowania jej obywateli, nie grzeszących bynajmniej dobrym wychowaniem (zwłaszcza zagranicą). Sami są jednak najsurowszymi swoimi krytykami, piętnując bez obłoty to, co złe i to, co sprawia, że Stany nie umieją świecić światu przykładem albo brać na siebie wyłącznego przywództwa w krucjacie o przywrócenie prymatu prawa nad siłą, a w jego ramach — godności człowiekowi.

A niemniej przeto pragnę poddać pod uwagę polskiego czytelnika zdanie jednego z wymagających i bezwzględnych krytyków niedoskonałości amerykańskich, socjalisty Norman Thomas'a, pięciokrotnego kandydata partii socjalistycznej na Prezydenta Stanów Zjednoczonych:

«Nigdy przedtem żaden kraj, który wyszedł zwycięsko z dwóch wojen i jest niedorównany pod względem siły ekonomicznej i wojskowej, nie okazał tak mało ochoty, aby stać się agresywną, imperialistyczną potęgą. Postawiliśmy na nogi i wyekwipowaliśmy siły tak olbrzymie, jak nigdy przedtem na świecie. Daliśmy naszym aliantom 50 i pół miliarda dolarów *lend-lease*, otrzymując wzamian 7 i pół miliarda. Rząd nasz nie zażądał ani od byłych wrogów ani od dłużnych mu współników zwrotu żadnych terytoriów, ani specjalnych handlowych czy gospodarczych koncesji. Nie dość że nie żądaliśmy materialnych zadośćuczynień za zwycięstwo, ale jeszcze daliśmy 3 miliardy pożyczki W. Brytanii i udzieliliśmy wspaniałomyślnych kredytów Francji. (Wypowiedź Normana datuje się z czasu przed wejściem w życie Planu Rekonstrukcji Europejskiej.) Niekoniecznie z wdziękiem czy nawet w dostatecznej mierze — ponieśliśmy jednak główny ciężar ulżenia głodowi na świecie. Dokonania te nie są może tym, co mogłoby dyktować maksymalnie oświecone poczucie humanitarne, ale kiedyż to w dziejach, choćby w przybliżeniu, dorównał im inny naród?»

Aleksander JANTA.

Bibliografia

Polonica szwajcarskie 1939-1947

2

LIBEREK, Stanislas Dr. *Les Polonais au Pays de Vaud*. Préface de M. Alexandre Cingria. Société Polonaise à Lausanne, Lausanne 1943. Str. 124+4 nlb.

[Lieder]. *Im polnischen Liedergarten*. Sammlung polnischer Volkslieder. Deutsche Uebersetzung von Halina Belmont. Einleitung und Erklärungen von Zygmunt Estreicher-Rozbierski. Imprimerie St-Paul, Fribourg 1945. Str. 54 nlb+Beilage: Polnische Texte str. 6 nlb.

LISTWAN, Bronisław (pseudonim) = Drobny, Władysław.

LISTWAN, Bronisław. *Wypisy polskie*. YMCA, Genewa 1942. Str. 8 nlb+300.

Podręczniki dla żołnierskich szkół powszechnych, Nr. 1.

LODYGO, J. i NADWÓRNIAK, F. (pseudonimy) = Głodkiewicz, Mieczysław, Abgarowicz, Franciszek i Gondel, Józef.

LODYGO, J. i NADWÓRNIAK, F. *Przyroda*. YMCA, Genewa 1943. Str. 122.

Podręczniki dla żołnierskich szkół powszechnych, Nr. 6.

LUCZYŃSKI, Stanisław = Serb, St. (pseudonim).

MAREK, Edmond. *Destinées françaises de l'œuvre messianique d'Adam Mickiewicz*. Thèse-lettres-Fribourg, Fribourg 1945. Str. 102+2 nlb.

[Marsz]. *W marszu*. Kalendarzyk żołnierski na rok 1944. DSP. Volksverlag, Elgg 1944. Str. 4 nlb+124.

MARTINOLA, Giuseppe. *Un esule polacco nel Ticino*. Estratto della Rivista Storica Svizzera, Tome XXI, Fasc. 4., 1941. Str. 765-767.

MAZUREK, Ewald P., unter Mitwirkung von Gogłuska St. *Ich lerne polnisch*. Polnisches Museum, Schloss Rapperswil. Baden 1943. Str. 130+Beilage str. 4.

MELEN, Alexander-Czesław = Korczyński, Alexander (pseudonim).

MELEN, Alexander C. *L'affaire du sous-marin «Orzel»*. Tirage à part de Recueil de travaux scientifiques des Polonais internés en Suisse, vol. II, 1, 1944. Buchdruckerei Effingerhoff A. G., Brugg 1944. Str. 18+2 nlb.

MELEN, Alexander-Czesław. *Le droit des gens et le système du droit polonais*. Thèse-droit-Fribourg. Imprimerie St-Paul, Fribourg 1945. Str. 120.

MIĄZGOWSKI, Bronisław Marian. *Les éléments créateurs de la culture slave d'après les cours d'Adam Mickiewicz au Collège de France et à la lumière des vues contemporaines sur la culture en général*. Thèse-lettres-Fribourg. Imprimerie St-Paul, Fribourg 1945. Str. 75+1 nlb.

MICHAŁIK, Antoni Inż. *Obróbka metali przez skrawanie*. YMCA, Genewa 1944. Str. 129+VII+5 tabel i 56 tablic z 256 rys.

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla dokształcających szkół zawodowych, Nr. 6.

MISCHKE, Maciej Inż. *Budownictwo wodne*. YMCA, Genewa 1945. Str. 36+IV+2 nlb+44 tablic z 282 rys.

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla dokształcających szkół zawodowych, Nr. 10.

MITKIEWICZ, Karol. *Nauka o zdrowiu*. YMCA, Genewa 1943. Str. 84.

Podręczniki dla żołnierskich szkół powszechnych, Nr. 9.

Modłtewnik Żołnierza Polskiego. Opracował ks. major W. Święcicki, Szef Duszpasterstwa 2 DSP. Nakładem Poselstwa R. P. w Bernie. Druk św. Pawła, Fryburg. Str. 62.

MOLISZ, Rudolf Inż. *Budowa i utrzymanie dróg*. YMCA, Genewa 1945. Str. 181+III+2 tabele i atlas (53 tablice z 170 rys.).

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla dokształcających szkół zawodowych, Nr. 13.

MOSINSKI, Mirosław. *Obróbka cieplna metali*. YMCA, Genewa 1943. Str. 43+III+11 tabel i 13 tablic z 53 rys.

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla dokształcających szkół zawodowych, Nr. 4.

NADWÓRNIĄK, F. zob. Łodygo, J. i . . .

NORWID, Stefan Tadeusz. *Pologne, Pays sans Quisling*. Tra-

duction de Madeleine Blanc-Paulsen. Editions Merguerat, Lausanne 1945. Str. 4 nlb+246.

Collection Le Beffroi.

Odbudowa. Polski kwartalnik poświęcony odbudowie Kraju.

Rok I. Nr. 1, styczeń-luty-marzec 1944. Str. 80.

Rok I. Nr. 2, październik-listopad-grudzień 1944. Str. 64.

OLSZOWSKI, Andrzej zob. Prugar, Marcin i . . .

Pamiętnik Literacki. [Czasopismo literacko - naukowe]. Tom VI, Szwajcaria — maj 1945. Wydano nakładem Bratniej Pomocy Polskiego Obozu Uniwersyteckiego we Fryburgu, Imprimerie St-Paul, Fribourg 1945. Str. 100.

(Poprzednie tomy powielane).

PEPKOWSKI, Adolf. *Beiträge zur Untersuchung und Diagnose von Eierstockzysten bei der Sterilität des Rindes, besonders in Polen*. Dissertation-vet. med.- Zürich. Zürich-Buchdruckerei, Winterthur 1942. Str. 1 nlb+39.

PILATOWSKI, Józef. *Die wirtschaftliche Bilanz der 20-jährigen Selbständigkeit Polens*. Sonderabdruck aus der Sammlung wissenschaftlicher Arbeiten der in der Schweiz internierten Polen, vol. II, 1, 1944. Buchdruckerei Effingerhof A. G., Brugg 1944. Str. 40.

Podręcznik Religii Rzymsko-Katolickiej. Według układu C. Krzyszkowskiego. Wydano staraniem Szefa Duszpasterstwa DSP. Drukarnia św. Pawła, Fryburg 1943. Str. 268.

Podręcznik dla żołnierskich szkół powszechnych. YMCA, Genewa.

Nr. 1-9 (1942-1943) zobacz: Listwan, Sanocki, Jastrzebiec, Grodecki, Klimaszewski, Łodygo i Nadwórnjak, Eberman i Wróblewski, Brzoza, Mitkiewicz.

[Polen]. *Das kämpfende Polen*. Hrg. von Norbert Zaba und Margitta Hansson. Europa-Verlag, Zürich-New York 1944. Str. IV+222.

Polen. Mit Angaben der Distanzen in Kilometern und Industriekarte=*Pologne*. Avec indication des distances kilométriques et carte des industries. 1:1.000.000. 1 Bl. fol. zus.-gefalte mit Titel. Geograph. Kartenverlag Kümmerly & Frey, Bern 1939.

Polen und die Schweiz, ihre Beziehungen im Laufe der Jahrhunderte und während des zweiten Weltkrieges. I. Teil: Die polnisch-schweizerischen Beziehungen im Laufe der Jahrhunderte von Dr. Alfons Bronarski; II. Teil: Fünf Jahre in der Schweiz von Bohdan Garliński. Pro Polonia Solothurn, Solothurn 1945. Str. 125+1 nlb.

Politechnika Lwowska — Ecole polytechnique de Lwów 1844-1944. Akademia Górnicza w Krakowie — Ecole supérieure des mines de Cracovie 1919-1944. Cercle d'Ingénieurs du Camp Universitaire de Winterthur. Winterthur 1944. Str. 16.

Pologne 1919-1939. Vol. 2: Vie économique. (Avec des graphiques, des croquis, des cartes et des tableaux). Editions La Baconnière, Neuchâtel 1945. Str. 4 nłb+712.

Vol. 1: Vie politique et sociale wyszedł z druku w roku 1946.

Polska Ludowa. Organ Polskiego Zjednoczenia Demokratycznego w Szwajcarii. Rok III.

Poprzednie numery powielane. Pierwszy numer drukowany ukazał się dnia 1. I. 1945 jako Nr. 1/29.

[Postój]. *Na postoju. Twórczość artystyczna żołnierzy Dywizji Strzelców Pieszych (Architektura, grafika, malarstwo, muzyka, poezja, proza, rzeźba, teatr). Francja 1940 — Szwajcaria 1943. Wydano nakładem Komitetu Kulturalno-Oświatowego DSP. Szwajcaria 1943. Str. 160.*

POZZY DE BESTA, Andrea. *Der letzte Marsch. Roman einer polnischen Division.* Aehren Verlag, Zürich 1942. Str. 4 nłb+335.

Pro Polonia. Herausgegeben vom Hilfskomitee Pro Polonia Solothurn zur Unterstützung des schweizerischen Hilfswerkes Pro Polonia. Buchdruckerei Gassmann A. G., Solothurn 1940. Str. 4 nłb+48.

PRUGAR, Marcin i OLSZOWSKI, Andrzej. *Stolarstwo.* YMCA, Genewa 1944. Str. 122+2 nłb+60 tablic z 222 rys.+2 nłb.

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla doszkolających szkół zawodowych, Nr. 9.

PRUS, Bolesław (pseudonim) = Głowacki, Alexander.

PRUS, Bolesław. *Der Pharao.* Roman von B. P. (Alexander Głowacki). Die deutsche Uebers. besorgte Alfred Loepfe. 1. deutschsprachige Ausg. O. Walter A. G., Olten 1944. Str. IV+823.

PRUS, Bolesław und SZYMANSKI, Adam. *Ritter der Freiheit.* Polnische Novellen. Aus dem polnischen übers. von E. L. Mazurek und Alfred Loepfe. Rex-Verlag, Luzern 1945. Str. 5 nłb+183.

Przyjaciel Obozowy. Wypisy. Cz. I-III i IV-VII. YMCA, Genewa 1944.

Cz. 1-3: str. 120+4 nłb.
Cz. 4-7: str. 173+1 nłb.

PYSZEL, Zygmunt inż. *Maszynoznawstwo.* YMCA, Genewa 1945. Druk Vogt-Schild A. G. Solothurn. Str. 67+1 nłb+IV+atlas (80 stron z 171 rys.).

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla doszkolających szkół zawodowych, Nr. 14.

REYMONT, Ladislas. *Par une nuit d'automne, et autres contes traduits du polonais par Franck-Louis Schoell.* LUF, Egloff, Fribourg 1944. Str. 112.

ROSE, Adam Charles. *La Politique Polonaise entre les deux Guerres.* Un aspect du problème européen. Préface de Maurice Bourquin. Editions La Baconnière, Neuchâtel 1945. Str. 207+1 nłb.

Collection L'Evolution du Monde et des idées.

RYTERBA, Roman. *W modrzewiowym dworku.* Mazur na chór mieszany i fortepian. Muzyka ... Słowa Stanisław E. Nahlik. Okładka Nina Nahlik. Bern 1942. Str. 11+1 nłb.

Sammlung wissenschaftlicher Arbeiten der in der Schweiz internierten Polen = Recueil de travaux scientifiques des Polonais internés en Suisse. = Zbiór prac naukowych Polaków internowanych w Szwajcarii. Hrg. von Eidgenössische Kommissariat für Internierung und Hospitalisierung. Buchdruckerei Effingerhof A. G. Tom I, Brugg 1943. Str. XV+3 nłb+171+3 nłb+199+3 nłb+15+3 nłb+138+2 nłb. Tom II, Brugg 1944. Str. VIII+583+1 nłb.

SANOCKI, Adam (pseudonim) = Vetulani, Adam.

SANOCKI, Adam. *Dzieje Polski w zwięzłym zarysie.* YMCA, Genewa 1942. Str. 2 nłb+266+XII i 16 tablic.

Podręczniki dla żołnierskich szkół powszechnych, Nr. 2.

SCHOELL, Franck-Louis. *Patrimoine polonais.* [Tome 1]. Etudes littéraires. Editions La Concorde, Lausanne 1944. Str. 231+4 nłb.

Collection «Culture européenne», [Série] Pologne, No. 1.

SERB, St. i ŚLĄSKI, J. (pseudonimy) = Łuczyński, Stanisław i Stolarz, Józef.

SERB, St. i ŚLĄSKI, J. *Podręcznik do nauki czytania i pisanja.* YMCA, Genewa 1943. Str. 1 nłb+99.

Żołnierskie kursy początkowe.

SIENKIEWICZ, Henryk. *Quo Vadis?* Histor. Roman aus der Zeit des Kaisers Nero. Schweizer Volks-Buchgemeinde, Luzern 1943. Str. 4 nłb+IV+325.

Sowjetstädte klagen Hitler an! Amtliche Berichte der Ausserordentlichen staatlichen Untersuchungskommission der Sowjetunion über die von den deutschen Faschisten in den Städten Lemberg und Minsk begangenen Greueltaten. Verlag Partei der Arbeit, Zürich 1945. Str. 4 nłb+59.

STOLARZ, Józef = Ślaski, J. (pseudonim).

SWIBA Mieczysław Inż. *Roboty ziemne*. YMCA, Genewa 1945. Druk Vogt-Schild, Solothurn. Str. 127+VI+1 nlb+41 tablic z 132 rys.

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla dokształcających szkół zawodowych, Nr. 12.

SZENDE, Stefan. *Der letzte Jude aus Polen*. Augenzeugenbericht. [Schutzumschlag: Johannes Troyer]. Europa-Verlag, Zürich-New York 1945. Str. 4 nlb+311.

SZEWSKI, Adam. *Die Kapitalarmut der polnischen Volkswirtschaft*. Sonderabdruck aus der Sammlung wissenschaftlicher Arbeiten der in der Schweiz internierten Polen, Vol. I, 1, 1943. Buchdruckerei Effingerhof A. G., Brugg 1943. Str. 33+1 nlb.

SZEWSKI, Adam. *Ein Vergleich zwischen dem schweizerischen und dem polnischen Bankwesen*. Sonderabdruck aus der Sammlung wissenschaftlicher Arbeiten der in der Schweiz internierten Polen, Vol. II, 1, 1944. Buchdruckerei Effingerhof A. G., Brugg 1944. Str. 1 nlb+27.

[Szlak]. *Na żołnierskim szlaku*. Dodatek literacki Gońca Obozowego. T. I. 1942. YMCA, Genewa 1941. T. I. Str. 120. T. II (1943) str. 68. T. III (1943) str. 2 nlb+144.

SZYMAŃSKI, Adam zob. Prus, Bolesław und . . .

ŚLĄSKI, J. zob. Serb, St. i . . .

ŚWIECICKI, Walerian ks. *Kilka słów na cześć*. Druk Św. Pawła, Fryburg 1943. Str. 82+2 nlb.

ŚWIECICKI, Walerian ks. zob. Modlitewnik . . .

ŚWIECICKI, Walerian ks. mjr. *Śpiewniczek kościelny żołnierza polskiego*. Nakładem Szwajcarskiej Akcji Katolickiej, Druk Św. Pawła, Fryburg 1941. Str. 190+2 nlb.

TATARINOFF-EGGENSCHWILLER, Adèle. *Die Stadt Wilna, Ein Brennpunkt geistigen Lebens in Osteuropa*. Hilfskomitee Pro Polonia, Solothurn 1944. Str. 12.

T.[EILLARD], J. de (pseudonim) = Jeremiejew, Michał.

T.[EILLARD], J. de. *Les frontières de Pologne*. Tirage à part du No. 2/1944 de la Revue de Droit International (Sottile-Genève). Genève 1944. Str. 13+3 nlb.

TETMAJER, Casimir. *Marysia la Lointaine*, et autres contes traduits du polonais par Franck-Louis Schoell. LUF, Egloff, Fribourg 1944. Str. 4 nlb+176.

[Toten]. *Der Totenwald von Katyn*. 1943. Str. 39+1 nlb.

Miejsce wydania i nakładca nie podany — druk anonimowy.

YETULANI, Adam = Brzoza, Adam (pseudonim).

> > Latini, A. J. >

> > Sanocki, Adam >

VETULANI, Adam. *Bibliographie des études scientifiques publiées en Suisse par les internés militaires polonais*. Buchdruckerei Effingerhof A. G., Brugg 1944. Str. 13+3 nlb. Tirage à part de Recueil de travaux scientifiques des Polonais internés en Suisse, vol. II, 1944.

Warszawa - Varsovie - Warsaw - Warschau. Album fotografii ze wstępem i tekstami objaśniającymi w językach polskim, francuskim, angielskim i niemieckim]. Wydano staraniem internowanych w Szwajcarii żołnierzy 2 Dywizji Strzelców Pieszych. Bâle et Olten, Editions Urs Graf 1945. Str. 4 nlb+XXIV+80 ilustr.

WARYŃSKI, Stanisław. *Die Wissenschaft von der Gesellschaft*. Umriss einer Methodenlehre der dialektischen Soziologie. Uebers. aus dem Polnischen von Kazimierz Małeckii. Geleitwort von Konrad Farnet. A. Francke A. G., Bern 1944. Str. 4 nlb+328.

[Weissbuch]. *Erstes Weissbuch der Deutschen Regierung. Urkunden zur letzten Phase der deutsch-polnischen Kriese*. Verlag Birkhäuser, Basel 1939. Str. 4 nlb+IV+60.

[Weissbuch]. 2. W. der Deutschen Regierung. *Dokumenten über die Entwicklung der deutsch-polnischen Beziehungen und die Ereignisse von 1933 bis zur Gegenwart*. Verlag Birkhäuser, Basel 1940. Str. 5 nlb+XLII+595.

[Weissbuch der Polnischen Regierung]. *Die polnisch-deutschen und die polnisch-sowjetrussischen Beziehungen im Zeitraum von 1933 bis 1939*. Verlag Birkhäuser, Basel 1940. Str. XXIV+228.

WELLISZ, Léopold. *Une amitié polono-suisse: Adam Mickiewicz, Juste et Caroline Olivier et l'épisode Lèbre-Towiański*. Avec des documents inédits et 12 planches. F. Rouge & Cie S. A., Lausanne 1942. Str. 1 nlb+235.

WELTON, Arthur. *Prières polonaises*. Avec des dessins de Fritz Pauli. 2me éd. Trois Collines, Genève 1944. Str. IV+31.

WIERCZYŃSKI, Lesław. *Le parti politique et l'élection proportionnelle dans la loi du 28 juillet 1922 concernant des élections à la Diète Polonaise*. Thèse-droit-Fribourg. Imprimerie St-Paul, Fribourg 1945. Str. 2 nlb+106.

WOJTKIEWICZ, Wincenty Mgr. *Materiałoznawstwo ogólne*. YMCA, Genewa 1944. Str. 124+IV+2 nlb errata.

Biblioteka Żołnierska. Podręczniki dla doksztakujących szkół zawodowych, Nr. 1.

WROBLEWSKI, T. zob. Eberman, Ludwik i . . .

Wypisy zob. Przyjaciół obozowy.

WYSOCKI, A [dolf]. *Warschau-Stalingrad-Warschau*. (Aus den Papieren des Ostfrontkämpfers Obdt. A. W.). Bearb. von John Henry Mueller. Falken-Verlag, Zürich 1944. Str. 4 nlb+402.

(dok. nast.)

Aleksander C. MELEN.

WSZYSCY JUŻ WIEDZĄ, że najlepiej zaopatrzoną księgarnią we Francji jest

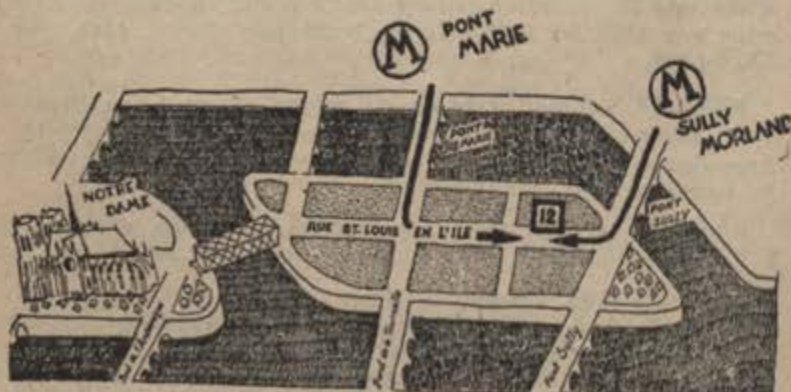
SKŁADNICA **„LIBELLA”**
KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e). Métro: Sully-Morland

POSIADAMY na składzie bogaty zapas książek, wydanych w Anglii, Ameryce, Francji, Polsce, Szwajcarii, Włoszech i na Bliskim Wschodzie.

WYSYŁAMY książki polskie i francuskie do Afryki, Anglii, Ameryki, Belgii, Holandii, Polski, Szwajcarii i na całą Francję.

Księgarnia nasza jest położona w najpiękniejszym zakątku Paryża — w pobliżu Notre Dame i obok Hotelu Lambert.



● ŻĄDAJCIE BEZPŁATNYCH KATALOGÓW ●

STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH

ADAM MICKIEWICZ: Poezje wybrane, przedmowa Jana Lechońa, wybór Wiktora Weintrauba	7/6
ADAM MICKIEWICZ: Słowa do Emigracji i słowa do Europy, wybór publicystyki w opracowaniu Tymona Terleckiego	6/6
BOLESŁAW PRUS: Nowele warszawskie, przedmowa Wacława Grubińskiego, wybór i posłowie Marii Daniłowiczowej	12/6
BOLESŁAW LEŚMIAŃ: Łąka i Traktat o poezji	6/6
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI: Krzyże i miecze	6/6
MARIAN HEMAR: Lata londyńskie	4/6
TYMON TERLECKI: Polska a Zachód. Próba syn-tezy (trzy wydania)	3/-
STANISŁAW BALIŃSKI: Wiersze zebrane (1927-1947)	12/6
WACŁAW GRUBIŃSKI: O literaturze i literatach (zbiór szkiców)	7/6
ANTONI BOGUSŁAWSKI: Struny na drzewach (poezje)	4/6

W DRUKU:

IGNACY WIENIEWSKI: Powrót na Via Appia, Studia i szkice, przedmowa Tymona Terleckiego.

STEFANIA ZAHORSKA: Noc sędziego Jeffersona (powieść).

Literatura a polityka. Wolne opinie (Wacław Grubiński, Józef Kisielewski, Marian Emil Rojek, Wiktor Sukienicki, Jan Ulatowski, Tymon Terlecki, Stefania Zahorska).

WACŁAW GRUBIŃSKI: Między młotem a sierpem (wspomnienia z Rosji).

JAN LECHOŃ: Karmazynowy poemat, przedmowa Tymona Terleckiego.

W PRZYGOTOWANIU:

JULIUSZ SŁOWACKI: Listy z Kraju, wybór w opracowaniu Stanisława Balińskiego.

JULIUSZ SŁOWACKI: Wiersze polityczne w opracowaniu Mariana Hemara.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach polskich.

SKŁAD GŁÓWNY:

„VISTULA” LTD., 86 Avenue Road, LONDON, N.W.8.

„ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja
186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, Wielkiej Brytanii, Francji,
Holandii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 15 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● Prenumerata:

WE FRANCJI miesięcznie 60 fr. fr.; kwartalnie 180 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.
W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)
przyjmują przedstawicielstwa „Orla Białego”,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

BERRY C^o, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Cena egzemplarza:

we FRANCJI 90 fr.; w W. BRYTANII 3 sh.; we WŁOSZACH 200 lir;
w SZWECJI 2,50 kor.; w NIEMCZACH 9 Mk.; w SZWAJCARII 1,80 fr. szw.

Warunki prenumeraty:

we FRANCJI: roczna 800 fr.; 1/2-roczna 500 fr.
w W. BRYTANII: roczna 1 £ 10 sh.; 1/2-roczna 16 sh.
we WŁOSZACH: roczna 2000 lir; 1/2-roczna 1200 lir
w SZWECJI: roczna 22 kor.; 1/2-roczna 12 kor.
w NIEMCZACH: roczna 90 Mr.; 1/2-roczna 50 Mk.
w SZWAJCARII: roczna 18 fr. szw.; 1/2-roczna 10 fr. s.
w AMERYCE: roczna 6 dolarów; 1/2-roczna 4 dolary

Cena ogłoszeń: cała strona 6,000 fr. fr.; 1/2 strony 4,000 fr. fr.

Przedstawicielstwa:

We FRANCJI: Librairie „Libella”, 12, rue St-Louis en l'Île — Paris (IV)
W W. BRYTANII: The Vistula Press Ltd., 86, Avenue Road, — London N.W.3
We WŁOSZACH: Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma.
W SZWECJI: „Wiadomości Polskie”, Riddaregatan 25/1 8. g., Stockholm.
W NIEMCZACH: Wydawnictwo „Kronika”, (16) Eppstein (Taunus), Hotel
Bienberg, U. S. Zone.
W SZWAJCARII: Redakcja „Pod Prąd”, — Fribourg 2, Case 10

Adres Redakcji: Librairie „Libella”, 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV.
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się
listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca
jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porło

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma
nadsyłane do redakcji w 2-ech egzemplarzach

W dotychczasowych numerach „Kultury” ukazały się prace następujących autorów:

ANDERS Władysław. ARON Raymond. BĄCZKOWSKI Włodzimierz. BIELATOWICZ Jan. BOBKOWSKI Andrzej. CAMUS Albert. CROCE Benedetto. CZAPSKI Józef. CZAPSKA Maria. CZUCHNOWSKI Marian. DZIEWANOWSKI A. K. FLORCZAK Zbigniew. GAMMA GROCHOLSKI Z. GRUDZIŃSKI HERLING Gustaw. GRYZIEWICZ Stanisław. HALEVY Daniel. HOŁOBOCKI Karol Ign. HOSTOWIEC Paweł. IWANIUK Wacław. JANTA Aleksander. JORDAN Zbigniew. KOBRZYŃSKI Bolesław. KOESTLER Artur. KORCZYŃSKI Aleksander. KORWIN Witold. KORZON L. KROŃSKI Tadeusz. KUKIEL Marian. LECHON Jan. LERSKI Jerzy. ŁOBODOWSKI Józef. MALINOWSKI Pobóg Władysław. MALRAUX André. MELEŃ Aleksander. MORTIMER Raymond. NAGLEROWA Herminia. NOWOSAD Witold. ORWELL George. POTWOROWSKI Tadeusz. PRZYŁUSKI Bronisław. REGAMEY Konstanty. SIENNY Marek. SKŁADKOWSKI SŁAWOJ Felicjan. SOKOLNICKI Michał. SUŁKOWSKI Tadeusz. TERLECKI Tymon. THIERRY MAULNIER. ULATOWSKI Jan. URSYN Józef. VINCENZ Stanisław. WAŃKOWICZ Melchior. WASIUTYŃSKI Wojciech. WEINTRAUB Wiktor. WIERZYŃSKI Kazimierz. WRAGA Ryszard. ZAREMBA Zygmunt. ZBYSZEWSKI W. A.

W najbliższym czasie Instytut Literacki wydaje:

Arthur Koestler:

CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE
w przekładzie Tymona Terleckiego.

Józef Czapski:

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

Żądajcie katalogów wydawnictw Instytutu Literackiego